

EPEA
Almanach

EPEA

ALMANACH

Redaktor naczelny:

Jan Leończuk

Redakcja techniczna:

Daniel Znamierowski

Korekta:

Grzegorz Kowalski

Fotografie: Anna Worowska ©

TOM XI

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca

ISBN 978-83-63470-00-5

Skład i druk:

Agencja Reklamowa TOP

ul. Toruńska 148, 87-800 Włocławek,

tel.: 54 423 20 40, fax 54 423 20 80

agencja.top@agencjatop.pl, www.agencjatop.pl

Mieczysław Czajkowski

Różaniec

Najbardziej żałuję dnia
Bez różańca – modlitwy
Co wciąż za mną chodzi
Jak cień dobrotliwy
Jak pies wierny u nogi

A kiedy amok pracy porwie
Mnie na skraj świata
Różaniec czeka na mnie cierpliwie
Aż wrócę i myśli moje
Do siebie przygarnia

I cieszy ze mną gdy
W ręce znów go uchwycę
I przytulę mocno do serca
By dalej iść z nim razem
Przez życie

Biały Pielgrzym

Całuję ziemię bo święta
Gdzie stąpi budzi nadzieje
Modli się z braćmi odłączonymi
Cierpi z cierpiącymi
Z płaczącymi płacze

Ponizonych podnosi z kolan
Radość niesie chorym
Zwaśnionych godzi
Więźniom przynosi wolność
Dzieci Boga

Gestem pełnym dobroci
Wskazuje na Słowo
Które stało się
Ciałem i zamieszkało
Między grzesznikami

Na beatyfikację Sługi Bożego Ks. Michała Sopoćki

„Myśl jego jest ściśle
związana z myślą moją”
/z „Dzienniczka” św. Siostry Faustyny Kowalskiej/

Widziałeś Jezusa Miłosiernego
Przez kratki konfesjonału
Gdy usłyszałeś Boży zamiar
Przez usta skromnej Zakonnicy

Wtedy bezmiar całego świata
Skurczył się ci do wymiarów
Ludzkich twarzy
W których widziałeś obraz Boga

Wpatrywałeś się w każdą z osobna
By nie przeoczyć Słowa
Co w blasku wilgotnych oczu
Jaśniało nadzieją Miłosierdzia

Modlitwa serca

Rodzi się i wznosi do Boga na skrzydłach wiary
Stąpamy po niej do Nieba jak po drabinie Jakubowej
Každy szczebel stopy parzy łaknienie skręca trzewia
Głóg Boga najbardziej nam doskwiera

Słowa modlitwy zakrzepłe w krtani ulatają w Niebo
Pożera nas ogień oczyszczający a gdy opadamy z sił
I tchu nam braknie jak płomień unosi nas ku Tobie
Duch Twój na skrzydłach wiary

Uciekałem przed Tobą

Uciekałem przed Tobą Panie
Chowałem się w mrocznych uliczkach
W zakamarkach domów
Wymarłych
W zatęchłych piwnicach
Na strychach

A Ty mnie tropiłeś celnie stając
Przede mną w pół drogi
I wołałeś w ciemnościach:
- Pójdź za mną!
A ja przerażony lękiem tłumilem
Twój głos we mnie

Czyliłem to nazbyt skutecznie
Zamykając się szczelnie w kokonie
I czekałem na znak Twój z Wysoka
A Ty mnie goniłeś zawzięcie
A ja uciekałem przed Tobą
Donikąd

Aż kiedyś zmęczony ucieczką gdy wlokłem się
Ciemną uliczką
Zrównałeś swój krok ze mną
I dotknąwszy mnie lekko ramieniem
Uniosłeś się w przejrzyste
Obłoki
W rocznicę beatyfikacji
Sługi Bożego księdza
Jerzego Popiełuszki

Jesienna ballada

Płakała jesień złotymi liśćmi
Mgły zasłaniały dolinę Wisły
We mgle złoczyńcy uzbrojeni po zęby
Pobili kapłana cisnęli na ziemię
Związali ręce zakneblowali usta
Aż wiatr zawył z bólu i zaraz
Ustał...
A gdy umierał pod katowskim butem
Wiatr znowu powiał lecz tak jakoś głucho
Jeszcze żywego wrzucili do Wisły
Aż wody krwią zabarwiły się czystą
A święty Jerzy co pokonał smoka
Spojrzał na katów z Wysoka
I usłyszeli głos co ich zatrwożył:
- Kto was osłoni przed gniewem Bożym?!

Męczennikowi Oświęcimia –
Świątemu Maksymilianowi Kolbe

Chodziłeś uliczkami modlitwy w celi śmierci
Jak po klasztornym
Korytarzu
W Niepokalanowie

Twoje FIAT ocaliło brata w Chrystusie
Stało się życiem tam
Gdzie zasiewano
Śmierć

A kiedy skurczył się horyzont
Tyranów
Opaski spadły im z oczu
Jak skóra węża
I rozpląkała się
Temida szczęśliwa z wyroku
Bożej Sprawiedliwości

Danuta Bartosz

Światło morskiej latarni

Światło morskiej latarni
Czy zdołam
pocerować rany
kruchego czasu

Czy rosa na wydmie
Bałtyku
raz jeszcze przywróci
świeżość złamanej trawie
Odwlecze rejs
ostatniego spojrzenia

Fale nadziei
Przy pływy
od pływy

Na nic światło
morskiej latarni
gdy statek
zatonął

Tęsknota

Nie widzę
nie słyszę

Zmysły
jak ptaki odleciały
nie wiadomo dokąd

Radość schowała się w kącie
Sen okaleczony tęsknotą
wciąż boli

Biegnę osaczona
nieznaną przestrzenią
może
urodzi się Światło

Pytam
gdzie są drogowskazy

Tam nie sięga ziemia

Myśl
Nieoceniony podarunek
Światła
dotyka pragnienia

Jak dziób statku
przebija przestrzenie oceanu

W rozmowie
z ziarnkiem piasku na plaży
nieodkryty świat

Nie ma większej siły
nad myśl
choć
najłatwiej
zagubić się
w jej tropach

* * *

Jak
naprawić skrzydło
złamanego ducha
przywrócić siłę
mędrcowi mądrość
i wiedzę rozumnym
odsłonić
niezglębione i ukryte
poznać spowite mrokiem
wyzwolić duszę
kiedy oczy
przykryte zaćmą
Stawiam niepewny krok
szukając wybawienia
Oceanie losu
nie zalej ostatniej wyspy
przetrwania

Wyrwane lotki ptaka

Na stole
niedopita kawa

Ptak wyleciał z gniazda
uderzył skrzydłami
o ziemię

Otuliła go
jak dziecko

Życie

Bańka mydlana

Kawa
wystygła
cierpieniem

Tylko smutek jest wierny

Smutek
Potok płytki
wysycha szybko

Głęboki
kaleczy rzeki nurt

Nikt go nie oszuka
Rozlany wokół zostawia ślady
szukając granicy
zrozumienia

Gorycz
wierna
do końca
do dna

Cień drzewa
ucieka
przed tantym światłem

Zawołanie

Przecierpieć ból
zobaczyć jak kwitnie bez w ogrodzie

W listkach koniczyny
poszukać szczęścia

Czas
zatopić się w zapachu wiosny
odzyskać
wolną myśl
Zapachem trawy na łące
pójść
w nieznanie

przejsięciem
do
nowego życia

Ks. Grzegorz Bartko

Jeden żółty kwiatek św. Kevina

Trawy wokół klasztoru rozścielały się jak zielono-żółte morze. Kiedy tylko zaczynał wiać silniejszy wiatr, wówczas łąki falowały, a horyzont oddalał się i przybliżał. Klasztor leżał w dolinie, w samym sercu delikatnych gór zielonej wyspy - gór Wicklow. Glendalough to miejsce, które św. Kevin wybrał, aby osiąść w nim wraz ze swoimi uczniami – młodszymi mnichami. Długo szukał echa rajy i w końcu znalazł je właśnie tu pośród porośniętych porostami gór i błękitnych jezior. O upadku Adama i Ewy przypominały mu jednak obfite deszcze, które nieraz wręcz zagrażały plonom, a także łupieżcze wyprawy barbarzyńców. Słyszało się o nich to tu, to tam. Klasztor stanowił nie tylko jedną budowlę, w której gromadzili się mnisi, ale raczej całą „Bożą wioskę” z kościołem górnym i dolnym, oddzielnymi domkami z szarego kamienia, dużym spichlerzem i wysoką wieżą w samym środku osady. Spiczasta baszta była widoczna z bardzo daleka. Gdy patrzyło się na nią z różnych perspektyw, zawsze wyglądała nieco inaczej, jakby strojąc różne miny do tych, którzy zbliżali się do Glendalough z różnych stron świata. Sława św. Kevina obiegała całą wyspę. Ludzie przychodzili do niego po radę, często wierzyli również w cud, jaki mógł się spełnić.

Pewnego razu, gdy wiatr wiał szczególnie mocno, a owce pasły się na zielonej łące tuż obok dzikich traw, nagle z owych traw wyłonił się jakiś człowiek. Miał zmierzwione włosy i długi zarost, podziurawiony kaftan i spodnie. Wyglądał na wynędzniałego. W jednej ręce trzymał sękaty kij. Skradał się cicho do owiec i nagle złapał jednego, małego baranka. Przycisnął go mocno do boku i zaczął biec. Nie wiedział, że owiec pilnuje dwóch sprytnych, młodych braciszków. Rzucili się w pogoń. Kiedy złodziej zobaczył, że jest ścigany próbował biec jak najszybciej. Potknął się jednak o kamień i upadł. Jagniątko wyswobodziło się z jego uścisku i becząc rozpaczliwie zaczęło szukać stada. Braciszkwowie podbiegli do niedoszedłego złodzieja. Byli bardzo rozgniewani, a w ostatnim czasie zginęło już kilka owiec. Jeden z nich

wyrwał z ręki nędzarza kij i zaczął okładać go po plecach. Wpadł w jakiś amok i gdyby drugi braciszek nie krzyknął – Przestań, jeszcze go zabijesz. – wówczas nędzarz, rzeczywiście straciłby życie. Niedośzły złodziej wił się z bólu. Braciszkiwie przestraszyli się swojej reakcji. Przecież spędzali całe godziny na słuchaniu nauk św. Kevina, rozważaniu Pisma Świętego, śpiewaniu psalmów, a było w nich jeszcze tyle agresji. Braciszek, który bił spojrział na swoje dzieło, na człowieka z pogruchotanymi żebrami – Muszę być bezlitosny wobec grzechu – pomyślał. Po krótkiej chwili braciszkiwie chwycili pobitego pod ręce i przyciągnęli go do Glendalough.

Od razu zrobiło się wielkie zamieszanie. Wszyscy rzucili swoje prace i zgromadzili się na placu przed górnym kościołem.

– Złapali złodzieja, złapali złodzieja... – powtarzano sobie z ust do ust. Po kilkunastu minutach pojawił się tam również sam Kevin. Spojrzął na rozgniewanych mnichów, popatrzył także na pobitego biedaka. Nie mówił nic. Czekał...

Jeden z braciszków zdał relację z całego wydarzenia. Nie wiedział jak wytłumaczyć to całe pobicie: – Gdy chwyciliśmy złodzieja, zobaczyliśmy jak pobił małe jagniątko. Nie mogliśmy opanować gniewu i zrobiliśmy z nim to samo – zmyślał.

– Przynieście jagnię – powiedział św. Kevin.

– Nie możemy, leży biedne w stajence – brnęli dalej w kłamstwo braciszkiwie.

Pobity nie reagował zupełnie na to, co się wokół niego dzieje. Na jego twarzy malowały się zaciętość i duma. Na dłuższy czas zapadło kłopotliwie milczenie. W końcu odezwał się jeden ze starszych mnichów, kucharz:

– Uważam, że tego człowieka trzeba przykładnie ukarać, ukarać śmiercią. Gdy wieść o tym rozejdzie się wokół, wówczas nikt nie ośmieli się kraść naszych owiec.

Tak, właśnie tak, wtórowały mu inne głosy.

– Żądamy śmierci – wołali mnisi.

– Dość. – odezwał się w końcu święty Kevin – Czy nie pamiętacie przypowieści o stu owcach i o jednej, która się zagubiła? Gdy jedna się zgubi, wówczas dobry pasterz zostawia inne i szuka tej jednej aż ją znajdzie. Św. Ireneusz mówił, że Chrystus zostawił 99 zastępów

anielskich w niebie, aby szukać zagubionego człowieka. Dawid był pasterzem i Chrystus jest pasterzem i ja jestem pasterzem. Dobry pasterz, gdy znajdzie zagubioną owcę nie okłada jej kijem, ale bierze na swoje ramiona i pielęgnuje. Żądacie śmierci i rzeczywiście, już ją otrzymaliście. Śmierć mieszka w waszych słowach i czynach. Wydaję więc wyrok troski o życie. Ci braciszkanie, którzy pobili człowieka mają karmić go i leczyć przez taki czas, aż wydobrzeje.

Głosy rozczarowania przebiegły pośród zgromadzonych mnichów.

- Jeszcze jedno. Nędzarz również otrzyma swoją karę. Ma przebywać cały czas w wieży. Wyjdzie z niej dopiero wówczas, gdy zacznie coś mówić. Wtedy mnie zawołajcie.

Gdyby Kevin nie cieszył się aż tak wielkim autorytetem, wówczas mnisi nie wykonaliby jego zaleceń. To jednak Kevin przyjął ich spośród biednych rodzin, zapewnił byt i pozycję w społeczeństwie. Chcąc, nie chcąc wzięli pobitego człowieka, opatrzyli mu rany, nakarmili.

Mijały kolejne dni. Nędzarz dochodził do siebie fizycznie, nie mógł jednak pojąć tego, co się z nim stało. Nie mógł zrozumieć dlaczego go karmią i pielęgnują. Przez jego umysł przebiegały najróżniejsze myśli. Wiedział, że został dotkliwie pobity, później najstarszy mnich coś powiedział i ci, którzy go pobili teraz przynoszą mu mleko, miód i ser. Nie wiedział tylko co robi w tej wieży. Na początku rzeczywiście nie mógł się ruszać i nie stanowiło dla niego większej różnicy to, gdzie się znajduje. W końcu, gdy już nieco wydobrzeł, próbował uciekać. Drzwi wieży były jednak zamknięte, a okno znajdowało się tak wysoko, że gdyby chciał przez nie wyskoczyć, pewnie roztrzaskałby się na kawałki.

Cały ten proces trwał już bardzo długo. Pomimo milczenia pomiędzy braciszkanami, a niedoszłym złodziejem, zaczęła się wytwarzać pomiędzy nimi jakaś więź. Nie była to właściwie więź pomiędzy ludźmi, ile raczej pomiędzy ciałami. Mnich, który pobił człowieka przywiązał się do jego sińców. Patrzył jak ciało się zmienia. Podobnie nędzarz, który przyzwyczaił się do codziennych zabiegów i dobrego jedzenia.

Po trzech tygodniach nędzarz poczuł się znacznie lepiej. Doszedł do siebie i zaczął już nawet wstawać z łóżka.

Gdy dwóch mnichów przyszło z jedzeniem, powiedział:

- Wypuście mnie stąd...

- Nie możemy – odpowiedział jeden z braciszków. – Musisz spotkać się z Kevinem. On wtedy podejmie decyzję co dalej z tobą zrobić.

Człowiek zupełnie nie rozumiał o co chodzi. Złapali go, gdy chciał ukraść jagniątko, potem pobili. Teraz pielęgnują i karmią, aby spotkał się z jakimś ważnym mnichem, a przecież on nie chce.

Mijały kolejne dni. Człowiek wciąż powtarzał – wypuście mnie stąd. Jednak braciszkiowie byli wciąż posłuszni temu, co mówił Kevin.

Po tygodniu takich bezsensownych rozmów nędzarz zagroził. Albo mnie wypuście albo wyskoczę przez to okno. Braciszkiowie stali we drzwiach. Człowiek zerwał się z łóżka i podbiegł do nich. Po krótkiej przepychance opadł bezwładnie na siennik. W końcu wstał, podszedł do okna, spojrzął na braciszków i powiedział do nich:

- To wasza wina – po czym wyskoczył z wieży na plac wyłożony kamieniami.

Zabił się, nie inaczej.

W Glendalough zrobił się wielkie zamieszanie. Wszyscy mnisi zgromadzili się, żeby oglądać trupa. Przyszedł i św. Kevin. Stanął nad ciałem i rzekł:

- Widzicie – otrzymaliście to, czego chcieliście. – Chcieliście śmierci. Oto śmierć. Nędzarz chciał zaspokoić głód. Nigdy nie jadł tak dobrze jak przez ostatnie tygodnie. Tylko ja jestem niepokieszony, ponieważ chciałem z nim porozmawiać. Nie pozostaje mi więc nic innego jak wskrzesić tego biedaka.

I wskrzesił go i wszystko potoczyło się od nowa, tylko zupełnie inaczej...

wyście dla pokonanych

wyście dla pokonanych
zamknięte prawie na zawsze

ci co stoją nad nim
mówią czasem
- nie ma wyjścia

wierzę
był taki, który je pchnął
kiedyś złapie
za klamkę brzozonego krzyża
zapukam
otworzy

Boże igrzysko

niewiele różnimy się od gladiatorów
zwykle zwycięża kostucha
tylko Kto na to patrzy?

to tylko część tajemnicy

różaniec jest miejscem
pokładem statku
po którym spacerują zakochani
wzdłuż liny życia

różaniec jest miejscem spotkania
zroszonym ogrodem
w którym odbywają się pobożne schadzki

różaniec jest echem tamtego
życiodajnego spotkania
kładką do zawsze do teraz
i w godzinę śmierci naszej

Franciszek Kobryńczuk

Miłość ta to nasza krew

Brzoza

Brzozo biała, osiwiiała
w lesie koło Bogut,
równy nam się nakładiała,
starość, dzięki Bogu.

Czy pamiętasz tamtą wiosnę,
gdym przy tobie stała
i słowiczą rzewną piosnkę,
którą nocka grała?

Brzmiał w oddali rechot żabi,
drżały gwiazdy w górze,
kiedy kładłam na karabin
jemu białą różę.

Po raz pierwszy i ostatni
rzekłam: Kocham ciebie!
A do Boga: - Boże, nad nim
litość miej w potrzebie!

Bóg mu łaski nie użyczył,
gdy nadeszła zbrodnia.
A ja piłam łyż goryczy,
czekając go co dnia.

Ściskam pień twój, brzozo biała,
w tym leśnym zakątku,
boś mi z tamtych lat została
jedyną pamiątką.

Wierzby

Wierzby szare przy szosie,
rankiem każdej niedzieli –
stare wiejskie gosposie,
kroczą na mszę w Zuzeli.

Rozchylone ich wnętrza
nie mają co ukrywać.
Przez to wierzbom się zwiększa
świętość i czci przybywa.

Pod względem Dekalogu
wierzby są super czyste.
Nie urągają Bogu,
brzydzą się Antychrystem.

Myślenie o zabójstwach,
ciąganiu się po sądach,
rozpuście, innych głupstwach
zabiły w swych narządach.

Może też mają dusze
i swoje sny majowe,
które grał im pastuszek
na fujarce wierzbowej.

Nasze wierzby przy drogach,
spełniając swą powinność,
idą uwielbiać Boga
za starość i niewinność.

Moja ojczyzna maleńka

Moja ojczyzna maleńka
co dzień się rodzi nad ranem.
W kościołach w południe klęka,
przyjmując pierwszy sakrament.

Niejedno ma imię dla mnie,
a każde pięknem się zowie.
Tym, co stąd poszli, jak pamięć
przywraca młodość i zdrowie.

Wikliny szare, wikliny
pląsem wprawiają w sen rzekę.
Któż nie zaduma się przy nich?
Dla kogóż nie były lekiem?

Tu Pan jest moim pasterzem
na nadbużańskich pastwiskach.
Pozwala mi na nich leżeć,
gdy pora nocy jest bliska.

Oddała mi ciemne doliny.
Przed złem mnie chroni jak rycerz.
Szemrzą nad Bugiem wikliny.
Sierpień wyłaca pszenicę.

Ziemia równinna jak stoły,
jak ołtarz chlebem bogata.
Wrzesień dla nas pod poły
chowa ostatnie dni lata.

Moja ojczyzna jest żywa,
z wiklin spleciona kołyska.
A zima jak babcia siwa
dorzuca drew do ogniska.

Ziemi, choć rodzisz też piołun,
na naszej podlaskiej glebie,
lubimy lotem aniołów
powracać co dzień do ciebie.

Modlitwa

W lipcu wspomnienie
jest Świętej Anny,
Matki Najświętszej
Maryi Panny.
Ma swą świątynię
w warszawskim grodzie.
Garnie się do Niej
żakowska młodzież.
Modli się:
- Anno pobożna, pomóż
zaliczyć sesję!
Babci do domu
zawiozę indeks
z dziekańską zgodą
na nowy semestr.
Będzie nagrodą
za moje harce
na jej kolanach.
Babciu Jezuska,
pomóż, kochana!

Gdybym mógł, mammo...

Gdybym mógł, mammo,
to bym pamiętał,
żeby ci przynieść
w Dniu twego Święta
kawalek łąki
pachnącej majem,
z piosnką skowronka
i krzykiem czajek,
tęczę wiosenną
po pierwszej burzy;
kukułkę, która
pomysłność wróży
wiatru żywiczne
szmery lesiste,
lusterko wody
drżące i czyste.

Święta Panno Majowa!

Słońce świeci tak pięknie
nad naszym polskim krajem,
że złość w człowieku mięknie,
słowo staje się ciałem.

Aniołki w niebie klaszczą
na nutkę bogobojną.
Motyl siadł przed lwią paszczą
jak w Raju - jak przed wojną.

Święta Panno Majowa,
Ty od Polskiej Korony,
błogosław i zachowaj
nasz naród umęczony!

Twój Syn Jedyny krzyżem,
pamiętasz, na Golgocie,
opuścił niebo niżej
maluczkiem i biedocie.

Niesiemy Ci czerwone
do Twojej kaplicy róże,
by Ci pachniały one
w Twym maju jak najdłużej.

W maju

W maju kwiatów jest dużo.
Choć ich uroda mija,
tulipanem i różą
znaczymy naszą przyjaźń.

Więc w maju trzeba wręczać
paniom barwy czerwieni,
nawet tym spośród dziewcząt,
co nie święcą imienin.

Boże Ciało

Jak Polska długa, szeroka
niesiemy dziś Boże Ciało,
prawdziwy niebiański pokarm,
kruszynę chleba białą.

Wokoło wiosna się śmieje.
Słoneczko z nieba głębin
posyła ludziom nadzieję:
pokój dla każdej rodziny.

Powiało ciepłem, powiało.
Przyrodę zapach przenika.
Idzie przez wsie Boże Ciało,
od wieków wprost z Wieczernika.

Przez Jego godne spożycie
będzie się dobro rozniecać.
Będziemy mieć wieczne życie,
jak nam sam Chrystus obiecał.

Modlitwy zwierząt

*Kiedy ranne koło Bogut
śpiewa słowik Panu Bogu.*

*Anioł Pański zaś w południe
wyćwierkują świerszcze cudnie.*

*Wszystkie nasze dzienne sprawy
żabim głosem nuca stawy.*

*A w kurniku Panu Bogu
pieje Ojczy nasz pstry kogut.*

*Zaś Godzinki i litanie
wyszczekuje świętej Pannie
Burek, nocny stróż podwórza,
lisa, kuny wróg i tchórza.*

*A mnie czasu na modlitwę
brak przez myśli mych gonitwę.*

*Proszę zatem was, zwierzęta,
o mnie w pieśniach swych pamiętać.*

*Ja już starszy pan Franciszek
modłę się, gdy wiersze piszę,
żeby były miłe Bogu,
jak słowika głos spod Bogut.*

Krowy

Lubię wieczorem pójść nad rzekę,
gdy krowy z pastwisk przyznać trzeba.
Nabrzmiałe ich wymiona mlekiem
podziwiam jako dar od nieba.

Idą powoli, się nie śpieszą.
Niosą napchane trawą żwacze.
Od wieków chodzą zawsze pieszo.
Nikt nie wymyślił, by inaczej...

Łaciate krowy, nasze krowy,
pstkrate plamy na zieleni,
gdy przyjdzie dzień listopadowy,
żywot się na wskroś wam odmieni.

Zakres czynności waszych wąski,
W zasadzie dwa są obowiązki:
jeść oraz dużo dawać mleka.
Ogólnie mówiąc, praca lekka.

Urodzić czasem trzeba cielę,
lecz krótka rola bywa mamy.
Koniec żywota jest natomiast...,
o którym kiedyś pogadamy.

Niech się kręcą zegary...

Niech się kręcą zegary
codziennie w prawą stronę!
Niechaj skowronek szary
śpiewa nam nad zagonem!
Niechaj słońce ze wschodu
idzie zawsze na zachód!
Niechaj pszczoły do miodu
dodają łąk zapachu!
I niechaj, kiedy trzeba,
dzieckiem staje się człowiek,
przeważnie gdy do nieba
proszą go Aniołowie.

Modlitwa

Na melodię: „*Dziś do ciebie przyjść nie mogę*”

Matko Boża Częstochowska
z naszych lasów, pól i kniej,
w nadbużańskich cichych wioskach,
wszystkich nas w opiece miej!

Ty Niebiosa nam przybliżasz,
widząc nas z obrazów ram.
Ty od Syna Twego krzyża
pobłogosław, Matko, nam!

Z chorób, z których wyjść się nie da,
uzdrów tych, co proszą Cię.
Do mnie przyjdź, bo w duszy bieda,
Ty wiesz, jaka, dręczy mnie!

Od nałogów, tych najgorszych,
racz uwolnić naród nasz!
Do tych słabych, najuboższych,
poranioną obróć twarz!

Kto sierotą dzieckiem został,
tylko Ty znasz jego ból.
Matko Boża, przy nim postaw
swych Aniołów z rajskich pól!

Nadbużańskie łąki, pola
Tobie kwiecą się u stóp.
Gdy nas gnębi ból, niedola,
nam też kwiecą aż po grób.
Do tej Ziemi miłość nasza
płonie jak biblijny krzew.
Niech nam nikt jej nie zagasza!
Miłość ta to nasza krew!

Mirosław Brozio

Obojętność

Obojętność rysów jej twarzy dopełniła się
Smaki wymieszanych rankiem żądź złagodniały
Z rozgrzanej płytki ekspresu
Dusze ostatnich kropel kawy uciekły ku niebu
Horyzont najeżony wieżami Babel
Nie ranił otwartych oczu
Obserwujących wściekłą walkę pomiędzy siatkami zakupów
O miejsce przy oknie
Nie zagrzmiął grom z jasnego nieba
Nie odezwał się Daimonion
Tylko miły kobiecy głos stworzył kolejny przystanek.

Nadrzeczne pejzaże

Błądzący anioł okryty snem rozdroży
Okłamuje pytających z przekory a nie ze złej woli
Przystrojony majowymi kolorami zapachów
Wygania muchy z nosa

Pośród śpiących książek pilnowanych budzikiem
Rodzi się czas na mole porannych imperatywów
Mycie zębów
Zapewnienie o miłości nastawionego policzka
Powtarzanie, jak mantry poprawnych politycznie poglądów

Ciemna krew rzeki rozlewająca się pod miastem
Topi zegary w plastikowych workach
Z papierowej torebki przyzwoitości
Sączę napój krótkotrwałego honoru

Latawce łaskoczą brzuch nieba
Polują szponami uciechy na przekłete dusze
W stodołach ludzkich wspomnień żerują dmuchawce
Roznoszą zarazę pamięci na łąki zapomnienia

W nowoczesnych butach z grubą podeszwą sumienia
Stąpam po kruchym dachu piekła nadrzecznych pejzaży.

Źródło

Nad rzeką ciekłych zegarów
Głowa posypana popiołem klepsydry
Oswojony budzik zimnych poranków
Nie szczeka już na bezpieczeństwa sny

Usta telefonu szepcą wyszargane tęsknoty
Psują się, niczym ryba od głowy
Przez szyby zapchanego autobusu oglądam akwaria wieżowców
Atole biurowych romansów

Penelopa gapi się na meandry wspólnych obiadów
Łzy gorczy zasilają wielkie wody rozczarowania
Wysuszona oczekiwaniem
Nie chłonie już wilgoci rzadkich dotyków Odysa

Płynę do źródła na balii czarnej kawy
W snach, które nie nadchodzą liczę anioły
Słabnąca wola trzyma mnie w przekonaniu,
Że ono jednak istnieje.

Juliusz Batura

„Baśń o trzech chłopcach i tajemniczym Mandarynie.”

Książka napisana dzięki stypendium półrocznemu Marszałka Województwa Podlaskiego na rok 2008.

- Tato, już dawno nie opowiadałeś nam nic nowego. Opowiedz, jak byłeś mały...

Ola patrzyła na mnie z wyrzutem w oczach.

- A co ma być w tym opowiadaniu? Musicie mi podpowiedzieć.

Na to wtrącił się Krzys:

Powinien być cmentarz i wampiry albo żabuludki i czarodziej z zieloną twarzą.

I dinozaury – dodała pośpiesznie Ola.

Zaczynaj, no... już zaczynaj...

Dzieci czekały, uginając się pod ciężarami tornistrów. Przed chwilą wyszliśmy ze szkoły. Trzeba było spieszyć się, obiad czekał. Potem Ola i Krzys powinni zabrać się za odrabianie lekcji. Czasu na baśniowe co nieco pozostawało niewiele, bo musiałem wrócić do pracy jeszcze popołudniu.

No, opowiadaj!!!

Dobrze, tylko muszę się jeszcze chwilę zastanowić... Mogę zaczynać!

Dzieci rozpromieniły się. Nawet uszy im się powiększyły!

No więc było to tak – zacząłem swoją opowieść.

Sławek, najmniejszy kolega w klasie, był przez wszystkich bardzo lubiany. Miał wiele zalet. Często się śmiał. Umiał wspinać się na najwyższe sosny przy użyciu paska od spodni i miał oswojoną wiewiórkę. Na strychu swego domu urządził prawdziwy gabinet osobliwości, który nazywał pracownią. Dlatego po lekcjach chętnie go odwiedzałem.

Tego dnia słońce świeciło łagodnie, po niebie przemykały pojedyncze pyzate chmurki. Przy ziemi snuła się lekka mgiełka. Była wymarzona pogoda na wędkowanie. Spoceni i spragnieni doczłapaliśmy do domku pod lasem. Na werandzie stał wielki słój soku z pigwy. Zrzucili-

śmy tornistry z pleców. Po ugaszeniu pragnienia wybraliśmy najlepsze wędki. Pod krzakami malin Sławek wykopał kilka dżdżownic.

- Gotowi? – zapytał.

Gotowi! – rzekłem z zapalem.

Musieliśmy przebyć małe bagienko przechodząc po przegniłej kładce, porosłej mchem i bardzo śliskiej. Dalej płynęła leśna rzeczulka, która wpadała do kanału. Było to właśnie miejsce, gdzie brały płotki, leszcze i okonie.

Zarzuciliśmy wędki. Czekamy, czekamy, czekamy...i nic!

W pewnym momencie zauważyłem w mule, między pełznącym rakiem a kilkoma ślimakami, dziwny przedmiot.

Co to jest? – spytałem.

Eee, to chyba rurka melioracyjna. Pełno takich chłopaki nawrzucały koło upustu, żeby łapać miętusy. Widziałem, jak Ryżego miętus ugryzł w palec. One lubią włożyć w takie rurki. Zatyka się taką pułapkę z dwóch stron dłońmi i szybko wyrzuca na brzeg w trawę i ryba prawie złapana...

Widziałem – powiedziałem z lekceważeniem i znanstwem.

Sławek odłożył wędkę. Po chwili przywłókł długą powyginaną gałąź. Próbował poruszyć dziwny przedmiot, ale tylko wzbil w wodzie obłok mułu.

Weź drugi kij, to ją razem przyciągniemy! – wydał komendę.

Kiedy dno się uspokoilo, spróbowaliśmy poruszyć rurkę dwiema gałęziami. Przytoczyliśmy ją trochę bliżej brzegu, ale mocniej zaryła się w mule. Nie było rady, trzeba było ściągnąć spodnie i wejść do wiosennej wody. Dygocąc z zimna wytaszczyliśmy przedmiot na brzeg. Sławek kopnął rurkę nogą i powiedział:

Ciężka.

A może to niewypał – zauważyłem zaniepokojony.

Ani to mina, ani to bomba – skwitował kwaśno kolega. – Masz cykora, boisz się!

Ja? Ja się nie boję, ale jak wybuchnie, to twoje portki zarzuci na tamto drzewo, a z nas zostanie jedna mokra plama – uczyniłem znaczący gest.

Lepiej być ostrożnym...Tato kolegi włożył granat do ogniska, teraz nie ma całej dłoni...

Staliśmy w milczeniu, badawczo przyglądając się zalutowanej z obu stron rurze. Była obrośnięta wodorostami i zaśniedziała.

Wydaje mi się, że nikt nie robi takich pocisków, to jest za wąskie i za długie. Zobacz, tu są jakieś kwadratowe litery! Posłuchaj, coś w środku piszczy... - przekonywał Sławek.

Otarliśmy dziwny przedmiot z wodorostów. Teraz można było zauważyć, że rurka miała z jednej strony kopulastą nakrętkę połączoną z całością mosiężnym łańcuszkiem. Cała rurka była pokryta archaicznymi zdobami i napisami. Postanowiliśmy zabrać ją do pracowni Sławka.

Na strychu próbowaliśmy otworzyć tę dziwną puszkę i na zmianę objadaliśmy się ciastkami z wiśniami. Przez przypadek naciśnąłem guziczek w środku grawerowanego oka. Wtedy kapturek sam odpadł, a strych wypełnił się przyjemnym, słodkim zapachem.

Okazało się, że w środku był stary, pożółkły manuskrypt, pokryty chińskimi znakami. Fragmenty tekstu uporządkowano w równe kwadraty. Od razu zrozumieliśmy:

To musi być czarodziejskie zaklęcie!

Niestety, żaden z nas nie umiał czytać po chińsku, a i po polsku nie czytaliśmy jeszcze najlepiej. Sławek powiódł palcem po literach. Kiedy jego chudy paluszek dopłynął do ostatniego znaku z zabawnym zawijaszem, nagle błysnęło i huknęło. Rzuciliśmy wszystko na stół i schowaliśmy się za starą komodą. Wyjrzelśmy:

Na środku pracowni stał niewysoki jegomość w fioletowej długiej do ziemi szacie ze złotymi lamówkami. Na głowie miał czarny kapelusz z czerwonym guzem na szczycie. Swoją pomarszczoną jak zwiędłe jabłuszko twarz obrócił w naszą stronę. Ujrzelśmy jego skośne oczy. Uśmiechnął się przyjaźnie pod białymi długimi wąsami, po czym uklonił się aż do ziemi.

Sławek mocno się przestraszył.

Myśmy nie chcieli, to niechący – wyszeptał.

Nie bójcie się chłopcy. Nic na świecie nie dzieje się przypadkowo – powiedział Chińczyk, unosząc chudy palec, zakończony długim paznokciem. - Tym razem, po wiekach, przyszła kolej na was. Będę waszym przewodnikiem. Mogę zrobić wszystko, nawet rzeczy nie-

zwykłe i czarodziejskie... O ile nie przynoszą szkody innym ludziom. Zastanówcie się, czego ode mnie oczekujecie.

Kiedy ochłonęliśmy, zaczęliśmy rozważać, o co poprosić niezwykłego gościa i czy „nie zaszkodzi to innym ludziom”.

Sławek radził, żebyśmy wybrali się ze starym Chińczykiem na poszukiwanie skarbów. Albo żeby nam dostarczył całą bibliotekę kolorowych albumów o wszystkich cudach świata. A może mógłby nas nauczyć języków: chińskiego i tureckiego, arabskiego i jeszcze jakiegoś innego, i żeby to zrobił błyskawicznie! Sławek słyszał, że najciekawsze baśnie i prawdziwe niezwykle historie są zapisane po arabsku. Ja natomiast utrzymywałem, tak jak mój tato, że łacina to język mędrców i filozofów. Oczywiście warto było być filozofem. Wprawdzie kiedyś Ryży nabił naszego przyjaciela Zbyszka za to, że przezwał jego brata filozofem, ale zostanie filozofem chyba by nie zaszkodziło. Chciałem też mieć nowe organki, bo stare się rozstroiły.

W końcu jednak stanęło na tym, że rodzaj przysługi lub przynagrody ma dla nas obu wybrać sam stary Mandaryn Czuang-tse - tak brzmiało jego imię. Zrozumieliśmy, że możemy chcieć albo za mało, albo za dużo.

Kiedy Czuang-tse wyjął z rękawa magiczną laseczkę, niebo za oknem przybrało kolor malinowy, a liście jabłoni zrobiły się pomarańczowe. Usłyszeliśmy powolne furkotanie, jakby nadlatywał wielki helikopter.

Helikopter! – zakrzyknęliśmy razem.

Biegiem wypadliśmy na podwórze. Koło kurnika, gdzie za ogrodzeniem szamotały się i krzyczały wszystkimi głosami przestraszone kury, kaczki i indyki, lądował poruszając wielkimi, błoniastymi skrzydłami olbrzymi wąż – Nag. W połowie grzbietu miał zielony dywanik i trzy siodełka.

Wsiadamy! – zdecydował Mandaryn. Pomógł nam wdrapać się na cielsko gada i zająć miejsce. Potem wręczył nam miedziane pierścienie i polecił wsunąć je na palce.

Wy tłumaczył, że pod żadnym pozorem nie możemy oddać nikomu tych amuletów. W razie niebezpieczeństwa, należało potrząść pierścieniami, a wtedy przybędzie pomoc. Rozsiedliśmy się wygodnie.

Mandaryn dał znak. Olbrzymi gad Nag uniósł się z łopotem w powietrze i śmignął między chmurki. Lecieliśmy z zawrotną szybkością, aż policzki nam wkłęśły. Kuliliśmy się z zimna, omiatani zimnym powietrzem. Ziemia stała się maleńką piłeczką, wreszcie zniknęła nam z oczu. Zgasły też gwiazdy. Ogarnęła nas ciemność. W pewnym momencie ujrzeliśmy świetlisty punkt w przestrzeni. W jego kierunku podążał latający wąż. Był to świetlisty korytarz, pełen zapachów, nieokreślonych wspomnień i przeczuć.

Nagle wtargnęliśmy do górzystej krainy wypełnionej niezwykle barwami. Rzeki były pomarańczowe. Trawa i drzewa we wszystkich odcieniach czerwieni. Olbrzymie kwiaty kwitły żółto, zielono i niebiesko. Skały miały kolor miedzi. A domy i pałace mieniły się kolorami tęczy. Wyglądały, jakby były zbudowane ze szkła i drogich kamieni. Kręciło nam się w głowach. Czuliśmy się jak po długotrwałym oglądaniu obrazków w kalejdoskopie.

Pod nami frunęło stado białych ptaków z pawimi ogonami. Przewodnik stada nawoływał inne ptaki dźwięcznym głosem klarnetu.

Nag wylądował na tarasie turkusowego pałacu przykrytego dachem z białej porcelany. Zsiadliśmy z jego grzbietu. Sławek rozmasowywał sobie zdrętwiałe nogi, a ja rozcierałem ręce i podskakiwałem, żeby się rozgrzać, bo zmarzłem na kość.

Mandaryn Czuang-tse uklonił się w pas:

Tu musimy się rozstać, ponieważ w tej krainie dorośli nie mogą przebywać dłużej niż trwają trzy oddechy wielkiego Naga. Spotkać was tu może tylko to, na co zasługujecie. Muszę was pożegnać. Gdybyście jednak potrzebowali mojej pomocy, potrzyjcie jeden z zaczarowanych pierścieni.

Po tych słowach Mandaryn ze zręcznością cyrkowca wskoczył na latającego węża. Skrzydła zafurkotały i obaj unieśli się w przestworza. Zostaliśmy sami, sami bez przewodnika i nawet bez kanapki na drogę. Nawet dropsa nie miałem w kieszeni. Widziałem, jak Sławkowi nabiegły łzy do oczu. Staliśmy z zaciśniętymi ustami. Ale po jakimś czasie dobry nastrój powrócił.

Wejdzmy do środka – pokazałem ręką otwartą bramę pałacu.

Ruszyliśmy w jej kierunku. Po drodze przystanęliśmy przy okrągłym kamiennym stole pokrytym znakami, które składały się z ciągłych i przerywanych kreseczek. Sławek policzył - były sześćdziesiąt cztery znaki.

Nagle z bramy wybiegł karzeł z wielką głową, ubrany w błękitną zbroję. Krzyczał coś do nas i wygrażał pięścią. Obok niego, trzymany na smyczy, galopował olbrzymi złoty pająk, który ujadał jak rozdrażniony pies.

Karzeł uspokoił swego pomocnika, a nas energicznymi pchnięciami w brzuchy odepchnął od kamiennego stołu. Potem, z wielkim zdenerwowaniem, odnalazł złoty gwizdek i zaczął dąć weń. Mało mu nie pękły policzki. Ze wszystkich stron na grubych, kudłatych osiołkach, przyskakiwali podobni wojownicy. Spuścili na nas kilka pajaków. Krzyczeli: „Gulga, mulga...!” czy coś w tym rodzaju. Ani żeśmy się obejrzel, a już byliśmy powiązani pajęczymi nićmi. Wrzucono nas na skrzypiącą dwukólkę. Orszak karłów, osiołków i pajaków podążył w kierunku pałacu. Mali strażnicy wtoczyli nas po pochylni, jak beczki z piwem, do ciemnicy. Tam, ku naszemu zdziwieniu, zobaczyliśmy siedzącego, opartego o ścianę i skrępowanego pajęczą nicią, naszego najlepszego przyjaciela Zbyszka.

To niemożliwe – wyszeptał Sławek.

Możliwe, możliwe... Przeszedłem w odwiedzin. Dom był otwarty. Na stoliku w piwnicy

leżała mosiężna rura, a spoza suszącej się na strychu bielizny, wyszedł Mandaryn...

Po dłuższej rozmowie wyjaśniło się, że ten drugi Chińczyk, od początku nie był miły. Ubrany w czern, błyskał złym wzrokiem i bez przerwy mamrotał coś pod nosem. Wszyscy trzej zrozumieliśmy, że obaj mandaryni są nieprzyjaciółmi. Domyślaliśmy się, że śladami Czuang-tse podąża ten drugi, żeby jemu i ludziom (a może tylko dzieciom) szkodzić.

Dziwiło nas agresywne zachowanie karłów. Było nienaturalne, tak jakby złość i nerwowość były nieprawdziwe, udawane. Następnego dnia rozcięto więzy i zaprowadzono nas przed oblicze króla karłów. Siedział na bazaltowym tronie. Głowę podpierał ramieniem. Patrzył na nas smutno. Długo milczał. Wreszcie przywołał chudego tłumacza w czerwonej koszuli i rajtuzach.

- Wasze przybycie jest niepożądane – rzekł. – Owszem, karły mają wiele sympatii dla ludzkich dzieci...Ale właśnie na dzieci, które zabłądzą do naszego kraju, polują okrutne ważki, z którymi musimy prowadzić wojny o uratowanie każdego dziecka. Nigdy nam się to nie udaje.

Król nie miał sumienia przepędzić nas z pałacu, ale też bardzo narzekał, że musi podwoić strażę. Zabronił nam wychodzić na dziedziniec, a nawet zbliżać się do okien.

Całe dni garbiliśmy się w tak niskich pomieszczeniach, że aż bolały nas szyje. Traktowano nas dobrze. Jedliśmy słodczyce i bawiliśmy się rozmaitymi mechanicznymi zabawkami. Wiele uciechy było w zabawach z małą królową. Hołubiliśmy ją jak żywą lalkę. Królowa chodziła po pałacu z nieodłącznym czerwonym, włochatym pajakiem, którego maniery przypominały zachowanie kota. Zbyszek grał na małym fortepianie, a Sławek toczył z nią potyczki na szachownicy. Ulubioną grą karłów były szachy.

Tak minęło kilka dni. Czasu nie liczyliśmy. Żyliśmy jak w półśnie. Aż tu jednego popołudnia wbiegł do komnaty zdyszany król w towarzystwie tłumacza. Coś wykrzykiwał, a karmazynowy sługa tłumaczył jego słowa:

Musicie skryć się do ciemnicy, nadlatują ważki! W pałacu jest zdrajca...! Alarm, alarm, alarm!

Ze wszystkich stron rozległy się gwizdki i tupoty oślich kopytek. Siedząc w lochu usłyszeliśmy nad sobą szelest pajęczych nóg, przypominający odgłosy dreptania muchy w pudełku od zapalek przytkniętym do ucha. Aż wreszcie dało się słyszeć furkotanie lecących ważek, które chwilami przypominało łopot skrzydeł wielkiego Naga. Sławek doradził, żeby potrząść pierścieniami, byliśmy przecież w niebezpieczeństwie. Ale zabieg ten nie dał żadnego rezultatu. Poczuliśmy się zastanawiać, co to wszystko znaczy.

Czuang-tse was oszukał – zawyrokował Zbyszek.

Ja miałem inne zdanie:

Naraziliśmy na niebezpieczeństwo karzełki i dlatego na wezwanie nie ma odpowiedzi.

– tłumaczyłem.

Rzuciliśmy się do drzwi, żeby pomóc w walce, ale w tym samym

momencie ktoś na zewnątrz zamknął zasuwę. Byliśmy uwięzieni. Nasłuchiwaaliśmy. Na przemian wzmagało się i słabło brzęczenie chmary ważek. Od czasu do czasu dochodził świst strzał z łuków karzełków. Potem było słycać huk walących się murów. Aż wreszcie coś zaczęło gryźć ścianę naszego więzienia.

Kiedy przez rozdarty otwór wejrzała głowa pierwszej ważki, zamarliśmy z przerażenia. Ja nakryłem głowę kurtką, żeby nie widzieć potwora. Słyszałem, jak szeleściły odwłoki ważek, jak ich nogi drapały posadzkę, jak żuwaczki kruszyły mury.

To już koniec – myślałem, trzęsąc się w kącie ciemnicy.

Dosłyszałem przeraźliwe krzyki kolegów:

Ratunku, pomocy!...

I nagle, niespodziewanie, zapanowała cisza. Chmara ważek odleciała, unosząc ze sobą Sławka i Zbyszka. Odkryłem głowę i wyrzylałem przez otwór w ścianie. Gdzieś na horyzoncie majaczyły wysokie ciemne wieże.

Przestraszony i upokorzony swoim strachem, bezsilny, płakałem. Wyszedłem na dziedziniec. Wokoło walała się broń porzucona przez karzełki. Mury zamku były pokruszone. W kilku miejscach stały szklane flakoniki o długich szyjkach. W jednych była ciecz czerwona, w innych niebieska. Trzeci rodzaj buteleczek zawierał płyn żółty. Wśród ogólnego nieładu naczynia te sprawiały wrażenie, jakby je ustawiono w przemyślanym porządku. Żadna z buteleczek nie była rozbita. Nie było śladów krwi ani ofiar.

Chodziłem i nawoływałem.

Hop, hop! Hej, odezwij się który! Gdzie jesteście? Halooooo!!!

Nikt nie odpowiadał.

W tym miejscu musiałem przerwać historię. Pospiesznie odgrzałem zupę. Zrobiłem drugie danie. Z lodówki wyjąłem cytrynową galaretkę na deser. Chociaż Ola i Krzys na wszelkie sposoby namawiali, żebym dokończył historię, musieliśmy odłożyć to do następnego dnia.

II. WTOREK

We wtorek padało. Omijając kałuże i ciągnąc za sobą psa, który uparcie chciał wszystko dokładnie obwąchać, wracaliśmy we trójkę ze szkoły.

No, już opowiadaj. – powiedziała niecierpliwie Ola.

A na czym to ja skończyłem?

Jak ważki odleciały, a ty płakałeś – podpowiedział Krzyś.

Pewnie chcecie, żeby moich najlepszych kolegów pożarły ważki, a mnie udusiły wielkie, jak psy, pająki, co?

Nie, nie, ale jeszcze nie było dinozaurów – podpowiedziała Ola.

Dobrze więc, już sobie coś przypominam!...

I opowieść popłynęła dalej:

Zapadła noc bezdenna i czarna. Kwiaty pachniały upojnie, choć nie było ich widać. Z wyciągniętymi przed siebie rękoma, po omacku, ruszyłem na zachód. Żal ścisnął mi serce, bo wyobrażałem sobie, że moich przyjaciół nie ma wśród żywych. Na każdy szelest zamierałem w bezruchu i wstrzymywałem oddech. Po ciemku, nieszczęśliwie trafiłem na kolczasty krzew i dotkliwie się pokłułem. Brnąłem jednak naprzód, bo nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. Zgłodniałem strasznie i chciało mi się pić. Wyobrażałem sobie, jakie smakołyki mógłbym zjeść, gdybym był w domu.

Wygrzebałem się wreszcie z łopianów pachnących bagnem. Dotarłem do otwartej przestrzeni, oświetlonej gwiazdami. Podłużna równina przypominała drogę olbrzymów. Nagle coś za mną zaszeleściło. Skoczyłem do przodu. Usłyszałem tupot. Jakieś wielkie cielsko zabiegło mi drogę. Była to monstrualnej wielkości mysz z długą paszczą pełną ostrych zębów. Powoli skradała się w moją stronę. Odruchowo potarłem pierścień. Mysz stanęła słupka, popatrzyła bystrymi oczyma i powiedziała ludzkim głosem:

A co tu robi ludzkie szczenię? Hej, mały, cofnij się w zarośla. Lepiej, żeby nas nie było widać, bo tu... - ściszyła głos. – Tu grasują koty.

Schowany w wielkich łopianach opowiedziałem myszy naszą przygodę. Była cierpliwym słuchaczem. Po przełamaniu oporów i obaw, poprosiłem ją o pomoc.

Zastanawiała się długo.

Trzeba ci pomóc – mruzczała. - Przebywanie w okolicy wielkich termitier, na szczytach których ważki mają gniazda, jest niebezpieczne. Ale tu też trzeba bardzo uważać, bo to teren łowiecki olbrzymich kotów – rozważała.

Ledwie skończyła, powietrze rozdarło przeraźliwe, donośne miauknięcie. Widziałem cień olbrzymiego kota, który popędził za zdobyczą. Mysz przywarła do ziemi. Trzęsła się jak galareta. W przypływie odwagi, chociaż nie było mi do śmiechu, głąskałem ją po garbatym karku i pocieszałem. Bałem się jej jeszcze trochę. Kiedy usłyszeliśmy podobne miauknięcie z drugiej strony, mysz szepnęła:

Koty trafiły na mój ślad, musimy uciekać. Wdrap się na mój kark i mocno trzymaj się sierści.

Uczepiłem się jej futra najmocniej jak potrafiłem. Mój wierzchowiec ruszył galopem przez równinę. Ledwie mysz wybiegła na otwartą przestrzeń, z zarośli wypadły olbrzymie, czarne koty. Miaucząc przeraźliwie pędziły za nami.

Mysz dotarła do drugiego lasu. Była spocona jak mysz, a jej sierść wyslizgiwała się z moich dłoni. Biegła jeszcze jakiś czas. Wielokrotnie zmieniała kierunek. Udało się jej zmylić pogoń. Przed świtem dotarliśmy do podnóża najbliższej, wielkiej termitiery. Wieża ta ulepiona była z brązowej masy przypominającej gruby papier. Wyobraziłem sobie, że wewnątrz roją się olbrzymie mrówki gotowe rozszarpać mnie w jednej sekundzie.

Mysz pocieszała mnie:

Termity są niewielkie i nie atakują zwierząt ani ludzi. Żywią się sfermentowanym sokiem owoców...

Dla dodania sobie otuchy oparłem dłoń na rękojeści małej szabli, którą zabrałem z pobjowiska na dziedzińcu pałacu karłów. Miałem też w kieszeni trzy flakoniki z cieciami w trzech barwach. Wiedziałem, że mogą mi się do czegoś przydać.

Po krótkich pożegnaniu, mysz skryła się w zaroślach. Zostałem sam. Przyglądałem się wierzchołkom wież. Miałem nadzieję, że dojrzę jakiś znak-podpowiedź, gdzie są moi koledzy. Rzeczywiście, na każdej z termitier było wielkie gniazdo. Wokół szczytów krążyły stada ważek. Kiedy słońce uniosło się nad horyzont, ważki odleciały na

wschód. Wiedziałem, że mam tylko kilka godzin na to, by odszukać Sławka i Zbyszka. Musiałem zdecydować, na którą termitierę powinienem wejść. Usiadłem na trawie i zastanawiałem się. Szczęśliwie dojrzałem błyski światła na wierzchołku jednej z wież. Błyski powtórzyły się kilkakrotnie, jakby ktoś puszczał zajączki lusterkiem.

To znak – zamruczałem do siebie.

Przypomniałem sobie, że Zbyszek nosił w kieszeni okrągłe zwierciadelko z fotografią ulubionej aktorki na odwrocie.

Tak, tam musi być uwięziony jeden z moich kolegów i on żyje – pomyślałem.

Podszedłem do podnóża wskazanej termitiery i przyjrzałem się jej ścianom. Były chropowate, usiane występami i otworami. Spróbowałem dopasować dłonie i obute w trampki stopy. Można było po ścianie wieży wdrapać się na górę. Nie miałem wyboru – ruszyłem.

Po mniej więcej godzinie, kiedy rozboleły mnie łydki, spojrzałem w dół. Zakręciło mi się w głowie i zrobiło słabo – przepaść. Nie było odwrotu - dojdę do wierzchołka albo spadnę. Do tego, jak na złość, tam w górze wiał silny wiatr. Zebrałem wszystkie siły.

Kiedy wpełzłem do gniazda ważek, wśród wysuszonych pancerzy wielkich owadów i szkieletów zwierząt, ujrzałem, skrzepowanych pajęczymi nićmi, Zbyszka i Sławka.

Sławek patrzył nieprzytomnym wzrokiem i szeptał:

Pić, pić...

Z nim już koniec, chyba umiera – westchnął Zbyszek. – Nabawił się jakiejś choroby... Może to od płynu, którym opryskały go ważki?...

Pić, pić... - jęczał Sławek.

Wyjąłem z pasa małą szabelkę i zabrałem się do rozcinania więzów. Sznur pajęczy przypominał grubą nylonową nić. Niełatwo dawał się przecinać. Pokazałem Zbyszkowi flakoniki z kolorowym płynem. Nadeszła pora, aby wypróbować ich zawartość.

Lepiej będzie, jeśli sprawdzę działanie płynów na sobie, zanim je podamy choremu przyjacielowi! - zdecydował.

Kapnął na palec po kropelce z każdej buteleczki i ostrożnie zlizał. Czekał chwilę, wsłuchany w odgłosy swego burczącego żołądka.

To nie trucizna – zawyrokował.

Napoiiliśmy chorego Sławka. Po kilku minutach twarz mu się wypogodziła, a w oczach pojawił się sztubackie wesołe błyski.

Smaczne! – oblizał się wyraziście. – Już mi lepiej.

Zbieraliśmy siły do powrotu. Zbyszek rozważał czy lepiej schodzić po zewnętrznej ścianie termitiery, czy lepiej dostać się do jej wnętrza. Opowiadał z przejęciem:

Nocą termity wypełzają ze swego domu i znoszą owoce. Ich głowy świecą jak latarki albo jak wielkie świętojańskie robaczki. Na ten widok przylatuje olbrzymi sokół, który pożera termity. A potem sam świeci. Kiedy naje się do syta, odlatuje i długo błyszczący na niebie jako ruchliwa błędząca gwiazda.

Sławek tym czasem zajął się gimnastyką.

Na nas czas – powiedziałem. – Wieczorem powrócą ważki. Jeśli się stąd nie oddalimy, znowu nas pochwyca.

Rozcinałem szablą powierzchnię dna gniazda, a koledzy odrywali grube płyty papieru, aż powstał otwór, przez który mogliśmy wejść do środka. Wewnątrz było gorąco. Tysiące owadów o głowach jak mleczne szklane kule spały, uczipione do ścian korytarza. Pełziliśmy gęsiego w tym labiryncie. Co jakiś czas pomagaliśmy sobie szabelką przy poszerzaniu otworów. Brakowało powietrza. Kierowaliśmy się w dół. Po pewnym czasie dotarliśmy do dużej komnaty, w której była rozpięta olbrzymia sieć. Przebiłem otwór w ścianie. Do komnaty wpadło światło dnia. Wyjrzałem na zewnątrz:

Chłopaki, jesteśmy kilka metrów od podstawy termitiery, hurra!!! Potnijmy pajęczą nić i zwiążmy sznur. Po nim spuścimy się aż na ziemię!...

Tak też uczyniliśmy. Byliśmy wolni. Sławek podskakiwał radośnie, wymachując rękoma.

Nie mieliśmy pojęcia, co robić dalej. Jedno było pewne, trzeba było stamtąd uciekać jak najszybciej. Ważki mogły powrócić lada chwila. Kiedy dotarliśmy do kępy wielkich łopianów, ułożyliśmy się na mchu dla odpoczynku. Wtedy Zbyszek zaczął się zastanawiać:

Jak to się stało, że przybyłem do tajemniczej krainy przed wami? Przecież przyszedłem do domu Sławka już po waszym odlocie...

Zbyszka uniósł monstrualnej wielkości motyl. Owad ten tańczył

dziwny taniec, kiedy unosił ze sobą Zbyszka. Wibracja jego skrzydeł wywoływała słowa:

Sen, śpij, śnij, uśnij, zaśnij, przyśnij, dośnij, odśnij, sen...i tak dalej i tak w kółko.

Zrozumieliśmy, że jest inny, szybszy sposób powrotu do naszego miasteczka niż na grzbiecie olbrzymiego Naga. Byliśmy w rozterce. Potarliśmy swoje pierścienie. Zerwaliśmy się na równe nogi i patrzyliśmy zdziwieni. W powietrzu zabłyśł wirujący ognisty okrąg. Poniżej uformowała się niewyraźna świetlista postać. Skinęła na nas ręką. Usłyszeliśmy znajomy głos Czuang-tse:

Musicie odnaleźć wielki kokon i doczekać się wyklucia motyla.

Ale gdzie go szukać? – spytał Sławek - Ja już mam tego dość, chcę wrócić do domu!

Mandaryn wyjaśnił, że musimy wędrować dalej, kierując się tylko nadzieją. Po czym wirujący krążek zgasł, a postać rozwiła się w powietrzu jak sen.

Nie mogliśmy zdecydować się, dokąd iść. Po paru zaledwie krokach, przysiedliśmy na połyskującym pnium zwalonego drzewa. Wdaliśmy się w rozważania i spory:

Tędy – rzekłem.

Tamtędy będzie wygodniej... – dowodził Sławek.

A może tam, pomiędzy skałami? – pytał Zbyszek.

Nagle pień drgnął, a my spadliśmy na ziemię. Zaczął sunąć po mchu nieomal przygniatając nam nogi. Z łopianów wynurzyła się sycząca, olbrzymia głowa węża. Rzuciliśmy się w panice przed siebie z nieopisanym wrzaskiem. Gnaliśmy jak zajęce, przeskakując krzaki, rowy i wykroty. Dopiero, gdy zabrakło nam sił, z bijącymi sercami, przycupnęliśmy pod rozłożystym jałowcem.

Ale żmija – powiedział Zbyszek. – Coś podobnego! Jak bym opowiedział kolegom, żaden by nie uwierzył.

Sławek zaczął kręcić się w kółko wypatrując czegoś w trawie. Szuukał po kieszeniach i oglądał ręce.

Zgubiłem pierścień...i co teraz będzie? – wymamrotał.

Wlepiliśmy oczy w trawę. Oczywiście nie miało to żadnego sensu, bo być może pierścień zsunął się z palca tam, gdzie natrafiliśmy na olbrzymiego węża albo został upuszczony gdzieś po drodze, w czasie

szaleńczej ucieczki. Na szczęście została jeszcze druga obrączka, na moim palcu.

Uspokojeni nieco, kiedy nasze czerwone i spocone twarze ostygły, poszliśmy dalej.

No dzieciaki, na dzisiaj dosyć! Zupa podana. Krzys ma nie grymasić, bo jutro nic nie opowiem. Olu, pokrój chleb!

Dzieci zasiadły do obiadu. Ja tymczasem szybko wychłęptałem swój rosół. Potem odgrzałem kotlety warzywne. Za pół godziny miałem być ponownie w pracy. Zdążyłem wrzucić papiery do teczki, przejrzałem rachunki z wycieczki sprzed tygodnia. Wziąłem jeszcze co nieco na ząb i wyszedłem z domu.

III. ŚRODA

Następnego dnia dzieci miały tylko pięć lekcji. Wracaliśmy do domu nie spiesząc się. Było dużo czasu na opowiadanie. Tym razem, Ola i Krzys nie mieli pomysłów, żeby mi coś podpowiedzieć.

Dobrze spróbujemy przypomnieć sobie, co też wydarzyło się potem - powiedziałem. - Muszę się jednak jeszcze chwilę zastanowić...

We trzech jest weselej niż we dwóch. We dwóch ma się więcej odwagi niż w pojedynkę. Ale kiedy na palcu jest czarodziejski amulet, nic człowieka nie jest w stanie przestraszyć ani zasmucić. A ja miałem pierścień i kolegów. Tym razem inicjatywę przejął Sławek:

Słuchajcie chłopaki, czy tam, gdzie już byliśmy, któryś z was widział choć jednego motyla? – zapytał.

Nie!

Dlatego musimy pójść tam, gdzie dotąd nie byliśmy. Którą drogę wybieramy, na wschód czy na zachód?

Kierunek wschodni wydał się nam ciekawszy. Podążyliśmy w tamtą stronę. Jałowcowy las skończył się. Dalej było morze traw długich jak samurajskie miecze. Cięliśmy je szabelką, żeby torować sobie drogę. Zbliżaliśmy się do krawędzi lasu, w którym zamiast drzew rosły paprocie i wielgachne kwiaty kopru. Niektóre krzewy przypominały liście marchwi. Pachniało miętą i akacjami. Nad naszymi głowami,

buczac basem, przelatywały pszczoły wielkości kurcząt. Były żółte jak mlecze. Dźwigały na swych tylnych nogach okazałe kieszenie pełne nektaru. Sławek pociągał nosem, delektował się:

Co za zapach, nawet w kredensie mojej cioci nie ma takiego...

Do tego rajskiego ogrodu dotarliśmy w sam czas, ponieważ nad termitierami pojawiły się już pierwsze roje ważek. Ostro zapach i ożywiony ruch pszczół budziły jednak nasz niepokój.

Słońce pozieleniało i skłoniło się ku zachodowi. Postanowiliśmy znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Trafiliśmy na niewielką, płytką norę pod korzeniami dziwnego drzewa, ot taką, by mogła pomieścić nas trzech i nikogo więcej. Zbyszek spróbował soku z wielkiego kwiatu, który przed chwilą opuściła pszczoła.

Dobry, nadaje się do picia. Spróbujcie, człowiekowi miód nie szkodzi to i ten sok nie otruje.

Poszliśmy za jego przykładem.

Przy samej ziemi płożyły się rośliny o owocach przypominających małe dynie.

Smakują jak chleb – zauważył Zbyszek.

Nasyчени ułożyliśmy się do snu. Zanim jeszcze zrobiło się ciemno, zapanowała cisza. Najłżejszy nawet wiatr nie poruszał liśćmi. Posrebrzane światłem zapalających się gwiazd rośliny, przypominały kute z metalu ozdobne płoty. Kiedy na dobre ściemniło się, obraz ten przemienił się w zimowy wizerunek kwiatów malowanych mrozem na szybach okien. Zasnęliśmy mocno, strudzeni ucieczką i wędrówką.

Nad rankiem obudziły nas małpie krzyki dużych, brązowych zimorodków. Ptaki polowały na zaspane i nieruchawe, o tej porze dnia, pszczoły. Daliśmy nurka w gąszcz. Sławek idąc rozcierał zaspane oczy. Zbyszek wciąż poprawiał sznurowadła. Ja upewniałem się, że mam na palcu zaczarowany pierścień.

Obserwowaliśmy kwiaty kopru, domyślając się, że gdzieś, tam ujrzymy poszukiwaną poczwarkę motyla. Wędrowaliśmy. Drogę przegrodziła nam pomarańczowa rzeka. Na szczęście płytka. Na jej dnie leżały zielonkawe salamandry.

Ja po dnie nie przejdę – powiedziałem. – Nie to żebym się bał... Brzydzą się tych paskudztw.

Sławek wdrapał się na wysoką trzcinę, której wierzchołek zgiął się łukowato nad wodami. Kiedy dotarł do końca, puścił łodygę i wylądował na drugim brzegu.

I co? Zły sposób? – chwalił się.

Razem ze Zbyszkiem zrobiliśmy to samo. Byliśmy z siebie bardzo zadowoleni. Dla dodania sobie animuszu zaśpiewaliśmy na całe gardło:

- Dokąd szedłem już nie dojdę, szkoda moich nóg...

Omijając kępy, szczeniaste jak jeże, ostrożnie poszliśmy poprzez mchy i wrzosa, wykrzykując naszą piosenkę:

- Jutro pójdę inną drogą, zostawcie mnie...

Nagle, ni stąd, ni zowąd, trafiliśmy na brukowaną drogę. Zaprowadziła nas w pobliże porcelanowego pałacu. Schowaliśmy się na poboczu. Poprzez rozchylone krzewy widzieliśmy krzątające się karły, ich osiołki i pająki. Sławek powiedział:

Omińmy to miejsce, żeby nie powtórzyła się przygoda z ważkami. Skręćmy w prawo.

Z tyłu, za pałacem, rosła plantacja parasolowatych grzybów. Nóżka każdego grzyba była nacięta, a z nacięć, do podwieszonych kubełków, spływał biały gęsty sok. Dalej rosły poziomki o jagodach wielkości tenisowych piłeczek. Niechcący natknęliśmy się na sędziwego, brodatego karła. Staruszek nie chwycił za gwizdek, wiszący na jego piersiach. Palcem przytkniętym do ust nakazał nam ciszę. Gestami wskazał nam dalszą drogę. Pożegnaliśmy go ukłonami.

Za plantacjami karłów rozplecił się las ostów. Ziemia tam było gliniasta i spękana. Tylko gdzieniegdzie rosły kępy żółtej trawy. Po godzinie marszu zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Nie zdążyliśmy odetchnąć, gdy obok nas przebiegło stadko pasikoników. Za nimi gnały ławą rozmaite owady i zwierzęta. Kolejne grupy przebiegały coraz szybciej. Pojawiły się galopujące wielkie myszy. Jedna z nich zawróciła. Stała słupka koło mnie. Poznałem ją – to była mysz, która przewiozła mnie w okolice termitier.

Siadaj na mój grzbiet. Musimy uciekać! – zawołała.

Co się stało? – spytałem.

Ktoś obudził salamandry!

Sprawę wyjaśniła dokładnie. Otóż salamandry, wypłoszone z wody, rozgrzewały się i płonęły żywym ogniem. Od tego powsta-

wały pożary. Jedynymi strażakami w tym kraju były karły i termity. Niestety, termity wychodziły dopiero nocą i dlatego, wzniecony w dzień pożar, szalał aż do zmierzchu. Kiedy termity ruszały do walki z ogniem, oblewały płonące krzewy wydzielinami ze swoich odwłoków. Karły były zazwyczaj zajęte wyłącznie obroną swoich plantacji.

Potarłem pierścień, ale oczekiwana pomoc Mandaryna nie nadeszła. Zrozumiałem, że to my zaniepokoiiliśmy salamandry głośnym zachowaniem w czasie przeprawy przez rzekę. Nie skorzystałem z pomocy myszy. Mogła zabrać na swój grzbiet tylko jednego jeźdźca. A ja nie chciałem zostawić w niebezpieczeństwie swoich kolegów. Pobiegliśmy razem w kierunku, w którym uciekały zwierzęta.

Stójcie, stójcie, zaczekajcie – wołał za nami Sławek.

Obejrzelśmy się za siebie. Stał pod widłakiem i wskazywał palcem wielki kokon uczepiony u wierzchołka. W tle za nim kotłowała się chmura rudego dymu.

Zostaw go, jest za mały... Uciekaj! – krzychałem.

Ale Sławek uparł się i dawał znaki do powrotu. Przekonywał nas: Może to być kokon motyla, którego szukamy.

Wlazł na sam szczyt rośliny i szabelką karła odciął poczwarkę. Zrzucił szabelkę i zaczął schodzić. Nagle poślizgnął się i runął w dół objając się o wystające pędy. Upadł płasko na plecy aż ziemia jęknęła.

Staliśmy nad nim przerażeni, a Sławek usiłował złapać oddech. Kiedy chwyciliśmy go za ręce i nogi, żeby nieść jak najdalej od pożaru, wyszarpał się z naszych objęć. Z trudem bełkotał:

Ratujcie kokon...

Aby nie przedłużyć sporu, Zbyszek chwycił jeden koniec poczwarki, a ja uniosłem ją z drugiej strony. Sapiąc pod ciężarem szliśmy dalej. Ogniowa nawałnica zbliżała się. Słychać było huk płonących ostów i salwy wybuchów pękających od gorąca owocni. Uwolnione nasiona sypały się na ziemię, jak grad gorących kamieni wyrzucanych przez wulkan. Zrobiło się niebezpiecznie. Nasiona ostów uderzały o glebę, wybijając niewielkie kraterki. Szliśmy skuleni z wciśniętymi między ramiona głowami. Na szczęście żaden ostowy pocisk w nas nie trafił.

Sam nie wiem, jak to się stało. Kiedy już ogień deptał nam po piętach, instynktownie dopadliśmy wejścia jaskini. Ponieważ do pieczary zaczął dostawać się dym, zapuściliśmy się głębiej, w jej wnętrzu. Szliśmy kaszłąc,

z załzawionymi oczami, a nieubłagany dym wsącał się za nami.

Chyba się podusimy – marudził Zbyszek.

Na co Sławek wykrzyczał desperacko:

A co, wolałbyś się usmażyć?...

Jednak szczęście nas nie opuściło. Jak się wkrótce okazało, jaskinia była naszym ratunkiem. Doszliśmy do podziemnej rzeki. Tu, zorientowaliśmy się, dlaczego w jaskini było widno. Światło pochodziło od wilgoci na skalnych ścianach. Woda w rzece promieniała najjaśniej.

Kiedy ugasiłmy pragnienie i przemyli piekące od dymu oczy, zaczęliśmy się śmiać niepohamowanym śmiechem. Każdemu z nas, po wypiciu odrobiny wody, głowa świeciła jak żarówka, a ręce stały się tak przezroczyste, że było widać kosteczki palców i naczynia krwionośne wewnątrz dłoni. Zbyszek zaczerpnął dłońmi wodę z rzeki i oblał nią poczwarkę. Zrozumieliśmy o co mu chodzi, pomogliśmy w tej pracy. Kokon stał się przezroczysty. Wewnątrz spał olbrzymi owad ze zwiniętymi jak żaluzje skrzydłami. Wydawało się, że cały jest ze złota.

Piękny – zachwycił się Sławek. – Jego oczy świecą szmaragdowo, popatrzcie!

Chociaż motyl wydawał się nam za mały, żeby mógł unieść wszystkich trzech, zaczęliśmy na serio upatrywać w nim ratunku.

Dopiero teraz usłyszeliśmy oddalone, dochodzące z głębi jaskini, miarowe uderzenia: bum, bum, buubum! ...

Co to jest? – zaniepokoił się Zbyszek. – Może to kroki zbliżającego się potwora?...

W takich jaskiniach mogą przebywać smoki – dodałem.

Postanowiliśmy ostrożnie sprawdzić przyczynę odgłosów. Ruszyliśmy wzdłuż rzeki, dźwigając poczwarkę motyla. Gdzieniegdzie pływały ślepe i przezroczyste rybki. Widać było ich delikatne szkielety i pulsujące serca. W niewielkim zakolu żyły szklane kraby wielkości ludzkich dłoni. Za zakrętem odgłosy uderzeń stały się wyraźniejsze.

Tam jest kuźnia – zauważyłem – Może mieszkają tu trolle albo gnomy o zielonych twarzach...

Sławek, znawca różnych osobliwości, objaśnił:

Trolle strasznie cuchną i już teraz musielibyśmy zatykać nosy. Przeczytałem wiele baśni, w żadnej nie spotkałem takiej jaskini.

Gnomy, jego zdaniem, zamieszkiwały nory ciemne i plugawe. Ow-

szem trudniły się kowalstwem, wyrabiały przecież gwoździe, które sypały na swych ścieżkach dla odstraszenia trolli... ale tu ich nie ma.

Wyraźnie kowal był jeden. Uderzenia młota powolne sprawiały wrażenie, że to olbrzym włada wielgachnym narzędziem. Kiedy byliśmy blisko, od każdego uderzenia trzęsło się dno jaskini, a powierzchnię srebrnej rzeki przebiegały drobne fale.

Rzeczywiście, na końcu korytarza była komnata przypominająca wnętrze ogromnego stożka otwartego u góry. Przez ten komin wylatywał na zewnątrz biały dym o żółtawym odcieniu. Pochodził on z paleniska, które olbrzymi, jednooki kowal podsycał wodą czerpaną z rzeki. Ilekroć opróżnił wielki kubek, czerwone kamienie, żarzące się w pękatym kotle na trzech nogach, wybuchały jaskrawymi płomieniami. W ich żarze zanurzone były żelazne sztaby. W okół stały klatki – dzieła tajemniczego kowala. Zauważył nas, ale nie przerwał pracy. Jego zielone oko zamrugalo. Olbrzymie usta wykrzywiły się w nieporadnym uśmiechu.

Jestem Szen-nung, a te klatki służą do chwytania piorunowych dzieci. Niektóre z tych istot przeradzają się w straszne ogniste demony. Przynoszą światu zniszczenia i nieszczęścia... - wyjaśnił.

Popatrzyliśmy w skalną studnię, do której leniwie wlewały się wody srebrnej rzeki. Z tyłu w półkolistej wnęce były trzy wejścia. Kowal poradził, żebyśmy wybrali środkowe. Podarował nam na drogę manierkę. Miała kształt obwarzanka i była zaopatrzona w specjalny wózek do jej transportu. Przykazał jeszcze:

O ile, natkniecie się na istotę zamkniętą w żelaznej klatce, nie ulegajcie jej prośbom. Nie wolno dać takiemu demonowi nawet kropelki wody.

Przyrzekliśmy to Szen-nungowi i poszliśmy dalej.

Nieszczęścia nie każą na siebie długo czekać. Natknęliśmy się na żelazną klatkę, w której był uwięziony, golutki jak święty turecki chłopczyk. Dziecko płakało żałośnie. Zamiast łez, z jego oczu sypały się strumyki szarego popiołu. Wyciągało do nas małe piąstki.

Zrobiło się nam go żal. Niepomny przestróg kowala, nalałem odrobinę płynu z manierki do swojej dłoni i podałem przez kratę. Chłopczyk chwycił moją rękę żelaznym uściskiem i wypił zawartość duszkiem. Jak oparzony odskoczyłem w tył. Postać w klatce zaczęła rosnać, aż rozsadziła więzienie. Przed nami stał, miotający z oczu iskry, Piorunowy Demon. Zachichotał złośliwie. Strzelił palcami.

W jego dłoni pojawił się ognisty miecz.

Potarłem szybko zaczarowany pierścień, ale i tym razem Czuan-g-tse nie przyszedł nam z pomocą.

Demon przyskoczył do manierki, wyrwał korek i wypił całą jej zawartość. Rzucił naczyniem o ścianę pieczary, aż posypały się głązy. Potem wyrąbał mieczem otwór w suficie. Z sykiem uleciał na zewnątrz.

Nabroiliśmy, nie ma co!

Ale trzeba było coś zrobić dalej. Sławek wtaszczył kokon motyla na wózek od manierki.

Uciekajmy stąd – powiedział.

Po drodze spotkaliśmy jeszcze kilka klatek z płaczącymi popiołem dziećmi. Na szczęście nie mieliśmy ze sobą ani kropelki wody. Niestety, nam również zaczęło dokuczać pragnienie. Jednak wstyd nam było wracać, bo co powiedzielibyśmy kowalowi.

Nad nami poczęły latać nietoperze. Prawdopodobnie wdarły się do jaskini przez otwór wyrąbany przez ognistowłosego Demona. Przybywało ich coraz więcej. Zderzały się ze sobą, spadały na dno jaskini, piszczwały, szamotały się. W tym zgiełku i rojowisku coraz trudniej było posuwać się naprzód. Machaliśmy rękoma, żeby odpedzić nietoperze. Grunt pod nogami stał się pochyły i śliski. Kiedy nie mogliśmy utrzymać się na nogach, usiedliśmy na śliskim podłożu. Dalej była jazda jak na zjeżdżalni.

Jedziemy, wiuuu jedziemy! HUUURRA! Wspaniale! – wołaliśmy jeden przez drugiego.

Trzymaliśmy się wózka z kokonem i mknęliśmy w dół, przechylając się na zakrętach. Z owej niezwyklej zjeżdżalni wysypaliśmy się wprost w nurty czarnej rzeki. Wózek od manierki poszedł na dno. Uchwyciliśmy się poczwarki jak koła ratunkowego. Mogliśmy płynąć dalej.

Wyłowił nas milczący Przewoźnik. Wtaszczył do swojej żelaznej barki. Patrzył na nas ponuro. Zauważyliśmy, że miał na czole dwie kropki ułożonych w kwadrat. Podobny znak widniał na łysinie Szen-nunga. To nas zastanowiło. Przewoźnik wiosłował i milczał. Naradzaliśmy się szeptem:

On jest przyjacielem kowala.

Chyba nie zrobi nam nic złego?

Sławek był innego zdania. Ta wyniosła, nieprzystępna postać niepokoiła go. Potarłem pierścień. Wtedy wzrok wiosłarza padł na mnie. Wyciągniętą dłonią zażądał pierścienia. Pokręciłem przecząco głową. Odłożył wiosło, podszedł i zabrał nam kokon motyla. Ponieważ nie chciałem oddać pierścienia, wyrzucił poczwarkę za burtę. Wszyscy wyskoczyliśmy do rzeki, żeby pochwycić naszą ratunkową tratwę. Dopłynęliśmy do niej nie bez trudu. Żelazna barka szybko się oddała.

Po chwili wyrzwał z wody łeb wielkiej ryby. W mgnieniu oka znaleźliśmy się w jej wnętrzu razem ze śpiącym motylem. Ryba płynęła, a nas zmorzył sen. Ponieważ byliśmy głodni, wszystkim przyśniła się wspaniała uczta: kolorowe aromatyczne soki, małmazja, ambrozja i rachatłukum. Brakowało tylko ptasiego mleka.

IV. PIĄTEK

W czwartek wieczorem Krzys i Ola przypomnieli mi szczegóły wcześniejszej opowieści. Domagali się, żebym kontynuował historię. Korzystając z ich zainteresowania poprosiłem, żeby podpowiedzieli, co jeszcze ma się zdarzyć. Przygotowałem się do następnego dnia.

W czwartek całą szkołą byli na wycieczce w lesie. Krzys znalazł wspaniałą hubę. Ola opowiadała o niebezpiecznym spotkaniu z szerszeniami i o tym, jak pani zabroniła zbliżać się do zdychającego tchórze. Prawdopodobnie zwierzę zachorowało na wściekliznę.

Po tej przygodzie, pani dyrektor umówiła się na spotkanie z leśniczym. Miał przeprowadzić pogadankę na temat niebezpieczeństw, jakie grożą dzieciom w lasach i o tym, jak należy się tam zachowywać. Przeżył było tyle, że naszą opowieść przełożyliśmy na piątek.

Wnętrze ryby nie było najprzyjemniejszą sypialnią. Zbudziłyśmy się w kwaśnych oparach, płynących z jej trzewi. Dusił nas kaszel. Należało jak najszybciej opuścić ten podwodny pojazd. Potarłem pierścień. Wyrzucił z niego błękitny płomień, który ugodził w ścianę rybiego brzucha. Ryba drgnęła konwulsyjnie. Kiedy drugi promień poraził przeciw-

legły bok, potężnym prychnięciem zostaliśmy wyrzuceni na zewnątrz.

Wynurzyliśmy się nieopodal brzegu. Dopłynęliśmy do piaszczystej błękitnej plaży. Kiedy wysuszyliśmy się nieco w ciepłym wietrze, rozejrzeliśmy się wokół.

Popatrzcie w drugą stronę, na horyzoncie znowu widać termitierę. – powiedziałem.

Zbyszek i Sławek zwrócili twarze we wskazanym kierunku. Bardziej zainteresowały nas białe kopce na przeciwległym brzegu zatoki. Najwyraźniej nie zostały stworzone przez naturę. Tam mogliśmy spodziewać się spotkania z istotami rozumnymi.

Chodźcie, zobaczmy co to jest – radziłem.

Gdyśmy tam dotarli, ujrzyliśmy szałas ułożone z wielkich, białych kości. Nieopodal zalegało śmietnisko rozmaitych odpadków. Najwięcej było skorup i rybich szkieletów. Do każdego szałasu dochodziła dróżka udeptana kaczymi łapkami.

Mieszkańcy tej wsi prawdopodobnie prowadzą życie ziemno-wodne – rozpoczął wykład Sławek. - Z pewnością są świetnymi pływakami. Świadczą o tym błony między palcami nóg...

Przerwaliśmy jego mowę machaniem rąk.

Już dość, lepiej popatrzmy – zaproponowałem.

Może tu żyją utopce – zaniepokoił się Zbyszek.

Sławek radził, żeby stamtąd zmykać, ale ja chciałem sprawdzić, co to za istoty mieszkają w domkach z kości. Wdrapaliśmy się na stok góry, której zbocza sięgały ostatnich chat. Usadowiliśmy się w trawie tak, żeby wszystko widzieć. Sami byliśmy dobrze ukryci. Kiedy niebo się wypogodziło, można było dojrzeć mierzeję oddzielającą zatokę od morza. Stamtąd nadpływały zielone, wąskie jak strąki grochu, łodzie. W każdej siedziało po kilka postaci w kapeluszach przystrojonych rybimi płetwami.

Mieszkańcy szałasów wrócili z połowu. Wydobywali z łodzi niewielkie, plecione kosze, pełne rozmaitych zdobyczy. Ryby, kraby, ślimaki, ośmiornice. Wszystko znosili w jedno miejsce pośrodku wsi.

Zobaczcie, na wyprawę wypłynęli wszyscy. Dzieci i kobiety również – zauważył Sławek.

Kiedy łodzie zostały opróżnione, wódz plemienia, który miał na głowie hełm z rybiego łba, podzielił zdobycze pomiędzy wszystkie rodziny.

Nad nami nieoczekiwanie zawisł cień. Obejrzelśmy się za siebie. Z góry staczała się niekształtna galaretowata masa. Jej wydłużone wypustki otaczały miejsce naszego ukrycia z dwóch stron. Zerwaliśmy się na równe nogi. We wsi zauważono ruch na zboczu. Kilku mężczyzn uzbrojonych w harpuny i kamienne topory ruszyło w naszym kierunku. Z dwojga złego, lepszym wydawało się nam dostanie w ręce Morskich Ludzi. Olbrzymia ameba spływała ślad w ślad za nami. Z jej cielska wypływały nowe galaretowate jęczory, inne cofały się.

Morscy Ludzie dopadli nas pierwsi. Chwycili za ręce i pomogli zbiegać w dół. Na brzegu czekały łodzie załadowane dobytkiem. Ludzie w pośpiechu zabierali najcenniejsze rzeczy. Pirogi zrobione z wielkich strąków grochodrzewu poczęły opuszczać plażę. Do ostatniej wsiedliśmy razem z wojownikami, którzy nas pochwycili. Wiosła pracowały szybko. Jeden z Morskich Ludzi pomrukiwał miarowo, dyktując rytm wioślarzom. Obejrzelśmy się za siebie. Galaretowata masa rozlała się po całej plaży. Pożerała kościane domki. Zmiotła nawet śmietniko. Na swej drodze, po zboczu góry, ameba wyżarła drzewa i trawy, aż do gołej skały.

Podróż pirogami trwała cały dzień. Dotarliśmy do nowej plaży. Brakowało jeszcze kilku łodzi. Zmęczeni ludzie, przestępując z płetwiastej nogi na płetwistą nogę, z niepokojem patrzyli w morze. Zaczęło zmierzchać. Oni stali wpatrzni w horyzont i milczeli. Nagle jeden z młodzieńców wskazał punkt w oddali i zaczął radośnie wykrzykiwać. Inni chwilę patrzyli we wskazanym kierunku, po czym rozgadali się jak perliczki. Młodzież puściła się w tany.

- Hula bula, gulga – wykrzykiwali.

- Fiju fju, tirlu fiu fiju – jeden staruszek wygrywał zawrotnie trele na podziurkowanej muszli.

Jakaś kobieta bębniła na wysuszonym rybim pęcherzu. Zapanowała radość.

W ciemności ostatnie pirogi przybiły do brzegu. Okazało się, że Morscy Ludzie upolowali niewiarygodnej wielkości wieloryba.

No, tylko popatrzcie, ustawili na nim żagle i dokładnie przyzęglowali tutaj – zdumiał się Sławek. – Co za zmyślny naród.

Dzieci wynajdywały świecące owady. Przywiązane do patyków służyły jako pochodnie. Całą noc trwała wyteżona praca. Nikt nie

spał. I następny dzień, i następną noc. Tak było przez tydzień. Aż z wieloryba zrobiono ubrania, zapas wędzonego mięsa i pełne naczynia tranu. Z jego kości i skór pobudowano całą wieś białych szałasów.

Pomagaliśmy we wszystkich pracach. Mieszkaliśmy tam jeszcze dwa tygodnie. Każda nasza próba odejścia kończyła się zbiorowym lamentem Morskich Ludzi. Nie mieliśmy sumienia zastawiać ich w takim wielkim żalu. Naradzaliśmy się, co robić.

Nie możemy tu zostać do końca życia – przekonywał Zbyszek. – Ucieknijmy.

Bez pożegnania nie można, przecież uratowali nam życie. Ale powinni nas zrozumieć... – irytował się Sławek. – Spróbujmy wytłumaczyć. Co robić, lubię ich, ale my nie jesteśmy więźniami!

Pewnego dnia całe plemię wypłynęło na połów. We wsi zostaliśmy tylko my trzej i sędziwy wódz w hełmie z rybiej głowy. Niewiele mówiąc zaopatrzył nas w plecaki z jedzeniem i manierki z wydrążonych wewnątrz okazałych nasion. Zaprowadził nas do ukrytej zatoczki nieopodal wsi. Tam czekała łódź z zielonego strąka grochodrzewu. A w niej, nie wierzyliśmy własnym oczom...

Poczwarka naszego motyla – zawołałem.

Jest! A ja myślałem, że pożarła ją ameba – cieszył się Sławek. Zbyszek obmacał dokładnie kokon.

W porządku, cała!

Wódz uśmiechnął się zagadkowo. Teraz twarz jego wydała się podobna do jakiejś innej twarzy. Poprosił nas o szablę karłów. Ponieważ wiedzieliśmy, że Morscy Ludzie nie potrafili wytapiać ani obrabiać metali, oddałem to cenne narzędzie. W zamian za nie, wódz obdarował każdego z nas wspaniałym nożem z wulkanicznego szkła, oprawionym w kleszcze kraba.

Odepchnął pirogę i wskazał kierunek. Popłynęliśmy w stronę czarnego wulkanu. Wódz stał na brzegu cały czas. Domyślaliśmy się, że jak to jest w zwyczaju Morskich Ludzi, płakał ze wzruszenia.

W połowie drogi odłożyliśmy lancetowate wiosła. Dostaliśmy się w morski prąd, który szybko unosił naszą łódź. Mijaliśmy kwiaty morskiej fasoli i pasiaste muszle ślimaków – żeglarzy. Zbliżaliśmy się do wyspy. Przy brzegu woda była bardzo ciepła. Tam kipiało życie

najrozmaitszych zwierząt i roślin.

Czemu te ryby w tak ciepłej wodzie nie rosną? – zapytał Sławek.

Zbyszek również wiedział, że w ciepłych wodach morskie organizmy rozwijają się dobrze i dorastają dużych rozmiarów. Ja spróbowałem wody:

Bardzo gorzka, może jest trująca?

Wyplułem resztę z powrotem.

- Lepiej tego paskudztwa nie pić – dodałem

Skutki mojej nieostrożności nie dały na siebie długo czekać. Rozbolał mnie brzuch i dostałem gorączki. Po moim rozpalonym czole spływały krople potu. Już na brzegu, koledzy wycierali moje rozognione ciało wielkimi liśćmi. Przypadkowo trafili na rodzaj rośliny, która wyraźnie przynosiła mi ulgę.

Okrzyjcie mnie całego tymi liśćmi – prosiłem.

Dobrze, już dobrze, tylko nam wyzdrowiej – z troską w głosie potarzał Zbyszek.

Wieczorem gorączka ustąpiła. Sławek skrzesał iskry obsydianowym nożem. Rozpalił ognisko. Piekliśmy, powbijane na patyki, kostki wielorybiego mięsa. Zbyszek poszedł na poszukiwanie opału. Przybiegł zasapany:

Chłopaki, nieszczęście, kraby poprzegryzały dno naszej łodzi! A to pech!

Musieliśmy zrezygnować z planu żeglugi wzdłuż brzegu.

Nocą obserwowaliśmy słup światła wypływającego z krateru wulkanu. Oznaczało to, że wulkan jest czynny. Ale żadne pomrukiwanie ani inne odgłosy nie zapowiadały wybuchu. Przeciwnie, panowała niezmacona cisza. Żadnego głosu ptaków, żadnego szelestu wiatru. Nawet fale nie pluskały o brzeg.

Ta cisza nie wróży nic dobrego – powiedział Sławek. – Gdybym miał kóź, odpłynąłbym stąd w te pędy. Słyszałem, że marynarze mówią o ciszy przed burzą...

Zbyszek podchwycił temat:

Coś się musi wydarzyć, albo morska burza, albo wybuch wulkanu. Ale jak nastąpią te dwie rzeczy naraz, to koniec!

Uczył gest, jakby chciał sobie poderżnąć gardło.

Gderanina Zbyszka okazała się trafną przepowiednią. Nad ranem spadła rześista ulewa. Było istne oberwanie chmury nad samym kraterem wulkanu. Woda, rozgrzana w jego wnętrzu, rozsadziła górę. Z boku, w tę rozpadlinę wtargnęło morze. To spowodowało kataklizm, który zniszczył całą wyspę. Przed gradem wyrzucanych przez wulkan kamieni, skryliśmy się w niewielkiej pieczarze. Kiedy przelały się nad nami morskie fale, pieczara przekreśliła się otworem do góry. Okazało się, że płyniemy w wielkiej dyni, wydrążonej wewnątrz przez mrówki.

Wyberzmy z wnętrza resztę mrówek, mogą przegryźć ściany naszego „okrętu” – zaproponowałem przeczornie.

Dynia była spłaszczona, więc kołysała się na falach utrzymując równowagę. Stojąc na jej dnie można było wysadzić głowę i obserwować morze. Szczęśliwie, w czasie toczenia się owocu po zboczu wulkanu, utrzymaliśmy przy sobie poczwarkę motyla i dwa plecaki. Ocalała jedna manierka i dwa noże ze szkła wulkanicznego.

Dryfowaliśmy. Z bezpiecznej odległości widzieliśmy zagładę kilku innych wysp, którą spowodował poranny deszcz. Docierały do nas tylko olbrzymie kilkumetrowe fale – echa katastrofy.

Niebawem przekonaliśmy się, że zagłada wysp i jej skutki wciąż nas dotyczyły. Ptaki, które zamieszkiwały wyspy, krążąc nad oceanem szukały miejsca spoczynku. Naszą dynię upatrzyło sobie stado mew.

Będą kłopoty, one lecą prosto na nas – powiedziałem.

Ptaki wielkości gęsi łądowały. Próbowaliśmy je odpędzać. Spychaliśmy je do wody. Niestety krzyki i uderzenie pięści nie robiły na nich wrażenia. Pod obciążeniem dynia zanurzyła się niebezpiecznie. Woda wdarła się do wnętrza. Dynia zatonięła, a my pozostaliśmy na środku oceanu, uczepleni poczwarki motyla. Przepadł plecak z walówką i utonął obsydianowy nóż.

Potarłem pierścień. Początkowo nie było żadnego efektu. Trochę się temu dziwiłem, bo w tej przygodzie nie było naszej winy. Jednak ratunek nadszedł, a raczej nadleciał.

Zbyszek dostrzegł niewyraźny obiekt nadlatujący od strony słońca. Nie wierzyłem własnym oczom.

- To balon, koledzy! Balooooon! – wołałem.

Wrzcionowaty kształt z kolorowym śmigłem sunął prosto na nas.

Tu jesteśmy, hej, hej! Ahoj! Tutaj! – krzyczeliśmy ile tchu w piersiach.

Zbyszek ściągnął swoją mokrą koszulę w kolorowe pasy i usiłował nią wymachiwać:

Tutaj do nas, halo!

Balon powoli zawrócił z kursu i obniżył lot. Gondola sterowca osiadła na wodzie kilka metrów od nas. Otworzył się okrągły właz, z którego wyrzała roześmiana, wielkoucha twarz. Nawigator miał nastroszone włosy pomalowane we wszystkich kolorach tęczy. Rzucił w naszym kierunku linę zakończoną niewielkim pływakiem. Po kolei weszliśmy na pokład dziwacznej łodzi uwiązanej do balonu. Jej właściciel, a zarazem jedyny członek załogi, nie licząc łaszącego się zwierzątka, obejmował nas serdecznie. Poklepywał po ramionach. Śmiał się wesoło. Zwierzątko przypominające kota z krokodylą głową, lizało nas po rękach i robiło niewiarygodne skoki i salta.

Przez szklany iluminator Sławek dojrzał nadlatujące mewy.

Chłopaki, znowu są, popatrzcie! – zawołał.

Nie koniec kłopotów, co robimy...? – spytałem.

Po chwili usłyszeliśmy nad swoimi głowami tupot dziesiątków nózek. Okryta szczelnym dachem łódź zanurzyła się mocniej. Właściciel pojazdu, wesoło pogwizdując, biegał wzdłuż kabiny i zamykał wszelkie otwory. Na koniec uruchomił zakrzywioną dźwignię. Poczuliśmy lekkie drgnięcie i łódź pogrążyła się w wodzie. Spłoszone ptaki poleciały za uwolnionym balonem, a my już oglądaliśmy podwodne cuda: gwiaździste ukwiały, tańczące węzowidła i elektryczne ryby iskrzące przy spotkaniu z innymi zwierzętami. Chwilę naszej nieuwagi wykorzystał pupil Nawigatora. Dobrał się do naszego kokonu. Zanim zdążyliśmy go odpędzić, wygryzł niewielki otwór.

I po co żeśmy taszczyli tego owada ze sobą, taki szmat drogi? – z rezygnacją westchnął Sławek.

- Trudno – powiedziałem. - Przecież kilka razy pływająca poczwarka uratowała nam życie...

Tęczowowłosy człowieczek zaśmiał się wesoło. Otworzył okuwany kuferek i wydobyl z niego zwój plastra. Zalepił dziurę, opatrunek przyklepał dłonią i radośnie popatrzył nam w oczy.

Nic z tego nie będzie – zauważyłem.

Zobaczymy – odpowiedział i ponownie uchwycił stery.

Zwierzątko, świadome swojej winy, wycofało się pod ścianę i zwinęło w kłębek.

Płynęliśmy jeszcze jakiś czas między krzaczastymi koralowcami, aż maszyny stanęły. Nasz gospodarz odpiął od ściany składany stolik. Ustawił na nim misę z ostrygami, każdemu wręczył owoc podobny do ogórka i zademonstrował, jak należy spożywać ów posiłek. Nie był on specjalnie smaczny. Nie chcieliśmy robić przykrości Nawigatorowi, więc zjedliśmy wszystko do końca.

Lepsze to niż nic – szeptem przekonywał Sławek.

Cicho bądź, jeszcze usłyszysz i się obrazi. Uważaj, popryskales mnie sokiem – przywoływałem kolegę do porządku.

Nie mówcie, to się da jeść... zjadłem cztery – wtrącił Zbyszek.

Przygoda na tym się nie skończyła. Niespodziewanie pojazdu dopadł olbrzymi krab, uchwycił go w kleszcze i powłókł przed siebie. Zdrętwieliśmy z przerażenia. Jednak Nawigatora dobry humor nie opuścił, nawet w tak przykrych sytuacjach. Zachichotał pod nosem i objaśnił:

Zaoszczędzimy trochę na paliwie. Niech krab dźwiga sobie podwodne cygaro, a my... zagrajmy w karty.

Nie była to zwyczajna gra, ale właściwie wróżba. Kolorowe karty przedstawiały brodatych mężczyzn z dębowymi pałkami, kruszące się od pioruna wieże, płonące koła.

To jest Tarot, gra filozofów – wyjaśnił Nawigator.

Graliśmy i jednocześnie uczyliśmy się zasad tej gry. Koniec gry był zastanawiający.

Ja mam Wisielca – zawołał Sławek. Pokazał swoją ostatnią kartę.

U mnie też pozostała taka sama karta – powiedziałem.

Zbyszek nachylił się do przodu, milcząco rzucił na stolik swoją kartę. Obok siebie leżały trzy identyczne obrazki, przedstawiające postać za nogę przywiązaną do konaru drzewa. Nawigator namaszczonego ruchem powoli położył kartę z płonącym kołem.

Co to znaczy? – zaciekał się Zbyszek.

Nasz gospodarz spoważniał. Potarł dłonią czoło i przez chwilę myślał.

Cóż – powiedział. – Nie bardzo rozumiem... Ale wygląda na to, że czeka was jeszcze jedna znacząca przygoda...

Krab dźwigał podwodną łódź. Kokon był nadgryziony. Cel podróży nieznany. Wyobrażałem sobie, że olbrzymi stawonóg znudzi się zabawą w tragarza i zacznie zajadać konserwę z zawartością, to znaczy z nami. Nic takiego się nie stało. W pewnym momencie wypuścił zdobycz z kleszczy. Łódź poczęła unosić się ku górze. Killkakrotnie uderzyła o występy podmorskich skał, aż wypłynęła pośrodku niewielkiego stawu na pustynnej wyspie.

Nawigator z pogodnym uśmiechem wysadził nas na brzeg, wytaszczył poczwarkę motyla. Zaopatrzył nas w żywność i polecił czekać nocy. Na pożegnanie podarował niezwykłą talię kart. Bez wyjaśnień zamknął za sobą właz i łódź zanurzyła się w stawie.

Co to znaczy? – zapytał Sławek.

A bo ja wiem, kazał czekać zmroku, to czekajmy... - powiedziałem. Wtedy Zbyszek zaproponował:

– Zagrajmy w karty, szybciej czas zleci!

Zajęci grą nie zauważyliśmy, że wyspa poruszyła się i zaczęła się powoli obracać. Kiedy gra się skończyła, każdemu z nas została w ręku identyczna karta. A najdziwniejsze było to, że przedtem podobnych kart nie widzieliśmy w talii. Każda z trzech kart przedstawiała kamienny stół karłów, ale każda z nich była w innym kolorze. Jedna żółta, druga czerwona, a trzecia niebieska.

Dopiero teraz zorientowaliśmy się, że wyspa, na której pozostawił nas Nawigator, ma idealnie okrągły kształt i obraca się. Pośrodku połyskiwał staw, a wokoło nas wryte były tajemnicze znaki.

Ta wyspa wygląda jak stół na naszych kartach! – zdziwił się Sławek.

Tu są chińskie napisy i symbole, jak na stole karłów. O zobaczcie! Ciągłe i przerwane kreski a tu kwadraty, jak na manuskrypcie – wołałem.

Rzeczywiście, chłopaki, to są chińskie litery – przytaknął Zbyszek – Trzeba je oczyścić!

Uklęliśmy na kamiennym dysku i pełzając na czworakach, dłońmi wygrzebywaliśmy drobiny piasku z wrytych w podłożu liter. Największy znak był zalepiony spieczonym żużlem. Wydobyłem obsydianowy nóż. Drapałem w zapamiętaniu, aż oczyściłem cały znak.

Ledwie skończyłem to zajęcie, leżąc po drugiej stronie stawu poczwarka trzasnęła kilkakrotnie. Spojrzeliśmy w tamtą stronę. Z konku wydobył się piękny, złoty motyl o szmaragdowych oczach. Ruszyliśmy biegiem w jego kierunku. Zanim okrążyliśmy staw, motyl zdążył rozprostować skrzydła i unosił się w powietrze. Tańczył w górę i w dół, a my podskakiwaliśmy, żeby go schwytać, kiedy zniżał lot. Byłem tak pochłonięty próbami pochwylenia owada, że nie zauważyłem, kiedy spadł mi z palca zaczarowany pierścień. Począł toczyć się z brzękiem i rosnąć w oczach. Zawahaliśmy się: łapać motyla czy gonić pierścień. W końcu pierścień chlupnął do dziury pośrodku kamiennego dysku i utonął, a motyl zawirował w świetlistej beczce i odleciał. Kamienny dysk wynurzył się z morza, unosił się ponad fale i z przeraźliwym gwizdem uleciał w ślad za motylem. Przestraszeni rozpląszczyliśmy się na powierzchni kamienia. Ręce czepiały się wyrytych znaków. Wiatr porwał talię kart, rozsypała się w powietrzu. Obsydianowy nóż stoczył się do krawędzi dysku i spadł do morza.

Zapanowała ciemność. Lecieliśmy w kierunku otworu świetlistego tunelu. Potem była feeria barw, kołowrót wspomnień i niezwykle zapachy. Kiedy tunel nagle się urwał, ujrzeliśmy z góry nasze miasteczko i dom Sławka.

Kamienny dysk pod nami topnieje, już nie ma za co się trzymać – wołałem.

Zniknął, co to będzie – wtórował Zbyszek.

Staliśmy na rozedrganych nogach pośrodku podwórza. Obok nas fruwał sobie maleńki cytrynek.

Ledwie ochłonęliśmy, kiedy Sławek wskazał postać Mandaryna w czarnej oponczy. Właśnie wchodził do domu.

- Biegniemy za nim – zawołał.

Dotarliśmy na strych. Czarny Mandaryn pospiesznie zwijał manuskrypt. Zobaczywszy nas usiłował wtłoczyć zwój do mosiężnej rury. Złapaliśmy za drugi koniec manuskryptu i poczęliśmy się szamotać.

Puszczajcie smarkacze – syczał przez zęby mandaryn.

Był wyraźnie silniejszy od nas trzech, ale my nie ustępowaliśmy w walce.

Oddaj złodzieju – Sławek cedził słowa. - Chłooooopaki nie dajmy

się – mówił z wysiłkiem. – Trzyyyyymaaajcieee mmmocno!

Nad podwórzem załopotaly skrzydła wielkiego Naga. Po chwili na strychu zjawił się Czuang-tse.

Cóż Mandarynie Czy-kung – powiedział – Znowu się spotkaliśmy. Tym razem udało ci się odnaleźć zaczarowany manuskrypt. Ale walka nie jest skończona...

Postać w fioletowej szacie błyskawicznie znalazła się przy nas. Dłoń Czuang-tse chwyciła zwój. Obaj mandaryni szarpali zwój, każdy w swoją stronę. Wdzieliśmy zmęczenie na twarzy Czuang-tse. Postać w czarnej opończy uśmiechała się triumfująco. Wtedy Sławek chwycił stary tasak, walający się po podłodze pracowni, i ciał manuskrypt po środku. Obaj walczący upadli, każdy w swoją stronę.

Czuang-tse rozwinął swoją część i powiódł palcem po znaku z zabawnym zawijasem. Mandaryn Czy-kung skrzywił się boleśnie.

- Oszczędź, daruj – zdążył wymamrotać.

Powoli zamienił się w cień. Cień chwilę błędził po strychu, aż zderzył się z postacią mistrza Czunga. Mandaryn otworzył usta i połknął przeciwnika.

Walka skończona – zakomunikował. - Zbójca Czy-kung nie istnieje!

Usiedliśmy przy zakurzonym stoliku. Czuang-tse objął nas serdecznie. Wtedy każdy z nas poznał, że wszystkie osoby, które nam pomagały w czasie pobytu w zaczarowanej krainie, miały twarze podobne do twarzy mistrza. Mandaryn odgadł nasze myśli i uśmiechnął się pobłażliwie. Podarował nam ocalałą połowę manuskryptu. Wiedziony intuicją spaliłem papier w płomieniu świecy.

Tak będzie lepiej, on nikomu nie jest już potrzebny – powiedziałem.

Postąpiłeś słusznie – pochwalił Czuang-tse.

Potem pożegnał nas serdecznie i zabrał ze sobą mosiężną rurę. Wielki Nag odleciał a z nim Czuang-tse.

Stałem z przyjaciółmi na podwórzu z oczami wpatrzonymi w niebo. Przelatujące chmury przybierały kształty niezwykłych krabów, ptaków z błyszczącymi skrzydłami i olbrzymów...

Epea 11

Polubiliśmy odgadywanie obrazów powstających z chmur. Jeszcze potem, często razem patrzyliśmy w niebo. Ilekroć siedzieliśmy z wędkami nad kanałem niedaleko upustu, opowiadaliśmy historie tak baśniowe, że aż prawdziwe. Czuliśmy się wyjątkowi. Posiedliśmy przecież sztukę czytania z chmur tajemnych przekazów ze świata fantazji!

I to już koniec tej baśni – oznajmiłem Oli i Krzysiowi. - Czy podobiała się wam?

Ola zamyśliła się.

Krzyś powiedział:

- Szkoda, że taka krótka ...

Halina Alfreda Auron

* * *

Całe niebo opada
- na swój sposób bezpieczne –

ku polom, wzgórzom, przy rzece
łą, bogactwem kołysze

zniewała w drodze dotyka
każdy inny ślad

każdy inny promyk słońca
w ramionach chmur

rozpoznajesz zachłanność
ważki?...

11.07.2012 r.

Nadbiebrzańskie dary

Emilce W.

Bez względu na dalszą drogę
otworzyć szeroko ramiona
zatrzymać ciepło barw
z tęczą słońca
zapachem deszczu brodzić do woli
do syta w rozległe błonia
bujnych traw
cichutko na palcach roztańczyć
szelest lat
... gdzieś tam w otulinie traw
skrzat na lutni gra
jeszcze dla ciebie
dla mnie z łaski niebios
dziedzictwo nadbiebrzańskie
20.07.2011.

Jesienne wieczory

Darii W.

pachną miodem , ziołami
w zmarszczonym polu podlaskim
niełatwą ciszą drzemiąc
gałęzie kładą cień na wietrze
korale jarzębin i
mgły pajęczce
coś do mnie mówią - niedostępnie

Szaruga jesienna
w muszelce swojskiej ziemi
od Tatr po fale Bałtyku
kamyczki zielono-czerwone układam
w mozaikę zaślubin
nadziei i miłości miasta ze wsią
w związek świętej gościnności

Ziemo o smaku chleba
w poszumie deszczu białej brzozy
i czerwonej kaliny
pośród betonowych ulic
wiatr uderza
jak muzyka Szopena –nieodłączna
w sercach przelotnych motyli
7.09.2012

Nasze gesty

Stasiowi W.

w lustrze wody
po tej samej stronie brzegu
zmarszczki i blizny
taniec stóp
wiatr szalony
gra na lutni
rozległe marzenia
każdego dnia
fragmenty stromych zboczy
i nasze gesty
niczym kręgle na wodzie
w poszumie rozdzielających fal

uśmiechasz się tak wiosennie jeszcze
dotykając kolorów co płowieją
słów co dzielą
słów co łączą
odcinki pracy
w wielkie tryby wydarzeń
20.10.2011.

* * *

nasza mapa emocji
ze smugą cienia
przebłyśki światła i rosy
szept i egoizm pustego spojrzenia
nie widzisz przed sobą
gdzie góra _ gdzie dół

choćby rozpoznać
wspaniałe widoki -
lot ptaka... szum dąbrowy
w tle

Józef Zenon Budziński

Henadziemu za wszystko

Odnaleźć

Siebie

W kropli deszczu

Rosy

Białoruskich

Łąk

W toni Niemna

W milczeniu

Nad grobem

Elizy Orzeszkowej

Na cmentarzu

Grodzińskim

Odnaleźć

Siebie

Zostawiając ślad

W kropli rosy

O poranku

Na polach

Białorusi

Grodno 28.08.2009r.

Odejść
Przytulić świat
Ostatnim spojrzeniem
Pozbierać
Rozproszone gwiazdy
I bez lęku
Poprosić Boga
O wieczny sen

Grajewo 23.10.2009

Czy słyszysz
Zieleń
Moich oczu
jesienią
wołam
o wiosnę

Grajewo 23.10. 2009

Wystarczy jedna
Myśl
Która unosi
Ciało
Do życia

Grajewo 24.10.2009

Epea 11

W ciągu
Dnia
Przywołują
Obrazy nocy
Przysłonięte
Jasnością

Grajewo 24.10.2009

Ciągle wracam
I od nowa
Zaczynam
Swoje wędrowanie
Ku wieczności

Grajewo 24.10.2000 r.

Słowa oplotły
Myśli
Po wierszach
Ani śladu
Niezdarnie
Stawiam kroki
Dotykając myśli
Drugiego człowieka
Ucząc się żyć

Grajewo 05.03.2007r

Zakochałem się
Do bólu
Dostałem kopa
Prosto w serce.

Grajewo 06.11.2003r.

Czasami pięść jest
Jedynym
Rozsądnym
Słowem

Białystok 21 .08 2006 r

Kazimierz Burnat

Ziemio

Zniecierpliwiona
nieustannym pukaniem
jego stóp
otwórz się gdy dotrze
do szczytu oczyszczenia
przyjmij go wraz z Nią
do swego łona

niech się ukorzenia
modlitwą drzew

brzemienna
wydaj światu
genialne twory natury
odporne na ciosy rozumnych
i nierozumnych istot

* * *

W kleszczach narodzin i śmierci
każdy człowiek w coś ucieka
a wokół ogrom radości
wsiąka w niebyt

czasu tak niewiele
aby się ukorzenie

Otwartość

Niechcianym uśmiechem
haftujesz wrażenia
obce rzeczywistości

na dźwięk kołatki
klękasz przed konfesjonałem
myśli wywołują popłoch
jak garść ziaren
rzuconych w stado ptaków
ale wyznanie win
uprzejrzyścia prawdę
rozkoszą nasycenia
z nawróconego źródła

nie wysuszaj łez
wsączonych w radość
słońce wplecie je w cień

tryumfuj duszo
leć

Bezdena niebieskość

Za rogiem ostatniej sekundy
plantacje ducha
pędy rwące ku niebu
w wieczność

zbłąkany podmuch inspiracji
wysiłek podświadomości
i olśnienie –
epifaniczne iluminacje
nad niewyczerpalnym źródłem życia
wnikają w krainę
nieziszczalnego spokoju

fuga w szczelinie życie-śmierć
łączy szept z ciszą

jednak w bezwietrznej wieczności
radość ułudą
chirurgicznym pojnowaniem ducha
w czarnym prześcieradle

taka twoja
piękna samotność

Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz

Kolekcjonerka

Pewna pani z Milanowka
uwielbia łapać za słówka
i niezłe miewa wyniki,
bo wydała trzy słowniki,
a to jest spora gotówka...

Pechowy łowca

Pan Henio z miasta Pruszkowa
wspaniale czuł się na łowach,
lecz raz na oczy był chory
i złapał się w monitoring,
więc czeka cela gotowa...

Z historii małżeńskich

Pewna żona z miasta Przysucha
na błagania bywała wciąż głucha,
więc gdy mąż o coś prosił,
to ją mocno tarmosił,
lub niekiedy używał obucha.

Wytrwałość w miłości

Pan Edek z Płocka przez lat wiele
kocha namiętnie piękną Elę,
ale, niestety, ta Ela
bez przerwy go onieśmiela,
bo sypia z jego przyjacielem.

Epea 11

Rozrywkowy

Staszek mieszkający w Mławie
życie strawił na zabawie,
a dzisiaj, gdy ktoś go pyta,
zabawia się w emeryta,
co wygląda nieciekawie...

Pani Aneta i jej skarpeta

Pani Aneta, z warszawskiej Ochoty,
bez przerwy zbiera w skarpecie banknoty,
a choć się zbiorek podoba jej cały
kocha szczególnie wyższe nominały,
lecz z tym ostatnim bywają kłopoty...

Usłużna żona

Kiedy pan Józef z Przasnysza
ze zmęczenia ledwie dyszał,
żona, która ma dobre serduszko,
przycisnęła mu głowę poduszką,
by dyszenia nikt nie usłyszał.

Czyścioch

Fred zamieszkały w Ostrołęce
uwielbia chlapać się w łazience.
I mamy na to dowody:
na całym osiedlu wody
zużywa zawsze najwięcej.

Przestroga przed rechotaniem

Julia z Mińska, radosna, że ach,
rechotała po całych dniach,
czym zwabiła bociana
i jest teraz stroskana,
bo ten dziecko jej wrzucił pod dach...

Zawiść zawodowa

Leokadia z Wołomina
bardzo często włosy ścina,
lecz mówią inne fryzjerki,
że to jest kawał frajerki,
ale to miła dziewczyna.

O krytyce w polityce

Pewna pani z miasta Kolna
w krytyce była powolna
i nim zdanie wyrobiła,
już się ekipa zmieniła.
Na nic więc praca mozolna...

Miłośnik nauk

Pan Eustachy z Rajgrodu
ciągle się uczył za młodu,
a gdy czterdziestki już dożył,
maturę w końcu też złożył,

choć dużo z tym było zachodu...

Jak w starożytnym Rzymie

Kiedyś panów dwóch starszych w Stawiskach
dosyć ostro się prało po pyskach.
A dlaczego? Bo chleba
mieli już, ile trzeba,
więc potrzebne im były igrzyska!

Oszczędny

Pan Atanazy z Goniądza
docenia wagę pieniądza:
Jednogroszówek trzy wory
zgromadził już do tej pory
i teraz czwartym zarządza...

Epea 11

O autorze

Raz zakrzyknął z Grajewa choleryk:
Nie ma dla mnie w twórczości bariery!
Jeśli zechcę, w godzinę
z powieścią się uwinę.
I tak powstał ten właśnie limeryk...

O nieprzebierającej w słowach

Z Zabłudowa pani Wiera
w wulgaryzmach nie przebiera,
używając ich z pięć setek,
mówi więc o niej mąż Mietek,
że to jest straszna cholera...

W poszukiwaniu prawości

Pani Eulalia z Wizny
nienawidzi wprost lewizny,
a że męża ma mańkuta,
krążąc po mieście jak struta
szuka prawego mężczyzny.

Problemy ze snem

Pan Ludwik z Białegostoku
uwielbiał sypiać na boku,
a że bardzo był niemrawy,
nie widział – lewy, czy prawy,
więc wysypiał się raz w roku...

Zapas gotówki

Pani Ewelina z Hajnówki
bardzo sobie ceni zapas gotówki
i jest nader szczęśliwa
przez woreczek grosiwa.
Wkrótce dojdzie do pełnej złotówki!

Myśliwy

Pan Seweryn z Augustowa
w puszczy lubi zapolować.
Trofea aż ciężko zliczyć:
ostatnim był pan leśniczy,
przedostatnim – dojna krowa

Grażyna Cylwik

Droga

drżąca pukam do serca
moja samotność prosi o wsparcie

tyle uleciało słów i westchnień
pali się ogień i tli płomień

nie chcę kusić losu

aby skrzydłami motyla
wiatr
nie rozpętał huraganu

Książka

szukam w niej natchnienia

choć okładka szorstka niedostępna
skrywa tajemnicę

chcę być przez chwilę w głębi słowa

Powiedz

powiedz wietrze północny
że zabierzesz mnie jak nitki babiego lata
na szalony bal

powiedz

będę polaną spowitą w pajęczą woalkę
przetykaną iskrzeniem deszczu

cisza

kasztan spada wśród starganych gałęzi
skrywa w sobie szczęśliwą pamięć drzewa

nie zadaje pytań
trwa

Wrażliwość

ostry kamień kłuje dotkliwie stopę
kość Matki Ziemi uczy pokory

mam kamyki wotywne na drogę
biegnę śladem Twoich stóp

dziś świat posmutniał
stróż ukrytego prawa ciosa kamień
oko zamyka wrażliwość i piękno

Małgorzata Dobkowska

DANCE MACABRE

wiele nieuzasadnionego bełkotu bez żadnej przyczyny chaos
aspiracje (dez) integracja negatywna przerywniki
interpunkcja zupełnie dowolna
i już obnosisz się jak zadowolona z siebie kokieta
grunt to dobre samopoczucie
obraz dopełnia joint obowiązkowa szklanka piwa
(dotychczas nic innego nie wymyślono Bruno
chyba że żytnią dalszych marek nie będziemy ujawniać)
dobrze też coś spożyć przed i w trakcie tworzenia
np. kanapkę z szynką i musztardą

graj nam dalej piękny Cyganie do wynajęcia
dokolotka wesolutko do upadłego tchu przedostatniego
szorstkiego dotyku desek w podłodze
odkrycia skarbu tajemnego przejścia mysiej dziury szafy
przechadzki w rzeczywistość równoległą wirtualną grę
niebyt wymiar zasnąć

jak te światło razi
zabierzcie ten reflektor panie władzo proszę
nie naprawdę żadnego psa po pijaku nie przejechałem
nie słyszałem skowytu kocham zwierzyne
i nie zelżyłem parlamentarnie spokojnych mieszkańców miasta
dzwonnica nie tykałem żadnego dzwonu serio
i nie biłem na trwogę wzbudzając panikę
biłem się sobie na przebudzenie

odstawię flaszkę powaga przysięgam panowie
poddam się detoksykacji demonstracji zdrowego
trybu życia (można opisać w gazecie)
będę już grzeczny myśl nogi

i zejść w końcu może spokojnie opanowany
bez strachu powszechnego i ciśnienia wieku

WIDOKÓWKA UNIWERSALNA
(Nagroda Stowarzyszenia za pomysł)

na kartce przysłanej przez Celinę
pod wdzięcznym tytułem
„Pozdrowienia z wakacji”
znajdują się następujące zjawiska:
- małe fale rozbijające się o brzeg
(duże jezioro, morze?)
- malownicze zielone góry, kolejka,
- las, rzeka, staw?
- dzikie zachody słońca,
- biegnący roześmiani turyści
w skąpym przyodziewku.
- Celino, gdzieżeś była?
A Celina była na wiosce.

WIERSZ GNOMONICZNY

z kieszeni wyjmuję rękę
(odpowiednia miara szyta prawie na zamówienie)
przykładam
wzrokiem macam mech na pobliskim drzewie
i już mam własny prywatny
kieszonkowy zegar słoneczny
(wcale nie unikat) unikat w tej chwili
i optymistycznie odpowiadam na zadane pytanie
jeszcze nie ma południa
a będzie ono niewątpliwie piękne

Wzgórze Przemysła , III 03

Epea 11

„HAIKU”: POWĄZKI

grób Jacka
i dwie sroczki obok na trawniku
to wszystko wiatr powietrze
unoszony pyłek

V 06

POWÓDŹ STULECIA

na szafie leży lusterko
miało wisieć
nie utonęło

Próbne „Haiku” a' la O.W.

wszystko już było
tylko niektórzy z nas
wylapują fale

Marek Dobrowolski

* * *

stoki strome
jak marzenia
zdobyte
choć nie do zdobycia
pochylone od zawsze
pod kątem cierpienia
trwają w zielonym
majestacie
drzew
stojących prosto
do nieba

* * *

suche łądygi
jak ręce
wyciągam do deszczu

wyschnięta cała w popiół
łąpczywie chłonę chłodną wodę
kropla po kropli
by potem z boską wolą
choć z trudem
rodzić

perz wplótł się we mnie
i najwięcej wody wypija
biedne zboże
w tym roku sprawia wrażenie
że się podda
żdźbła liche i rzadkie
przez ten perz
wiem o tym

Epea 11

cóż
jestem sprawiedliwa
jednakowo daję życie
dobrym czy złym
potrzebnym czy zbędnym
ładnym czy też nie

tak samo od wieków
niezmiennie
uśmiecham się do
słońca
i do deszczu

by rodić

* * *

szukałem zielonej weny
i skrzydeł anioła
w ciszy leśnych ostępów

spóźniłem się
poeci już tu byli
przemodlone szlaki
usłane wierszami
nie łatwe

zdobyłem
szczyt swój pierwszy
wyszedłem na grań nagą
spotkałem wiatr
przyjaciela
co zdmuchnął wcześniej napisane
ujrzałem ścieżkę
nie skalaną słowem
i strach małości
poczułem
grzmi
pora schodzić

TRYPTYK ŻAŁOBNY

Pamięci Eugeniusza Szulborskiego

1 nie
nie umarł
nie nie
nie odszedł
a przecież nie ma

wypieram rzeczywistość
żywą obfitością słów
pozostawionych

18.09.2011 r.

2 najlepsi
mają w Niebie specjalne względy
aniołowie witają ich
przywdziewają jasną poświatę
i przeprowadzają przez tęczę
dobrych uczynków

wiem że już Tam się odnalazłeś
czytasz wiersze
i otaczasz dusze swoją dobrocią
wiem że jest Ci Tam anielsko
widziałem
jak się uśmiechasz

19.09.2011 r

3 na cmentarzu żegnały Cię ptaki
i my
zjednane razem przed daleką podróżą
jak my
z żalem wspominały tegoroczną wiosnę i lato

Epea 11

my też
pewne były tylko jednego że jeszcze w to miejsce wrócą
tak jak my

20.09.2011 r.

Józefa Drozdowska

Dotykam

*p. Aldonie Śliwińskiej
i pozostałym bibliotekarkom gołdapskim*

Dotykam ciepła zielonego, zdobionego
niczym koronka, mazurskiego pieca
w bibliotece w Skoczach.

Zanurzam się w parę unoszącą się nad herbatą
pitą z glinianego szarego kubka,
stającą się z nagłą mgłą rozłożoną
nad wyciszonym jesienią zakolem Gołdapy,
w której konie i czupryny starych poskręcanych
wierzb myślą mi się czasem ze sobą.

Nie pamiętam tyłu ważnych spraw, a dudnienie pociągu
na Jarce

jakby to było wczoraj. Pusty, z jedną
kobietą – może mną – czerwony dworzec w Górnem
jawi się jak powiernik myśli najbliższej.

Gdzieś wspaniałe ruiny ewangelickiego kościoła,
a tuż pod palcami bielone pułapy
pachnące gotycką czcionką

i różnokolorowe bławatki w przybibliotecznym
ogródku spragnione, by zechciał je ktokolwiek
pielegnować,

wszystko jedno jakim mówiący językiem.
Dźwigam biblioteczną biedę po schodach
w Grabowie, jakbym wspinała się na Popową Górę.
Oglądam kartoteki poszarpane czasem,
a wrześnie ślaniające się przy drogach jak mimozy
i kieszenie wypchane czerwiejszymi niż krew
owocami głogu są tak realne, że aż bołą.
Co za dziwna pamięć? Ucieka od rewersów

i katalogów. Zapisana w zeszytach zaleceń – nie zacierać, choćby miała toczyć się łąką po śladach, które zechciał zostawić Wielki Kant na brukowej kostce Lipowej raniącej każdy odcisk i każde wspomnienie.

Dzisiejsze niebo ma tyle w sobie jaskrawości

Dzisiejsze niebo ma tyle w sobie jaskrawości
w chmurach sceny jak ze stworzenia świata
Ktoś lepi moje ręce moje nogi moje serce
i w swoich dłoniach duszę moją wyplata

Dzisiejsze niebo ma tyle w sobie jaskrawości
wychyłam się przez okno i płonę razem z nim
Już mam stworzone włosy i usta i krzyk na ustach
tuż obok mnie są kwiaty Bóg też pamiętał o moim psie

Dzisiejsze niebo ma tyle w sobie jaskrawości
zalany jest nią balkon i cały jest gorący od niej stół
I pojaśniały strwożone myśli moje
co grzechu się wciąż boją a nie umieją bez niego żyć

Fragment widoku za oknem

Przez pewien czas zmuszona byłam otuacją zdrowotną do siedzenia mrno-białych strojach. Okno da sięglądać świat przez okno. Z jednostajnego zdaje się krajobrazu, można również wysnuć opowieść. Monotonna dla wielu, dla mnie siedzącej z powodu choroby w domu, ma ona wiele barw i swoją szczególną akcję. Snuję ją przyglądając się światu z okien mojego mieszkania położonego na trzecim piętrze bloku. A oto jej fragmenty:

Poniedziałek rano:

Jesion, którego pień wyrasta z za płotu, a raczej z za siatki sąsiadów poczują wreszcie wiosnę. Obleciały w większości stare noski, a suche grudki z opadającymi w dół włosami, zdają się być coraz rzadsze. Zielone ich pręty z brązowymi malutkimi pesteczkami na końcach pną się ku górze powiązane w miotelki. Z prawie każdego czuba takiej miotelki wyrastać zaczyna kokon ze zwiniętych, lepkich liści. Nie zakrywają mi jeszcze ca-

łego widoku. Między gałkami, przeziara, brąz starzejącego się dachu domu sąsiadów, jego zielone mury i białe witryny okien werandy. Niebo nad drzewem i dachem jest błękitne z pierzastymi chmurkami, gdzieś granatowoszarymi od spodu. Wraz z jesionem swą jasną zielenią coraz szczelniej odgradza mnie od sąsiedniego bloku lipa. Przypomniało mi się, jak kiedyś w dzieciństwie zjadaliśmy świeże lipowe liście, podobnie zresztą jak serca wyciągane z wnętrza kalmusu (tataraku). I jeszcze inne rzeczy przypominam, ale nie o tym tutaj piszę.

Dalej czerwienieje dach byłego seminarium nauczycielskiego (obecnego liceum), a biało-czerwona flaga poganiana przez wiatr podąża do powoli płynących, jakby stały w miejscu, chmur. W rogu przyszkolnego skwerku zakwitła na biało karagana. I widzę jeszcze inne lipy, i brzozy spuszczone aż do ziemi swoje gałki ciemniejsze nieco od lip. Nigdy bardziej nie przypominają mi one dziewczęcych włosów jak wczesną wiosną. Tylko grochodrzewy zwane u nas akacjami jeszcze całe w brązach i szarych czerniach. W ogródku sąsiadów, porozrzucane tu i ówdzie jakby od niechcenia, lśnią w trawie złote główki mleczy. Przy zielonym garażu stoi duża donica z filodendronem, który wypuścił parę liliowych kwiatków ku słońcu. A wracając do mojego jesionu, jego pień i konary, to różne tonacje szarości. W spękaniach są koloru białopopielatego. Tu i ówdzie pokryte żółtymi i zielonymi plamami mchów. W znamionach po obciętych lub wyrwanym niegdyś konarze - brązowe. Jak wyczarować z zaokiennego krajobrazu raj? Bardzo bym tego chciała. Pogoda słoneczna, ale chłodna. Widzianym z okna skrawkiem chodnika chodzą ludzie, ale jak o nich pisać, kiedy mnie oni na ten czas nie interesują.

Sąsiedzi mają wreszcie zamkniętą bramę. Często jest otwarta. Nie lubię, w odróżnieniu od okien, otwartych bram i bramek od podwórka. Odnoszę wrażenie, że ucieka wówczas nimi wszelka tajemnica i nie daje się jej później za nic zatrzymać w domu.

Tego samego dnia po południu:

Chłopczyk sąsiadów biegnie z czerwonym wiaderkiem na głowie. Listonosz w niebieskim uniformie roznosi listy. Z przepastnej czarnej torby wybiera te, które za chwilę zostawi w najbliższym domu.

Chmury połączyły się. Tworzą prawie jednolity pułap nad szosą, domem i drzewami. Nie widać ani krzty błękitu. Tylko ocieślała

popielatą biel i różnej tonacji granaty. Najprawdopodobniej zacnie padać deszcz. Chodnikiem przeszła stara, barwnie ubrana, Cyganka, prowadząc za rączkę dziewczynkę z ogromną bladoniebieską kokardą, upiętą z tyłu czarnej główki.

Wtorek po południu:

Mój, nie mój, jesień za oknem troszeczkę zieleńszy, chociaż ma jeszcze w sobie lekką pozłotę żółci. U sąsiadów znów otwarta brama od podwórka. Tuż przy chodniku, obok zielonych plastikowych koszy na śmieci, rozkwitła bladym różem na cieniutkim niby nitka pniu wiśnia piłkowana zwana japońską. Z wysokości mojego okna trudno rozróżnić jej kwiatuszki, ale najwidoczniej są malutkie. Plamki bladego różu na tle brązowych prętów ogrodzenia i szarego asfaltu to cud. Maturzyści chodzą już ubrani w galowe czarno-białe stroje. Przed chwilą cała ich grupa opuściła plac szkolny i nagle posmutniało. Ptaków jak na lekarstwo. Nie o tej porze dnia szukać ich tutaj. Czasem przeleci kawka, czasem nakrapiany szpak ze zdobycznym robakiem w dziobie. Lubię szpaki. Lubię wszystkie skrzydlate istoty na świecie. Także anioły, ale tylko te białe. Czarnych się lękam.

Rozjaśniło się. Zauważyłam wśród gałązek jakiegoś owada, ale trudno z dala go zidentyfikować. Nad oknem szaroniebieskie niebo i trzy jaskółki na tle welonu z białych chmur. A może to trzy jerzyki. Tak raczej jerzyki niż jaskółki. Są od tych pierwszych większe i bez białych brzuszków. Stronami, jak chciałby tego stary poeta, kłębiaste białe chmury granatowijące po bokach.

W nocy padał deszcz. Rzęsisty, ulewny. Leżąc w łóżku czułam jego zapach. Czuję go jeszcze teraz. Muchy czy osy, a może jedne i drugie, zawzięcie latają między gałązkami jesienia. Słońce nagle rozłśniło się na całe niebo. Brzozy w szkolnym ogrodzie rozwiały na całą długość swoje włosy. Takie złote fruną na tle, podpływającej z boku, granatowej plamy z chmur. Do szkoły poszła Małgosia. Poznają ją po drobnej sylwetce i takowych drobnych i szybkich krokach. Za chwilę wraca z powrotem. Za pewne do samochodu zaparkowanego w zatoczce przed sklepem. Słońce z powrotem rozblęzło. Niebo traci swą szarość. Lazurowieje. Tylko kłębiasta chmura po lewej groźna jakby miała zamiar przechylić się i spaść pod oknem. Och, jakże kiedyś, w dzieciństwie, bałam się takich chmur. Myślałam, że za chwilę

spadną i zatopią mnie swoją wodą. Ileż straciłam widoków, bojąc się im przyglądać. Przeleciała kawka czarna jak smoła. Lekki wiaterek porusza jesionowymi listkami. Leciutko zaczynają się kołysać. Lecz stare ich włosy, jeszcze pozostające wśród zieleni, ani drgną. Za szosą siwiutkie grochodrzewy stoją jak zamarłe. Czekam na chwilę, gdy zazielenią się i zakwitną. Czekam na długie kiście ich białych kwiatów. Ze szkolnego parku przyleciała wrona. Na chwilę tylko. I znów poleciała gdzieś za mój dom. Tam, gdzie już nic nie dostrzegam. Zrobiło się chłodniej nieco. Gałązki drzew jakby szybciej się poruszają. I grochodrzew też się rusza. Pustą na ten moment połąć nieba nachodzą kłębiaste chmury. A tuż obok stoi lipa w soczystej zieleni. Gęstej zieleni. Oświetlona z boku słońcem raduje się i potrząsa listkami prawie już dojrzałej wielkości. I znów przypominam ich słodką lepkość z dzieciństwa. Jakbym tamta ja stała wciąż jeszcze gdzieś za rogiem domu.

Środa po południu:

Dzisiaj jest bardzo ciepło. Niebo niebieskie z białymi, lekkimi chmurkami niczym cukrowa wata. Ni stąd ni zowąd wdarła się w to miejsce kłębiasta chmura zakłócając tę sielskość. Gałązki jesionu kiwają się w tę i w tę stronę. Szarych nosów jakby mniej widać na coraz bujniejszej zieleni. Za drogą kołyszą się akacje, a brzozy swoje warkoczki rzucają przed siebie, schylając się przy tym głęboko ku dołowi. U sąsiadów wreszcie zamknięta brama. Flagą przy szkole wciąż tarmosi wiatr. Jeszcze powietrze nie jest nasycone gorącem. Jeszcze nie drży jak gałązki drzew. Jeszcze za krótko trwa ciepło.

Czwartek po południu:

Przeszła burza. Nie tak straszna, jak potrafią być straszne burze, ale jednak burza. Świat za oknem zrobił się nagle mokry. Jesion opuścił listki ku dołowi. Jeszcze im daleko do dorosłej długości, ale z każdym dniem wydłużają się nieco. Na wgłębieniu w chodniku stoi woda. Jezdnia mokra i chodnik całutki mokry. Przeszła ruda maturzystka w czarnej sukience i czerwonej kurtce. Małeńki owad mignął między mokrymi liśćmi. Niebo szare. Od lewa przejaśnia się, od prawej strony ciemnieje. Brzozy przechylają się dostojnie, to w jedną, to w drugą stronę, jakby przestępowały z nogi na nogę. Nie wiem czy można już prasować, czy nie nawróci burza? Zaczyna padać deszcz.

Jakaś pani pod parasolem przeszła do sklepu. Już słysząc bębnienie kropel po parapecie. Boję się burzy. Gdyby nie strach przed piorunami, może bym i ją lubiła. Może... Lubię za to deszcz, szczególnie wtedy, kiedy siedzę w domu i patrzę na niego przez okno. Przeszła dziewczyna w czarnych getrach i białej bluzie, skryta pod dużą granatową parasolką. Małe чудо! Krople deszczu spadają z kabla przeprowadzonego od bloku do domu sąsiadów. Uderzając w parapet oraz dach sąsiedzkiego garażu, roztrzaskują się na setki drobin, tworząc w jednej chwili strugi i potoczki. Nim się połączą, widać każdą pojedynczą kroplę. Tańczą również na gałązce jesionu. Nadymają się i za chwilę spadają. Pod niektórymi z nich aż uginają się listki. Co jakiś czas taka duża kropla rozchlapuje się na parapecie. Wyraźnie słysząc wtedy jej głośny plask. Widzę, jak na dachu domu spieszą się jedna przed drugą. Daje to wrażenie jakby ktoś niewidoczny pociągał za dójki chmur. Niebo zrobiło się jednolicie szare. Zasnuło mi całą dookólną przestrzeń.

Noc z niedzieli na poniedziałek:

Leżę w łóżku, więc nie widzę, co jest w tej chwili za oknem. Słyszę jednak, że pada deszcz. Z każdą chwilą wzrasta się. Z wielkim hałasem krople uderzają o parapet okna i blaszany dach garażu sąsiadów. Deszcz bębni i bębni rytmicznie. Na chwilę zanika i wtedy słysząc jednostajny głośny szum. Krople spadają miarowo, tylko od czasu do czasu, któraś wyrywa się uderzając głośniejsze od innych. I nagle cisza. Jak przed grzmotem. Cisza. Mam zamknięte okna, więc nie czuję zapachu deszczu. Leżę w łóżku. Kotka Matylda leżąc na mych piersiach mruczy w tak deszczu. Kaszlę. Zaczyna grzmieć.

Noc z wtorku na środę:

Chmury pędzą szybko jakby zbudowane były z dymu. Lekkie jak wata. Podobne do wielbłądów, jedna za drugą. Tak mi się wydaje, chociaż nigdy na żywo nie widziałam biegnących wielbłądów. Przy dole ciemne. A czym wyżej są jaśniejsze. Popielate i całkiem już jasne. Księżyc trochę już się podpasł, ale jeszcze jest nieźle wykrojony. Bliżej mu do rogalika niż do buły. Chłodno. Drzewa zmoknięte. Taki oto widzę obrazek za szybą. Na podwórku od strony kuchni ogromne kałuże, a w nich kąpiący się księżyc. Słysząc wciąż szumiącą szosę za blokiem. Moje koty, Matylda i Maurycy, mimo później pory roz-

brykały się na całego. Wcale im spanie nie w głowie. Ja zaś sama nie wiem, co robię w tym oknie. Noc to zarówno lśniące w deszczu drzewa, szum szosy rozjeżdżanej przez tiry, koty w momencie łapania blasku księżycy na szybie, kałuże i srebrny sierp z nich wystający. Noc, to wzięte wszystko razem.

Środa po południu:

Szyby całe upstrzone są kroplami deszczu. Po burzy było przez jakiś czas bardzo słonecznie, a teraz znowu trochę pochmurniało. Niebo nade mną biało-błękitne. Stronami zaś suną czarne chmury. Te biało-błękitne jakby nieruchome. Sprawiają wrażenie niebieskich kędziorów popryskanych białą pianą. Nachodzi na nie szybko czarna dymna chmura w kształcie słonia z trąbą uniesioną ku górze. Dach w kropkach. Tak samo asfalt na szosie. Jesionowi bardzo już rozwinęły się liście. Mokre zwisają ku dołowi jak zepsute parasole. U sąsiadów znów otwarta brama. Drzewko wiśni japońskiej w chwilę przekwitło. Od strony lipy wszystko w mgnieniu oka granatowieje. W przyszkolonym parku kawka pracowicie coś wybiera ze ściętego pnia grochodrzewu. A jednak to ciemnopióry gołąb, a nie kawka. Zaczynają śpiewać chóry ptaków. Z północy nacierają na nie kłębiaste, ciemne chmury, ale nie pada jeszcze. Coraz mniej kropel deszczu na szybach. Coraz więcej widać przez nie świata.

Noc z niedzieli na poniedziałek:

Znów pada zimny deszcz, ale nie bębni w parapet. Na dachu garażu widać prześcigające się ze sobą krople. Co chwilę migają w plamie światła padającego z lampy stojącej przy ulicy. Deszcz nie bębni tylko szumi. Coraz mocniej i mocniej. Jesion stoi z długimi już, przemokniętymi liśćmi, niczym z rękoma opuszczonymi w dół. Szumi jeszcze bardziej, zagłuszając tym samym nieprzyjemnie brzmiące przejazdy tirów. Staje się, więc balsamem dla uszu utrudzonych hukiem. Patrząc na uliczną lampę, ma się wrażenie, jakby spod niej na chodnik i jezdnię wytryskały długie i złośliwe strzygi. Czyżby czyjeś sprytnie ręce doły gdzieś w przestrzeni ogromne wymię krowie. Nasuwa mi się myśl o powodzi. Brrrr. Pozimniało jeszcze bardziej. Nad drzewami widać ciemnogrnatowe jednolite niebo. W świetle lamp drzewa zielone jak za dnia. Jesion, mój dorosły już jesion. Jak on sennie na mnie patrzy? Trzeba, chociaż na chwilę zasnąć.

Ks. Jan Filewicz

Duchu Święty
weź mą rękę
i pisz aby ludziom
pokazać piękno

Duchu Święty
natchnij mnie
co i jak mam
pisać

Duchu Święty
bądź ze mną
na zawsze

Duchu Święty...

Wiatr wieje w żagle
mego życia
a ono
nie wie co wybrać
górze czy dół

Czasem staję na skrzyżowaniu
i już wiem którą
mam wybrać drogę

Nie chcę iść sam
Chcę aby inni byli ze mną
Chcę otworzyć okno swoich marzeń
Abyśmy byli jedno
O to się modlił Jezus

Zamyślane jutro
wiatr targa gałęziami drzew
za szybko czas porywa
kartki z kalendarza
nie zdążę pisać w pamiętniku
Słowa rozchwieją nostalgię
Która rodzi się na dnie serca
Czekam i wypatruję pełni księżyca
A jesień chłodem wkracza...
Deszcz i szaruga zasłaniają łzy zadumy
Przypominam przebyta drogę widząc kamienie i góry
Drzewa zaszumiały jakoś smutno
Wiatr zagrał jakąś fałszywą nutę
Tymczasem mówi mi Pismo Święte
„Czegóż żąda Pan od ciebie”
Już wiem abym był Jego własnością
I umiłował jedność w różnorodności
I wtedy szeptał jesieni
Zanurzy się w kolorach życia
A żadna czarodziejska farba nie ufarbuje
Bo Bóg jest jeden i my jesteśmy jednością
Zaczarowane słowa
szukają jeszcze deszczu
co je delikatnie poprowadzi do prawdy
i sen stanie się rzeczywistością
Najpiękniejsza piosenka
wśród kropli rozwieje się z marzeniami
a zagubiony człowiek wierzy jeszcze mocniej
w kwitnącą nadzieję
Szczęście otworzy szeroko okno
pozwalając ekumenizmowi
rozesłać nowe dźwięki historii
„Czegóż żąda Pan od ciebie” (Mi 6, 6-8)
I wtedy nawet w jesiennym sercu
śpiewa słoneczny maj
Zwierzęta, ptaki i rośliny nucą pieśń

Epea 11

dziękując Bogu za wiarę co czyni cuda
Zamyślane drzewa
rozśpiewane ptaki
uśmiechnięte słońce
aby była jedność

Zamykam drzwi
by naprawić czas
By to co nie wiem
z Bogiem było...
Chcę całą kruchość życia
często zakłamaną
zostawić historii...
Me myśli odnośnie
„Czegóż żąda Pan od ciebie” (Mi 6, 6-8)
Są odpowiedzią, że zawsze
umiłowałem sprawiedliwość...

Cicha noc
nastraja do pięknych
przemyśleń
Jest niejako moją ucieczką
od codzienności
Noc tuli mnie
w ramiona wolności
Przemyślenia stają się jak kwiaty
bo zaczynają być szczęściem
Gwiazdy zaczynają do mnie mówić
jakby chciały otworzyć okno moim marzeniom
a nadzieja każe wierzyć
że jeden jest Bóg i jedna wina
To nic że snu nie było
a czas zaprowadził mnie w noc
To nic że szept mojej duszy był słyszany
to i tak „Pan żąda od ciebie” jedności
I już nie straszny jest dzień

i wszystko może się zdarzyć
i można „znaleźć szczęście”
Ale tylko z Bogiem prawdziwą jedność
Dziwnie jest na świecie
Do celu marzeń podążam
tęczową autostradą snów
nie widząc realizacji ich
Czasem jak na oceanie niepewności
jestem na mojej tratwie
jak rozbitek bez ojczyzny
i chęci życia
Czasem bierze górę bezmyślność
i ciągnę moje marzenia
nie mając nic do stracenia
Tymczasem „czegóż żąda Pan od ciebie”
Chyba otworzyć oczy i serce na drugiego człowieka
A serce na nadzieję i będzie jedność

Żółte liście
gubią zamyślane drzewa
jesienią otaczają ich z nostalgią
serca szukające drugich
Gdzieś się podziały barwne motyle
i świerszcze ze skoczną muzyką
Przyszły chłodne wieczory
które czasem są straszne
Ale nie trzeba bezmyślnie tylko egzystować
Trzeba razem z gwizdzącym wiatrem
I jesienną depresją odpowiedzieć na pytanie
„Czegóż żąda Pan od ciebie”

Zbyt szybko zmieniają się
kartki w kalendarzu
również w naszym życiu
szybko zmienia się pogoda
Raz przygrzewa słoneczko

Epea 11

To znów pada deszcz i jest
pod górę
Raz słońca jesienna
gdzieś weźmie moje marzenia
To susza wypali ziemię
A życie idzie naprzód
A „Czegóż żąda Pan od ciebie”
Odpowiadam: sprawiedliwości na co dzień
i jedności w życiu z innym

Słowa nasze
to pustka czasu
Już pożółkły liście
pięknych drzew naszych
Mało było miłości
Coś zepsuło nasz ogród
A tak trzeba niewiele
Po prostu drogi wychodzące naprostować
Pan chce żebyśmy byli Jego

Maleńka chmurka
w przyjemnym błękicie
kryje się w lazuruwie niebo
Pachnące jesienne pola
delikatnie tchną pocałunkami serca
jakby łaskotane pożądaniem
Moje myśli biegną do Pana
i wtedy pytanie: „czegóż żąda Pan od ciebie”
Abyśmy byli jednością jak Pan oczekuje
I wtedy szczęście jest
A ustami dotykamy rannych gwiazd
Ziemia staje się mała
Bóg jest
Bóg jest miłością
Bóg jest Jednością

Poranek budzi mnie
 balsamem dla mego serca
oprawiony w najpiękniejsze myśli
 oprawione w barwne słowa
Rozwiewają się wszelkie troski
 malując tęczę nadziei
Rytm namiętności
 kołysze moje marzenia
Oddech między zapachami życia.....
 zmysły nie nadążają
A potem „czego żąda od ciebie Pan”
 porywa mnie i wskrzesza
tysiące iskier i burzy krew w żyłach
 świat staje się inny choć ten sam
czas jest tak szybko
 a my powinniśmy być jednością

„Czegóż żąda od ciebie Pan”
Wczoraj zakwitły niezapominajki
przywołując na myśl odpowiedź
To prawda, że wspomnienia dojrzewają
otulone graniem świerszczy
i jakiegoś serca
 Ale po latach czas zamknąć
 ten czas co przeminął
 zmęczone dłonie utuliły świat
A my winniśmy być jednością

Sen śpiewa balladę
 moich marzeń
Tu maluję kolorów.....
 nie pamiętam o budziku
Śpiew syren wraz z wiatrem leci
 przeciw świata
Chcę dopowiedzieć, że Pan
 żąda abyśmy byli jedno

Epea 11

Słowa, słowa, słowa

Za bramą milczenia

Działać, działać, działać

ale nie tak jak mówi rozum

tylko jak dyktuje sumienie

Barbara Gałczyńska

NIEBIESKA WSTAŻKA - pamięci mojej Mamy

Tak bardzo lubiliśmy biegać boso po łące a roześmiane twarzyczki naszej wesołej paczki, wystawione ku słońcu, zdawały się mówić, że to najbardziej urokliwe miejsce na świecie.

Zielone połacie „wypustowskich” łąk zachęcały do odkrywania mikro-tajemnic przyrody, od Krakowskiej po kanał. Uwielbialiśmy łapać w siatkę motyle po to, by je przetransportować na obrzeże lasu-tam ich wszakże nie było-ale nasza dziecięca operacja ingerencji w ekosystem łąkowy nie doczekała się pozytywnego rezultatu i motyle wracały do pachnących ziół i kwiatów.

W upalne dni wyprawialiśmy się nad Jezioro Białe, by ze skarpy patrzeć na flisaków zmagających się z kłodami drzew, spiętych w gigantyczne tratwy.

Po drodze nie mogliśmy przegapić pięknych koni w koszarach. Ile było frajdy! Nawet dziewczyny z zainteresowaniem oglądały ten „spektakl”, kiedy ułani ustawiali się w szyku i szwadron ćwiczył na błoniach koło starej cerkwi. Później biegiem na Białe....Ciszę jeziora burzyły nieco nawoływania, radosne kąpiele, gwar i śmiech, kiedy to umazani w piasku zbiegaliśmy ze zbocza do ciepłutkiej wody.

A jak smakował chleb od Turka, masło i mamine pomidory?!

Pod wieczór, kiedy wyciszyły się nawoływania flisaków, kochane słoneczko dało nam sygnał do odwrotu. Ten spory kawałek drogi przebiegaliśmy przez las, ociekając z resztek wody. Było nam spieszno, bo do „Krakowa”-tak mówiliśmy o ulicy Krakowskiej-było daleko i nie wolno było spóźnić się do domu.

Mama czekała z kolacją, a ojciec przed domem palił ulubioną fajkę – to znak, że ma nam coś do powiedzenia. Siadaliśmy na trawie objadając się ciepłymi racuchami z rabarbarem upieczonymi przez mamę, a umazane cukrem piegowate od słońca twarzyczki wykazywały spore skupienie na poważnych tematach.

Tato tak pięknie snuł opowieści o regionie i tych, których skrywają często bezimienne mogiły w Puszczy Augustowskiej. Mama

przysiadła obok ojca, złożyła na kolanach szczupłe, spracowane dłonie, uśmiechnęła się ciepło, a po chwili wspominała naszego dziadka z powstania styczniowego, Andrzeja Łapińskiego pochowanego na augustowskim cmentarzu.

Rodzice często przywoływali wspomnienia o bliskich, sąsiadach i miejscach, w których spoczywają. Pamiętam je dobrze i kiedyś pokażę je moim dzieciom.

(...)Ból przeszywa na wskroś.....Pod Twoją Obronę.....zaczęła mama i tylko stukot kół bydlęcych wagonów, droga w nieznanne, droga na zatracenie.....

Na małej skrzynce zbitej z desek, ojciec ustawił dorodny krzak piołunu a my, dzieci, ozdobiliśmy go papierkami. Zdjęłam nawet niebieską wstążkę z moich warkoczy, aby nasza syberyjska choinka była odświętna. Mama już upiekła podpłomyk, pobłogosławiła znakiem krzyża.....Wigilia i jeszcze pięć następnych takich. Na glinianej ścianie naszej lepianki zabrana z domu w pośpiechu Matka Boska miała wypisany żal ale patrzyliśmy nań z nadzieją, że powrócimy do naszej umiłowanej krainy i wszystkiego, co tak bardzo bliskie: łąki, kanał, modre jeziora, brukowany rynek i cukiernia. Przesuwał się przed oczami film a tu, na zesłaniu zatrzymał się czas.

(...)

Skulone postacie na furmance, jakieś pakunki, wychudzone twarze, serca przepełnione nadzieją i rozdarte. Nie wszyscy wróciliśmy do Augustowa- młodszy mój brat zginął w stepach Kazachstanu a starszy dostał się do armii Andersa i walczył w II Korpusie na Monte Cassino. Dalszy los rzucił go do Anglii skąd przedostał się do Polski, nieświadom III jej rozbioru. Dobry Bóg pozwolił nam przetrwać gehennę syberyjską. Powróciłam z rodzicami i Julią, młodszą siostrą. Ucałowaliśmy tak drogą nam, umęczoną ziemię a mama tuliła do piersi obraz Matki Boskiej Syberyjskiej...

Już nie ma tamtej wesołej dziewczyny z warkoczykami jak łąn pszenicy i niebieską wstążką.

REJS

Strzeliste maszty jachtów witają nas w pogodny poranek kołysząc się przy starym pomoście.

Ledwie muśnięta porannym słońcem keja zachęca, by podnieść kotwicę. Jeszcze trochę przygotowań przy takielunku, na pół podniesiony grot, lekki plusk wody i pozostawiamy wyciszoną wczesnym porankiem zatokę, by pozwolić nieść się wiatrowi.

Wreszcie jezioro ze swoją cudowną niebieską przestrzenią...

Podnosimy biały grot i po chwili szeleści również fok, by złapać wiatr, na który czekamy. Płyniemy wzdłuż brzegu i jak na filmie przesuwały się nam kadry ożywione porannym słońcem a las jeszcze nieco uspiiony ciszą spogląda na nas, zmagających się z podmuchem wiatru.

Mijamy kolejną zatoczkę o dość tajemniczym i mrocznym spojrzeniu - nie obrysowało jej jeszcze światło. Wpadamy z łopotem żagli na rozległe plosy i po kilku gwałtownych zwrotach przez burtę wchodzimy w niespodziewaną flautę. Musimy to przeczekać.

To przyjemne słodkie lenistwo, w którym jacht ledwie kołysze się na fali, pozwoliło załodze oderwać się od tego, co ziemskie.

Nie wiem, jak inni, ale ja z upodobaniem obserwuję zarysy chmur o niespotykanych kształtach i już jestem w norweskich, ośnieżonych fiordach po to, aby po chwili zwiedzić jakiś tajemniczy archipelag na odległym morzu. Zamykam oczy, rozkoszuję się ciepłem, które zalewa cały pokład. Na firmamencie już tylko małe, puchowe obłoki płyną leciutko, jakby chciały być naszym przewodnikiem.

Nagły poryw wiatru uderza silnie w żagle i wszyscy jesteśmy gotowi na spotkanie z żywiołem. Kadłub błyskawicznie pruje wodę, sypie fontanną srebrnych kropel i przeskakują nam zielone brzegi. Kolejny zwrot i ogromny przechył zdaje się mówić, że teraz poznamy możliwości naszej „łódki”.

Następne godziny uciekają nam nieświadomie z prędkością wiatru. Teraz zwrot i kolejna próba podejścia do brzegów wyspy. Pochylone drzewa użyczają nam nieco miejsca zachęcając do kontaktu z najbardziej urokliwym zakątkiem ogromnego jeziora. Lekko pożółkłe już szuwary cicho otulają jacht, który przeczeka tu iście tropikal-

ne, wczesne popołudnie. Załoga jest już w sercu wyspy. Oszałamia nas aromat ziół i traw, a paleta kwiatów jest naszym wzorzystym ko-biercem. Tu zatrzymał się czas...

Stadko dostojnych łabędzi, mieszkańców pobliskich trzcin, przypomina o czekającej nas, odległej przystani. Pora odcumować i po chwili zmagamy się z silnym powiewem od lewej burty. Nadęte żagle wyrrywają nas szybko z błogiego, wyspiarskiego nastroju, przypominając o powinnościach załogi.

Płyniemy przeciwną stroną, by w rezultacie otoczyć całe jezioro z jego wszystkimi zakątkami. Pod wieczór jakby przycicha gra wiatru w żaglach, ale chylące się ku zachodowi słońce pokazuje nam feerię kolorów odbitego w jeziorze brzegu, gdzie turkusy grają z niebieskimi, zieloną ścianę lasu przecinają złotawe refleksy, a w szuwały wplata się szkarłat.

I tylko jacht nasz bieleje wyraziście na szafirze tafli prowadząc do celu.

Wieczorne nawoływanie załogi oznacza rozstanie z żaglami, linami, sterem i tym wszystkim, co jest częścią żeglarskiej przygody.

Zakotwiczone jachty w Zatoce Nadziei kołysze już wieczorna fala, aby z lekkim pluskiem srebrzyć się w granatowej poświacie nocy. Czarne włosy zarośli wyciszają swoje istnienie po to, aby mogły przycupnąć w nich wodne duszki letniej, sierpniowej nocy w oczekiwaniu na kolejny dzień pod żaglami.

Barbara Gałczyńska

Radosław Galicki

ARCHIMEDES

Pewnego dnia Archimedes siedząc w łaźni
 wszedł do świątyni wyobraźni.
 A tam widzi wodę, a w niej siebie
 z koroną w ręce;
 zrozumiał Grek mądry, że śni,
 więc we śnie prosi: „Bogowie więcej, więcej! „
 I widocznie bogowie wysłuchali Greka,
 gdyż, kiedy się obudził, krzyknął: „Eureka! „
 i jak oparzony wyskoczył z wanny
 i nagi na dwór wybiegł szybko-jak wiosenna rzeka,
 a, że był przystojny, to się oglądały za nim panny.
 A on...Z uśmiechem na ustach krzyczał: „Eureka! „
 oraz myślał: „Dobrego dzisiaj dokonałem wyboru,
 no i wydumałem prawo....wyporu! „
 Tak to więc Archimedes zjednał wodę dla człowieka!

* * *

Niebo przygasło, przyciemniało,
 miasto wciąż żyje.
 Co tam mu chmury i śnieg- to za mało,
 karawana samochodów wciąż się wije.

Na przekór- dniowi i nocy,
 żywo tak jakoś, lecz marnie,
 bo słońca nie przyćmią blaskiem nikłej mocy
 wszystkie- miejskie- latarnie!

Miasto, miasto ...
 niech żyje miasto!
 9.12.2001 Białystok

Judasz Iskariota

Wiesz więc teraz na uschniętym konarze,
porywem grzechu złożyłeś życie swe w darze
niby Jemu, bo sumienie wciąż dręczyło,
sznur się zacisnął, słońce zgasło, się skończyło.
Ach, głupi Judo! Tak wielu ludzi zdradza
Mistrza z zimną krwią, gdy ich umysłu władza
świadoma jest grzechu, a ty się skruszyłeś;
Judo, On ci przebaczył!
Przez Swoją Miłość.

* * *

W morzu ludzkich łez płynących w nieskończoności
Toną jak kamienie nasze smutki i radości,
Nasz dzień jak proch powszedni i nasz dzień świąteczny,
Jak Noe płynie tylko jedna myśl:
„Boże, Tyś wieczny!”

Arka ta potężna nie jest Titanicem,
Rozbija się o jej burty łez ludzkich morze
I między ciszą zwątpienia a nadziei krzykiem
Wiecznie jest ta jedna myśl:
„Tyś jest- Boże!”

Melancholia

Pierwszy liść spadł tej jesieni
jak samotna łza pod powieką...
Tego prawa Bóg nie zmieni;
opadną liście, zamkną wieko

i łzy popłyną
jak gorzkie wino!

Pierwszy liść spadł tej jesieni
jak bezbronny kamień z urwiska...
W mdłym blasku ciemnej czerwieni
drzewa krwawią, w dołku coś ściska,

więc łzy popłyną
jak gorzkie wino!

Drzewa krwawią jak dobry człowiek;
umęczone głowy się toczą...
krwawa łza wrywa się spod powiek!
Zły wicher wieje ochoczo,

więc łzy popłyną
jak gorzkie wino!

Pierwszy liść spadł tej jesieni
jak niewinne brzemię ciągłych zmian...
Nikt dobroci serca już nie ceni;
wszyscy w chocholi idą tan...

a łzy płyną
jak gorzkie wino!

02.10.2010
Białystok

Majdanek

Pamiętaj! Twoja krew jest oświęcimska!
Szanuj to wnuku, gdy umierać przyjdzie.

(Władysław Broniewski, Wnukowi)

Nic wielkiego. Labirynt kolczastych drutów.
Baraki. Nagle zza mgły codzienności firanek,
choć wiatr historii zatarł ślady więźniarskich butów,
wyłania się trzeźwa myśl: „Tu jest Majdanek!”

Tu ginęła Europa! Tutaj Śmierć miała Erntefest!
Tu płacz się niósł i cicha modlitwa- wśród ścian i ścianek;
w macabre loterii co dzień padały numery- tak jest!-
do nieba szli kominami- przez Czyściec- Majdanek!

Cóż więc z tego, że milczą zebrane tam prochy,
że już dawno rozbito niosący łyzy dzbanek,
że baraki nie są tajemnicze jak lochy;
precz z myślą- Nic wielkiego- nie depcz krwi! To Majdanek!

Pielgrzymuj! Nie bądź turystą! To miejsce jest święte!
Wśluchaj się w płacz małych Ksenii, Ryfek i Anek;
patrz jak powiewają strzępy dusz na drutach rozpięte...
Widzisz Muzeum? W pamięci ludzkiej trwa-
- Lager Majdanek!
3 lutego 2007 Białystok

Krystyna Gudel

Zachód nad Biebrzą

Na rozedrganej powierzchni tylko rogate łby,
rozwarłe nozdrza potrzebują więcej powietrza.
Liczne stado wraca na wieczorny udój.
Codzienna przeprawa wpływ jak odwieczny rytuał.

Matowy pomruk kończy swój bieg na ostrych
krawędziach trzciny. Chrzęst miazdzonej trawy
i poszum w przybrzeżnych szuwarach niczym
chórek do wieczornych występów skowronka.

-Koak, koak, kuek, kuek- słycać nawoływania.
Rechoty i kumki to zaloty żabiej młodzieży.

Przy brzegu ławica uklejek mąci przezroczyść,
srebrnym odbiciem w zwierciadle zachodu pisze
pamiętnik z podróży, zostawiając na szlaku

oczarowanie. Granatowej wężce nie przeszkadza
niezapominajek bledsza szata. W ciszy zmaczonej
pluskiem, trzaskiem, chrzęstem trwa czas.

Tam się niebo z ziemią brata.

Babcia Rozalia ma ręce pełne szpaków

przylatywały chmarą chwytając w locie
rozrzucone pestki babcia Rozalia niczym
czarodziejka w kwiecistej spódnicy
i w chustce z soczystymi plamami

obdarzała stado resztkami z Pańskiego
stołu płatała im figle a one ze zdwojoną
odwagą czepiały się jej ramion

nie mogło zabraknąć czereśniowej konfitury
i wiśniowej nalewki w chłodne dni nie będzie
już szpaków a jej ręce zatęsknią do lata

Tej kobiecie pocą się oczy

puszysty dotyk i serdeczne ślepia
jak maść na samotność

psia płodność wprawiła kobietę
w zakłopotanie musiała pozbyć się miotu
ale *serce i pazur* wskrzesiły życie

tamto zdarzenie odradza się każdej wiosny
niewielkie wgłębienie na ugorze obrosło
perzem i mietlicą wewnątrz wciąż jałowe

suczka była moją przyjaciółką powiada
a jej oczy nasiąkają wilgocią
jakby błagały o wybaczenie

Rozmawiała z wiatrem

nad kubkiem gorącej herbaty sny
jeszcze nierozbudzone i ona

lubiła wstawać wcześniej od słońca
brodzić wśród gęstej mgły zbierała
resztki lata pod jej stopami topniała
z pierwszych przymrozków szata
rozmawiała z wiatrem pajęczą
nicią cerując rany liściom

mówiono że prababcia Józefa
gołębie pióra we włosy wplata

Wchłonęłam czarę niezwyklej woni

jakby w starej winiarni wystrzeliły
nagle wszystkie korki woń unosi się
warstwami na podgrzonym powietrzu

dziś najbardziej pachnie brzeziny
młodniak wczoraj stara czeremcha
rozpuściła eteryczne smaki
bez i kalina czekają na swój dzień

a u bramy lasu para modrzewi
wita gości żywicznym pocałunkiem

Na schodach Pańskiego Domu

jej krucha postać jak porcelitowa figurka
z odeszłego czasu z pokorą w oczach
i odwagą wpiętą we włosy wytrzymuje
napór zaciekawienia i miłosierdzia

zbierając okruchy z Pańskiego Stołu
nakarmi małą miłość a może starczy
na więcej gdy jeszcze poczeka

na schodach Pańskiego Domu
Słowo staje się chlebem

Jerzy Iwaniuk

Chryzantemy

Te smutne miejsca, które wiemy
Że są symbolem tamtych dni
Gdzie śnieżno – białe chryzantemy?
Piją płynące z oczu łzy

Maleńki chłopczyk przy mogile
Płacze, że mama długo śpi
Choć nie rozumie rzeczy tyle
Z oczu tęsknoty płyną łzy

Kochany tato droga mammo
Maleńki jestem, ale znam
Codziennie kocham was tak samo
Codziennie teraz jestem sam.

Tata nie weźmie na barana
Mama nie powie bajki mi
Ja zapłakany wstaję z rana
Rozpacz ogarnia wszystkie dni

Maleńki chłopczyk znicz zapalił
I odszedł znowu w siną dal
Cichutko przyszedł i oddalił
Serce mu ścisną gorzki żal.

Fotografia

Przyjdzie czas, że ze zdjęć
Spojrzę tylko na ciebie
Żadnych kłótni i spięć
Nie powiemy do siebie

Pusta przestrzeń zostanie
Żadnych śladów mych stóp
Nigdy więcej nie wstanę
Tam gdzie będzie mój grób

Wszystkie barwy w pamięci
Wypłowieją jak pled
Człowiek pusty bez chęci
Ciągłe będzie gdzieś szedł

Na ruinach ze wspomnień
Żaden dom już nie stanie
Pamięć trwać będzie o mnie
I na wieki zostanie

Rozdarł los serca dwa
Które były tak bliskie?
Ale miłość wciąż trwa
Jeszcze pełno w niej iskier

Moja droga do celu
Wciąż prowadzi do ciebie
Przecież jest bardzo wielu
Którzy dawno są w niebie?

Przyjdzie czas, że ze zdjęć
Obejrzymy świat razem
Żadnych kłótni i spięć
Tylko cisza pod głazem.

Nie płacz mamó

Tyle słów o miłości do matki
O matczynej miłości zna świat
Dzisiaj ja zapukałem do chatki
Gdzie samotna jest mama od lat?

Przywitałem ją w progu kwiatami
I złożyłem całusa na skroń
Takie chwile niech będą czasami
Moim wdziękiem za ciepłą jej dłoń

Rozpłakała się mama nade mną
Kiedys ja wylewałem swe łzy
Lecz jej miłość nie była daremną
Ona teraz spokojne ma sny

Wiele matek czeka na syna
Ale często nie zjawia się nikt
Kaźda cicho, więc płakać zaczyna
A jej serce rwie niemy krzyk

Tyle słów o miłości do matki
O matczynej miłości zna świat
Nie zamykaj drzwi do tej chatki
Gdzie matėńka czeka od lat?

Smoleński las

Jak przestrelone głowy chylą dziś drzew konary?
W Smoleńskim chłodnym lesie unosząc mgły opary

Tam gdzie zmurszałe szczątki znów piją naszą krew
Tam gdzie nie gaśnie nigdy tęsknota ból i gniew

Tam pośród naszych braci niewinnej ślady krwi
W bezkresnych drzew połaci pamiętny symbol tkwi

Wśród kilku nagich krzyży żądnych świeżych ciał
Historię zakłamaną przez lata wicher gnał

Z tych miejsc okrutnej rzezi nie wrócił mąż i brat
A teraz o tragedii usłyszał cały świat

Szukając prawdy z czasem to fakt jest oczywisty
Że prawie setkę nazwisk dodamy do tej listy

Żyjącym dziś w żałobie wypada mieć nadzieję
Że prawda, choć bolesna to jednak wciąż istnieje

Wyryliśmy w tej ziemi już tak ogromny ślad
Że zatrzeć go nie sposób przez przyszłe tysiąc lat

Poległym wieczna chwała niech im wybaczy Bóg
A my jak Polska cała szukajmy nowych dróg

Szukajmy dróg do celu do prawdy, przebaczenia
Gdzie naród wciąż istnieje jest wiele do zrobienia?

A kiedy nas zawoła do siebie Święty Piotr
Niech powie żeś był człowiek uczciwy a nie łotr.

Adam Kiermut

Rodzinny dom

Modlitwa w Ogrójcu w zdobionej ramie
zdjęcie nieznannej prababci za szybą kredensu
zydel przy piecu kaflowym
przy ciepłe którego zasypiałem w kołysce
parapet z blachy
co nie da zasnąć w deszczową noc
okno z widokiem na stare jabłonie
co dzień wpuszcza
i żegna roztopione w mroku słońce

ślady stóp na wąskiej ścieżce
i niski płot
przy którym wciąż oparty dziadek
spogląda na niebo

zamyśliłem się...

Wiara

Jeśli będziesz w lekkim powiewie
czy Cię usłyszę?

Jeśli usiądziesz na liściu wierzby
czy Cię dostrzegę?

Jeśli przenikniesz moje wnętrze
czy wtedy uwierzę?

Pokaż mi Swoją twarz!
Przemów głosem odwiecznym!
bo cisza usypia moją wiarę...

WYZNANIE

Wybacz mi Boże moje ja
Bo za dużo w nim mnie
A za mało Ciebie

Wybacz mi Ojcze
Mój fałszywy płacz
Gdy wracam do Ciebie
Z pustymi rękoma
Z wyprawy po prawdę

Wybacz mi w końcu
życie moje
wypłukane z bieli
i podaruj mi nowe
gdy czas się odmieni

MIŁOŚĆ

Miłość co nie na granic,
upatrzyłem sobie w krzyżu drewnianym

Nie ma w nim zmysłów palących
i wielkich wyznań dawanych bliskim

Tli się na jego ramionach
to jedno tylko wyznanie:

to miłość zbawia . . .

JUDASZ

Samotne drzewo
i nic i przepaść

Kręta droga
i nic i pył

Łan zboża
i nic i szum

Samotny człowiek
i nic i grzech
i nic

zmrok

NAJEMNIK (Do Epea 11)

Rozdział I

W oddali słyhać serie karabinów maszynowych, kompania szykowała się do ataku. W lesie oddział czekał na znak. Jest. Rozciągnięci w tyralierę ruszyli do ataku. John z automatem w rękę zbliżał się skokami do przeciwległego krańca przesieki. Za krzakami i drzewami znajdował się wróg. Będzie ciężko bez wsparcia, ale w tej chwili z oddali dobiegał narastający dźwięk nadlatujących śmigłowców. Posłyszał świst kuli i kątem oka spostrzegł Harry'ego, jak zgiął się wpół i runął na ziemię. Szkoda chłopca, dobry był z niego kumpel. W krzakach czaiła się postać z karabinem. John złożył się do strzału i nacisnął spust. Seria z karabinu przecięła ją na pół. To była walka o przeżycie. Jeżeli nie ty, to wróg trafi ciebie. Pojawiające się helikoptery rozpoczęły ostrzał. Wybuchy pocisków i serie z M 134 wstrząsnęły ziemią. Przeciwnik rozproszył się. Wojsko powoli przeczesywało teren. John szybko zmienił magazynek i z bronią gotową do strzału ruszył za kolegami. Szli w milczeniu, rozglądając się czujnie. Nagle zobaczył wystające zza drzewa buty. Powoli zataczając koło podszedł bliżej. Na trawie w zielono-szarym mundurze leżał ranny żołnierz, z jego ust dochodziło głośne ohmm... Karabin leżał dwa kroki dalej. John ocenił sytuację. To nie nasz, ma inny mundur. Nie widział nikogo więcej. W oczach obcego pojawił się strach. John zrobił krok i wystrzelił krótką serię. Człowiek wyprężył się w konwulsji. Major Bronson kazał nikogo nie oszczędzać. To przecież wojna. Słowa oficera brzmiały w świadomości Johna, odwrócił się i podążył za oddziałem.

Zapowiadał się pochmurny ranek. Słoneczne promienie leniwie przebijały się przez gęste chmury. Szykowali się do wymarszu. Batalion dostał wiadomość, że w pobliżu najbliższej miejscowości przebywa oddział Serbów. Mogą zaatakować w każdej chwili. Trzeba się śpieszyć. Najemnicy szybko opuścili teren zakwaterowania. Po półgodzinnym marszu znaleźli się w pobliżu celu. Małymi grupkami podchodzili do chat otaczając je. Wtem serie z broni maszynowej i wybuchy granatów rozpoczęły walkę. Byli przygotowani. Z drugiej

linii huknęły granatniki, siejąc popłoch wśród żołnierzy serbskich. Zadudniły ciężkie karabiny maszynowe. To trzecia i czwarta kompania rozpoczęły natarcie. Serbowie wobec zaskoczenia i przewagi wroga zaczęli się wycofywać. Oddział wkroczył do wioski. John wolno zbliżał się do chaty. Rozrzucone trupy i kawałki rozszarpanych ciał robiły przygnębiające wrażenie. Za rogiem chaty leżał pięcioletni chłopczyk w nienaturalnej pozie. Ktoś roztrzaskał mu czaszkę o róg domu. John przystanął. Patrzył na chłopca. W pamięci odżył obraz małego brata, który zginął w wypadku. Ile teraz miałby lat, gdyby żył? A ten chłopiec... co czują jego rodzice? Jeśli żyją? Jak można tak postąpić z dzieckiem? Czuł, że coś w nim narasta, pęka. Życie powinno być radością, a jest przekleństwem. Dlaczego musimy się ciągle morderować?

Obraz powrócił. Na chodniku malutkie zwłoki. Jasne loki okalające twarzyczkę Freda i jego otwarte oczy, w których zastygło życie. Dość zabijania! Rzucił karabin, nie patrząc, że jego oddział oddalił się znacznie. W głowie huczała myśl. Nigdy więcej zabijania. Życie może być piękne. Szedł jak obłąkany, coraz dalej i dalej.

Za sobą zostawił wieczność.

Rozdział II

Pracując w ONZ jako konsultant i organizator misji żywieniowych dla krajów słabo rozwiniętych gospodarczo, otrzymałem propozycję wyjazdu. Przyjąłem ją jako wyzwanie. Samolot misji wylądował w Nowej Gwinei. Lekarstwa i żywność przeładowano na śmigłowce, które lądowały w wyznaczonych rejonach. Leciałem w jednym z nich. Helikopter wylądował w pobliżu misji. Na dużej polanie było kilkanaście szałasów. Przywitał mnie misjonarz i biały mężczyzna o ciemnym zarostwie. Nastąpiło krótkie powitanie w języku angielskim. Rozpoczęli rozładunek. Pomagała im półnaga grupa tubylców. Po wylądowaniu paczek i rozłożeniu w prymitywnie skleconym magazynie pożegnałem pilota i poszedłem za misjonarzem, który oprowadził mnie po misji. Wraz z nim był ów mężczyzna z brodą. Misja posiadała szkołę i mały gabinet lekarski. Nawet najgorsza chata w Europie tutaj byłaby luksusem.

W ręku miałem gruby notes, w którym robiłem notatki. Korzystałem z nich w swojej pracy. Na okładce była widokówka z Zamkiem Królewskim.

- To pan z Polski – odezwał się misjonarz.

- Tak, pochodzę z Warszawy.

- A ja z Olsztyna. Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam tu rodaka.

- Rzeczywiście, co za spotkanie, tak daleko od ojczyzny. To jest zadziwiająca. Będę tu jeszcze przez kilka dni. Później przyłeci po mnie śmigłowiec. Jestem Sławek.

- Henryk, z zakonu księży werbistów.

W ten sposób nawiązałem znajomość z zakonnikiem.

Przez kilka dni miałem możliwość przyjrzeć się życiu misji. Największe wrażenie zrobił na mnie pomocnik zakonnika. Zawsze był otoczony gromadką dzieci. Najmłodsze sadzał na kolana. Większe kucaly obok niego. Wszyscy witali go tu serdecznie i z poważaniem. Zapytałem księdza, kto to jest. Uśmiechnął się.

- To mój dar. Potrzebowałem pomocnika. Obszar jest rozległy i warunki trudne. Myślałem, że może będzie to ktoś z księży, ale wyszło inaczej. To nawrócony grzesznik. Tacy są najlepszymi sługami bożymi. Wśród Papuasów ma przydomek „biała dobroć”. Uratował rannego myśliwego, niosąc go przez wiele kilometrów bez kropli wody.

- Czy mogę z nim porozmawiać?

- Oczywiście, chętnie porozmawia z tobą. Zna angielski.

Gdy nadarzyła się okazja, podszedłem do niego i poprosiłem o chwilę rozmowy. Zgodził się. Zapytałem, co skłoniło go do przyjazdu w tak odległe miejsce. Dlaczego wzbudza tak wielką serdeczność i poważanie? Powiedziałem, że pochodzę z Polski i na imię mam Sławek. Wtedy John rozpoczął swoją opowieść.

- Urodziłem się w Nowym Jorku, w dzielnicy Bronx. Tutaj napaady i rozboje nie należały do rzadkości. Mój ojczym był bezrobotny. Przez całe dni przebywał poza domem, pijąc albo grając w karty z kolegami. Nie dbał o rodzinę. Tato odszedł od nas. Miałem wtedy jedenaście lat. Opiekowałem się Fredem. Byłem starszy od niego o sześć lat. Była to jedyna bliska mi istota, gdyż mama pracowała,

aby utrzymać rodzinę i rzadko ją widywałem. Pewnego razu, kiedy Fred bawił się przed domem, z dużą prędkością najechał na niego samochód. Usłyszałem krzyki. Wybiegłem z mieszkania i zobaczyłem mojego brata. Leżał na chodniku z roztrzaskaną czaszką. Obok niego stały dzieci. Ten widok zapadł mi głęboko w pamięć. Ojczym był dla mnie surowy. Mama zaczęła chorować i zmarła. Miałem piętnaście lat. Postanowiłem opuścić dom. Zajmowałem się różnymi pracami. Przez jakiś czas należałem do gangu złodziei samochodów. Gdy skończyłem dwadzieścia lat, postanowiłem znaleźć stałą posadę. W młodości marzyłem o przygodach dzielnego żołnierza. Chciałem nosić mundur. Wstąpiłem do wojska. Odbylem służbę i trafiłem do Legii Cudzoziemskiej. Walczyłem w różnych krajach. Skończył się kontrakt i trafiłem do Serbii. W szeregach chorwacko – amerykańskiej armii walczyli najemnicy. Zabijanie stało się dla mnie pracą, ale właśnie tam bezsensowna śmierć małego dziecka otworzyła mi oczy, wstrząsnęła mną. Przypomniała mi o pięcioletnim bracie. Zrozumiałem: życie kontraktowe to jest darem. Zmieniłem się. Skończyłem z wojskiem. Szukałem pracy, ale żadna, którą wybrałem, nie dawała mi zadowolenia. Zgłosiłem się do ONZ jako wolontariusz. Pracuję w misji cztery lata. To jest moja rodzina. Oni są bardzo wdzięczni za każdy ludzki gest. Pozycja, bogactwo – tutaj się nie liczą. To biedni ludzie, trochę jak dzieci, ale szanujący drugiego człowieka. Ludzie powinni sobie pomagać, a nie walczyć. Tutaj odżyłem sens życia.

Pozegnałem się z Johnem i księdzem. Wróciłem do Lozanny. Dziś, kiedy przeglądam notatnik, widzę uśmiechniętą twarz Johna i słyszę słowa księdza Henryka:

„Nie ma świętych bez przeszłości i grzeszników bez przyszłości”.

SIKORKA

szkliste oczy
zasnute tęsknotą życia
nie zobaczą świata
zesztywniałe skrzydła
nie polecą
ponad lasy i łąki
ustało małe serce
twój czas
dobiegł końca
nikt nie usłyszy
twojego śpiewu
pośród drzew

Matka Ziemia
utuli cię
do snu

więc śpij

w objęciach światła

SENS

szukasz sensu
umysłem
nie znajdziesz

jeśli masz odwagę
Prawdy
wejdź w ciszę
zerwij pieczęcie
zakłamania
otwórz swe serce
słuchaj i patrz
aż zrozumiesz

jeśli tchórzysz
módl się sążniście
i nie osądzaj
On jest we wszystkim

LĘK

niewidzialny lęk
nie istnieje
są tylko kurtyny
spoza których
spogląda strach

zrywam jedną
drugą ...

widzę ...

jego twarz

PRZYSZŁOŚĆ

szczęście
zakryła mgła
wiatr rozwiewa
opadłe myśli
paciorki nadziei
trzymam w dłoniach

dlaczego dziś
nie może być
jutrem

KUGLARZE

kuglarze okradają
ludzkie serca

gawieź bije brawo

w niewoli snu
cieszą się chwilą

koszmar czai się
do skoku

czym jest wolność?

TO ONA

stała przy drodze
w podartym ubraniu
i dziurawych butach
o dziewczęcej twarzy
i włosach w kolorze
pszenicy
które opadały
na ramiona
mieniać się w słońcu

podszedłem bliżej
a ona
wzięła mnie za rękę
pachniała lasem
niebem i ziemią
chodź powiedziała
poprowadzę cię
do krainy
gdzie sen
staje się rzeczywistością
a rzeczywistość snem

poszedłem

i idę tak
do dziś

Paweł Kuszczynski

Do Beethovena

Otworzyłeś mnie na dźwięki
pauzy i harmonie
jak otwiera się do ogrodu bramę
w którym nie ma granic
jedynie bez końca
i początku powoje biegną
za celem
Twoja muzyka jest jak matka
wyglądająca syna
w ciągle żywym oknie
i matka która odprowadza
dziecko na tę nieodgadnioną
stronę
aleja lipowa którą nie mogą
nasyć się oczy
i bez przerwy widzą nowe
drzewa
kamienie wodą i stopą człowieczą
polerowane
szczyty gór z dostojną
samotnością
nie dzieloną z nikim
grzmoty błyskawic nocą sprowadzające
płacz do kołyski
śpiew traw na polanie
i harce morskiej fali
nad niebem nie zmienionym
Chcę ci dać kilka
niezdarnych słów
którymi najczęściej jest
podziękowanie

Do matki

Twoja twarz światłem mi świeci
matko której nie znają
moje oczy
a przeczuwają myśli
zaludniające ciszę
w której biegnę powiedzieć
że tyle upłynęło
nieurodzajnych godzin
Jestem jak przechodzień
któremu życie po drugim chodzi
trotuarze
Noszę cię w głębi niesprzedajnej
Nieustająco pytam czy bywasz tutaj
Czuję, że przyglądasz się
słowom moim
Jak kwiaty traw nietrwale i delikatne
pomyślałem powiedziałem
I nie będzie żadnych przedstawień
Po tamtej stronie spotkam
wszystkich i tych których
po raz pierwszy zobaczę

CO PIERWSZE?

Miłość odnaleziona, całkiem nowa,
słowem zwielokrotniona.

Tarzać się w przepastnej trawie
i nie trzymać się ścieżki,
choć trzeba,

by przemierzać pokoje
oraz wnętrza

i szukać ocalenia w zawsze
pierwszych promieniach słońca,
niweczących zwątpienie
następnego dnia.

Kobieta skazuje się na czekanie,
po chwili rozkoszy
milczenie oddajemy przyspieszonym
oddechom.

Tylko nie wiedzieć:
czy kochanie dusz pierwsze,
czy kochanie ciał.

W pełnym zmęczeniu jest najwięcej
nas.

MIŁOŚĆ

Rozłupuję owoc.
W jego wnętrzu
zanurza się dotyk,
wypełniając posłannictwo
dłoni.
Uścisk rąk przełamuje
zapach
twego ciała,
a łza w oku
dowodem spełnienia.
Znaleziona
przynosi
radość poznania.

SPOTKANIE

Wpatrzony w ciebie
gonię twoje rozbiegane
oczy.

Ciało pozostaje nietknięte.

Czy mi przychylna jest
nagłość chwili wspólnej.

Wspieram się rozedrganym
powietrzem,
które jest i go nie ma,
oddane bez reszty naszemu
spoglądaniu.

Co mi niesiesz w tajemnym
uśmiechu,

gdy przechodzisz obok
siebie?

Księżniczko okolic piękna
wołam ciebie
we mnie.

Stworzona na podobieństwo
moich wyobrażeń
nocnych,
wczoraj objawionych.

Marek Lechowicz

Panu Cogito

Wstań i idź
Droga nie będzie trudna
Wstań i idź
Chociaż pogoda chmurna
Wstań i idź
Głową dotykaj nieba
Wstań i idź
Zdrowie i wiara
To wszystko co Ci potrzeba

Nie wszystko co chwieje się
Musi upaść – rzecze Seneka
Carpe diem Człowieku
Życie ucieka

Wstań i idź
Odkrywaj przyrody cud
Wstań i idź
Życie to twórczy jest trud
Wstań i idź
Zostaw zgiełk miasta w oddali
Wstań i idź
Wola i siła
To żagiew co smutek pali

Nie wszystko co chwieje się
Musi upaść – rzecze Seneka
Carpe diem Człowieku
Życie ucieka

Wstań i idź
Choć światło nikłe w dali

Epea 11

Wstań i idź
Niech blichtr cię nie omami
Wstań i idź
Wszystko w zasięgu ręki
Wstań i idź
Pogoda ducha
Pokona marazm udręki

Nie wszystko co chwieje się
Musi upaść – rzecze Seneka
Carpe diem Człowieku
Życie ucieka

Waniliowy sen
Spod kołderki wygląda
Ciekawski nosek wpatrzony
W zimową biel okna

Tam bajka toczy się odwieczna
Piękna i smutna
Groźna napowietrzna

Senny puszek znad poduszek
Tworzy obraz bajki tej
Przymruż oczka – śnij ten sen

Smok przeleciał za nim świat
Z tysiącami skrzących barw
Marzeń sen zaczęty już
Oczka zmruż
No już już już

Łąki kwiatów pachną słońcem
Strumień górski wpada w nurt
Już przepływasz rzeką mitów
Aby poznać tysiąc bytów

O tej bajce śnij
I w tym świecie żyj
Prawda bajki drzemie w tobie
Nie budź jej do końca
Tęcza kreśli nowe dni
Śmiało wkrocź w baśniowe sny
Rozmarzone oczka twe
Podążają prosto w nie

Twoje życie się zaczyna
Tam wyśniona jest kraina
Śpij już mała ma dziecino
Jest cudowniej z każdą chwilą
Z każdą chwilą
Ma dziecino

Zanim wyjdiesz – tam na zewnątrz
Obraz bajki w sobie miej
I tym wszystkim którzy potem
Opowiedzieć o niej chcesz
Bo życie to sen
Gdy wejdiesz weń

Śpij i śnij swój waniliowy sen
Nim zaśniesz znów
To jest Twój Nów
Twój Nów
Nów

Grzegorz Nazaruk

Dyptyk: życie wierszem pisane

myślę, że jest to początek dłuższego dialogu z Nim

1

czym że jest wiersz
pisany nad przepaścią uczuć
smagany namiętności batem
niepojętnością bytu rozpuszczony
znienawidzony za swą aprobatę
myśli biegnących prawie nieodzianych
bezwstydnym marzeń
świecących nagością
Miłością

2

czym że jest życie
bez przepaści uczuć
uzdą spokoju cicho okiełznane
nad sensownością bytu dumające
i w stabilności myśli zakochane
odziane w codzienności stałość
z pokory wstydem
i celu jasnością
Świętością

żaden poeta

inspirowany II tomikiem poezji Marka Dobrowolskiego i jemu dedykowany

żaden poeta nie powie ci
że twoje wiersze są piękne
bo swoich
piękna nie docenia

żaden poeta nie powie ci
że twoje wiersze są wyjątkowe
bo własnych
znaczenia nie pojmie

żaden poeta nie powie ci
że twoje wiersze są skończone
bo pisząc
nigdy ich nie kończy

żaden poeta nie powie ci
że twoje wiersze są
bo tak naprawdę
nie są twoje

Mirosława Niewińska

Miłość Haryjców

Do Ciebie przyszłam przez Galaktyki
Zieloną Bramą Polarnych Zórz
marzeniem otwierałam serca Gwiazdom
milczałam tak głośno że posłuchał mnie Kosmos
i zbudował tęczowe mosty
z mojej łzy
pomagał Biały Wilk
.....
przytul mnie na chwilę
a stworzymy nowy świat
moja planeta to Ty

Paryż, lato 2011

PIEŚŃ KUPALNA ORŁA , WILKA I SOKOŁA

Sokół Sokół Złote Słońce
Wartka woda żerców śpiew
Tam nad Narwią lśnią kaczeńce
Duszę woła kniei zew

Tak mnie Babcia nauczwała
Życie szanuj pieśni nuć
Twoim domem ziemia cała
Lecz do kraju Przodków wróć

Orły Orły nad górami
Smreki szumią halny gra
Baca idzie za owcami
Sercu trzeba swojskich Tatr

Bo mnie Dziadzio przypominał
Całuj chleb i Domu próg
Chleb to mleko Matki Ziemi
W każdym domu mieszka Bóg

Łado Rodzie Swaróżycu
Żywią płony ludom da
Płodne żony jurnych mężów
Żercy wagę wnieśli w chram

Wilki Wilki przy Księżycu
Perunowych strzegą praw
Hojny Bracie Swaróżycu
Zgodę Dobro w kraju staw

Sokół Sokół Złote Słońce
Srebrny Raróg życia zew
Orły Orły nad górami
Wszechświat niesie Słowian śpiew

Paryż, 13.02.2009
(Lotnisko C.D.G.)

Hubert Piętka

Sprawiedliwość dziejowa

Bajka

Opowiem ci bajeczkę o kotku, moja miła,
Byś się uspokoiła.
Byś nerwy swe uciszyła.
Byś była miła, moja miła.

Pan kotek poszedł na łowy
Do pobliskiej dąbrowy.
Upolował myszkę
O białym brzuszku.

Bardzo mu smakowała,
Bo ta wcześniej serek zjadła

Pojawił się pan pies:
Co tam kotku jesz?

Byś nie dostał niestrawności,
Podziel się zaraz z gośćmi.

Lecz kotek był chytrusek,
Nie zostawił nawet nóżek.
Myszki tej, która
Znalazła się w pazurach.

Na to pan pies spojrział zdziwiony
I powiedział do swej żony:
Dlatego że kotek jest chytrusek,
Nie zostanie z niego nawet nóżek.

Morał w tym sposobie, siostrze:
Że kto niósł tego i poniosło!

Zofia Piłsiewicz

„Rysując portret nieistniejącego miasta”

Mapy równoległego czasu
Skazują na niedokładność.
Po mglistych wektorach ulic
Nieistniejącego miasta
Przesuwają się cienie.
Ujawniają równoległe geografie
Które nigdy się nie zetkną
A może....?
Wędkę zanurzone w Kanale
Znaczą wciąż te same ślady na wodzie.
Niezienne przez epoki.
I okoń ma ten sam słodki smak.

Z otchłani czasu wydobywa się
Dźwięczny śmiech pięknej Marusi,
Co smagłymi ramionami rozwiesza
Na wiosennym wietrze białe obrusy.
Po południu znowu nastawi samowar
dla swojego porucznika. Naważy uchy.

Krążę śladami przeczuć, głosów, zapachów.

Z parku w centrum miasta wydobywają się
Dźwięki zawodzącego w nieskończoność „Alleluja”
I szelest pokłonów bitych , malowanym na drewnie madonnom.
Słowo „miłości” brzmi jak średniowieczny bardon,
A dym palonych świec przysłania rozmodlone oczy.

Błądę po omacku, czasem dostrzegłszy cień domu,
Gdzie wejścia intruzom broni
Niewielki zwitek przyczepiony dwoma gwoździami do progu,
A paznokcie mieszkańców odbijają Boskie Światło.

Na Rynku w nozdrza
wpada zapach maślanych bułeczek
Z nieistniejącej piekarni Solinków.
W jej wnętrzu przy stoliku
Laura de Turczynowicz
Podnosi delikatną filiżankę
Dymiącej herbaty .
Jej gorąco,.... parzy moje gardło,
A wykwintny smak przypomina
Egzotyczne podróże.
Zamyka się pętla czasu.

Ulica 3 Maja.
Tjamil Takosz otwiera
Pachnące cynamonem podwoje.
Jeszcze trwa bezpieczna cisza.
Jeszcze podłogi
Domu Turka
Nie nasiąknęły krwią, a po
Ulicach nie przechadzają się kolejne
nacjonalizmy.
Jeszcze jest czas!

Na północnej pierzei Rynku
Obok Klubu Wioślarskiego
Doktor Ścibor
/o czyją cześć on walczy?/
Wymyka się ukradkiem
Na męskie spotkanie w Resursie.
Pan Olendzki macha zapraszająco ręką
Trzymając na wpół otwarte drzwi.
Dziś będzie wesoło.
Zabawa do rana, a jutro...?
Doktorowa wybaczy!

Epea 11

Wszystko co nie istnieje skazane jest na skrót.
Tylko wiatr niesie wciąż ten sam zapach od jeziora.
Stały w swej zmienności.
Tylko pełen jest las
W maju
Żółtego pyłu.

Na skarpie południowego brzegu rozstawia swój trójnóg
Żydowski fotograf.
Na zawsze utrwała symfonię obłoków.

Jeszcze nie wie, że nikt
nie będzie pamiętał jego twarzy.
Nie jest to ważne, kiedy czuje się
rozległość i szczodrość jeziora,
A sosna wczepiona
rozpaczliwymi korzeniami
w piaszczysta skarpe
czochoła głową kłębiaste chmury.

Wektory czasu przenikają się nawzajem.

Naciskam migawkę wsłuchana w
Błękitno- różową, nadjeziorną mgłę.

Bo bruku zatopionym w cemencie stukają kopyta.
Ziemia i woda stopiły się w jedno
w każdej kwadratowej bryle.
Teraz kamienna ulica przyjmuje pokornie
Drżenie końskich pęcin.
Rozdęte chrapy, rażno podnoszone głowy
Strzygące uszami.
Dziś w Yacht Klubie Oficerskim
Zwycięzcy parkuru będą lać szampana.
Kobiece śmiechy i pocałunki
W poświęceniu podwójnego księżycy

wypełnią noc .
I ten walc.
Jezioro Białe jest całe jak księżyc
-srebrne i tajemnicze.

Długo w noc obserwuję odbijające się w wodzie światło.
Falowanie, rozedrganie, roztańczenieplusk.....!

Piątek wieczór.
Żydzi zaczynają szabas.
Z domu Natana Warhaftiga
wybiega gospodyni,
Może ktoś będzie taki miły i za parę groszy
wyciągnie garnek z pieca?
Tyle prac zabronionych , czy Jahwe
Wiedział, ile kłopotu sprawi Racheli?

Chleb pieczony w piekarniach
Ma taki sam smak, nieważne,
jakiego wyznania jest piekarz.
Sitkowy, razowy, czy ten wilgotny z grochową mąką.
Praca wre przed świętem Pesach.
Rosną kopce macy na sedarową wieczerzę .
Któż się domyśli, że niektóre z nich
Dotyka polska pracownica
ukrytym w dłoni kawałkiem słoniny ?
Niech Żydzi mają grzech.

Od rana rybacy ciągną niewód
Na jeziorze.
Płotki, stynki, szczupaki,
Sandacze, okonie, leszcze.
Ogorzałe twarze mężczyzn
Przesiąknięte machorkowym
Dymem , stopy przyzwyczajone do
Chybotliwej nawierzchni,

Epea 11

I żółte palce przesypujące srebrne ciała
Ryb.
W lodowej pustyni jeziora skrzą się srebrne łuski.

Ale już za chwilę w ciepłym zaduchu
pachnieć będzie
kwaśne piwo w barze
U Merki.
Nad szynkiem nie czuć smutku właścicielki, która
Zakochana w Polaku stała się obca u swoich.

Z kominów snuje się dym, a zapach
Ziemniaczanej babki wyściela ulice Baraków.
Na biednym podwórku młody Cygan
z białymi zębami połyskującymi w uśmiechu wygrywa
rzewne melodie.
Kobieta w małym domku zatrzaskuje okna
Przed Cyganem, czy przed muzyką
Rozrywającą serce?

Południk międzygalaktycznego spotkania
Zaczął się muzyką.

A potem..... ?
Cicho i zdradliwie
Nadeszła epoka znikania.

Tylko te kwiaty rzucane pod nogi
Niemieckim żołnierzom
Zwiastowały nieuchronność.
Wielkie brązowe oczy dzieci
I uspakajający szept
„To tylko sen, tylko sen....”

Janina Puchalska-Ryniejska

Miniaturki

połycki skrzydeł
monotonny huk silników

zawisłam w przestworzach
jak pająk na czatach

nade mną
jaskrawy błękit
nasycony światłem
wschodzącego słońca

w dole rozsypane góry
białych chmur
u ich podnóży
różnokształtne
prześwity
z miniaturkami
krajobrazów ziemi

tak bardzo
oddaliłam się
od ciebie ZIEMIO

Grudniowy wieczór

niebawem
pierwsza gwiazdka błysnie
na nieba szarości

śnieżna serweta
okrywa ziemię wokół
lniana na stole
radosny dialog wiedzie
z wonnym sianem

w kącie pokoju
snopek złotych kłosów

z kuchni dobiega
zapach pierogów
z kapustą i grzybami

biały opłatek
w świetle lampek choinkowych
promieniuje odświętnie
niech się chlebem rozmnoży –
popłyną życzenia

oby *słowo ciałem się stało...*

Krzysztof Rumiński

Szewca ostatni dzień lata

W poniedziałek, w pierwszy jesienny poranek, kiedy jeszcze mgła nie opadła i jesienne słońce nie przegoniło niecierpliwych chłódów, zaszedłem do mojego szewca. Właściwie nic od niego nie potrzebowalem, a może już nie pamiętam, po co wpadłem do jego warsztatu na Starym Mieście, przy Szewskiej. Szewc przywitał mnie, jak zawsze, uprzejmie, ale zauważyłem, że mimo tego zimnego i mglistego ranka, jest jakiś dziwnie pogodny i rozmarzony.

- Udał się Panu, Panie Kaziu, weekend, widzę.

Szewc spojrział na mnie nieco zdziwiony i uśmiechnął się do swoich rozpierzchłych nagle myśli.

- Panie szanowny, widzę, że nigdzie się panu nie śpieszy, jeśli ma pan czas na takie obserwacje. Klienci w taki ziąb jeszcze nie przyjdą. Zapraszam za kontuar, kawa właśnie się parzy, zostało mi trochę ciasta. No proszę, bez krępacji!

Rozsiedliśmy się na szewskich zydlach, na uprzątniętym naprędcie stoliku dymiły szklanki z kawą po turecku, ciasto okazało się domowej roboty, z jabłkami, posypane cukrem pudrem, pulchne, ale nie puszyste jak dmuchane pieczywo. Nie było zbyt słodkie, ale mdłe też nie, rozpływało się w ustach. Na pewno nigdzie go nie mógł kupić. Tylko doświadczona gospodyni potrafi takie ciasto upiec. I to tylko dla kogoś bliskiego. Nie na zamówienie.

- Taki pan spostrzegawczy, że korci mnie opowiedzieć mu, jak mi zeszła ta ostatnia, tak słoneczna i ciepła sobota.

Przeżykałem właśnie duży kęs Domowego Poematu, więc tylko skinąłem skwapliwie i przysunąłem nieco zydel do ściany, żeby oprzeć się wygodniej.

- Kilka dni gryzłem się czymś, – zaczął szewc, kiedy popił ostrożnie trochę zbyt gorącej jeszcze kawy - najgorzej było w zeszły piątek. Nie będę o tym gadać.. co tam... Ma pan oko! Puściło. Sobota była zbawienna, jakby po Tajemnicach Bolesnych, przyszły do mnie Tajemnice Radosne..

- Wie pan, ja jeżdżę konno..

- Pan?! - Nie wytrzymałem i o mało nie wylałem kawy.

Uśmiechnął się wyrozumiale, wcale nieurazony.

- Sam się czasem dziwię... Wie pan, moja córka była strasznie zawzięta na konie, to co, miałem stać za płotem i przestępować z nogi na nogę? Wołałem jeździć z nią. Teraz ona już dorosła, mieszka daleko, nie możemy jeździć razem. Jakaś instruktorka, kiedy jeszcze nawet nie brałem tego do siebie, mówiła, że jazdę konną można uprawiać do późnej starości, *pod warunkiem ogólnej sprawności*. To staram się być *ogólnej sprawności* i jeździć. Moja, mój syn zaczynają się martwić. Jacyś starzy aktorzy ciągle spadają w gazetach i telewizorach, poważnie się tłuką, no i moi zaczynają mi wygadywać. Wie pan...

- W piątek tak mnie wzięło, że zapowiedziałem Mojej: jeśli ze mną na konie nie pojedzie, to się do niej przestanę odzywać. Najpierw próbowała ze mną po swojemu, ale się uparłem. Umówiłem się ze swoją starą instruktorką, która zaczęła na własny rachunek urządzać stajnię i chciałem ją odwiedzić. Ale samemu jakoś nie wypadało...

- Sobota wstała jakaś zupełnie inna, jeszcze ranek chłodny, ale słoneczko, niebo, już obiecują, że będzie weselej...

- Do stajni daleko, oj daleko, pod Skierniewicami, a my zza Wisły, ze wschodniego brzegu, to będzie prawie sto kilometrów. Ze dwie godziny jazdy. Dla mnie to, co tam. Ale moja kobita to przecież jedzie tylko na wycieczkę. To się boję cały czas, żeby nie zaczęła marudzić. Faktycznie, jak by mnie wzięła gdzieś w swoich sprawach, to może bym i zaczął nosem kręcić. Zabawiałem ją rozmową, aby dawać jej coś z mojego nastroju. Po drodze mijaliśmy okolice, o których mogliśmy uciąć sobie wspomnieniową pogawędkę i jakoś dojechalśmy. Mój szrot też był bez zarzutu, nawet ciszej niż zwykle chodził. A może nie cisnąłem go tak, jak to czasem potrafię.

- Dojeżdżamy, okolica piękna, resztki sosnowej Puszczy Mariańskiej, stajnia pod lasem ale jeszcze w rozsypce, plac budowy, rozkopana. Kobita znacząco milczy, gdzieś ty mnie przywiózł, dwie godziny jazdy...

- Nic. Okazuje się, że nikogo oprócz mnie nie będzie, więc mam jazdę indywidualną. Małgosia daje swój instruktorski koncert. Ćwi-

czę różne chody i tempa, wyginania na zewnątrz, kawaletki, kłus zebrany, galop z luźnymi wodzami. Wreszcie małe skoki z utrudnieniami, zmianą nóg i kierunku, z ciasnego zakrętu. Patrzę, a tu Moja swoją cyfrówką nawet zaczyna mi zdjęcia robić, zaciekawiona. Gadają sobie z Małgosią w najlepszej komitywie, trochę ze mnie żartując.

- Po jeździe Małgosia zaprasza na kawę z ciastem. Siedzimy sobie na powietrzu, schronieni przed całkiem już rozdokazywanym słońcem, pod sosenką – galaczkiem. Małgosia, zapalona, jak bożonarodzeniowa świeca, snuje plany na zorganizowanie swojej stajni. Dużo dzieci z okolicy dojeżdża. Ciasto było wprawdzie kupne, ale to właśnie te dzieciaki Małgosi przywozły. Jak któreś spadło – taki jeździecki zwyczaj. A starzy klienci nawet z Warszawy ściągają.

- Dla mnie to za daleko, ale cieszę się, że ktoś i w Skierniewicach będzie miał gdzie na koniku pojeździć.

- Kłopotów z budową nie brakuje, robotnicy są ... wiadomo, a nawet jedna firma z tradycjami z 19-tego wieku też przysłała nygusów i trzeba im było powiedzieć do słuchu.

- No i godzinka nam przy tej pogawędce zleciała, a i żona miała swoje plany na sobotę. Umówiliśmy się z synem i jego rodziną (2+2, jak to mówią) w Pułtusk na obiedzie, żeby potem do szwagra nad Narew wpaść. Wizyta niezapowiedziana. Takie najlepsze. Może to ostatnia okazja, taka pogoda. Ale gdzie ten Pułtusk, znów na wschodni brzeg Wisły, ponad 120 kilometrów przez Leszno. A już po pierwszej.

- Jedziemy, nastrój mamy, jak bym ze dwadzieścia par butów sprzedał. Ale małżonka trochę żałuje, że w taką pogodę my tyle czasu w tym rzęchu musimy spędzać, że od razu trzeba było do Pułtuska jechać. Nic nie gadam, bo przecież widzę, że plan nam wyszedł trochę zawzięty. W Żyrardowie korki, w Błoniu jeszcze większe. W Nowym Dworze bładzimy, bo GPS nie ma widocznie wczytanego objazdu. Albo ja nie mam nowej mapy. Dochodzi 3-cia. Kiedy już nam miny prawie zrzedły, ratuje nas nasza Koronka odmówiona w czasie jazdy. W czasie długich przejazdów często sobie odmawiamy wspólne modlitwy.

- Ostatnio jednego takiego szofera z Ameryki poznałem, on sobie na tych szerokich jak Rynek Staromiejski drogach, też modlitwy

odmawia. To my nie takie ciemne ludzie, żeśmy sami na to wpadli?

- Pułtusk. Na rynku tłum, policja nie wpuszcza, stojemy jakoś, głodni, idziemy coś zjeść do baru na rogu. Ceny mają, jak w barze, karmią lepiej niż w tych lokalach obok, wie pan, a tu ceny 4 razy takie.

- Ja zamawiam schab w migdałach. Kojarzysz pan? Nie wiem, czy ci obok mają go w karcie. W Pułtusku za dziewięć pięćdziesiąt razem z jarzynką do wyboru. Czekamy na syna z rodziną. Wychodzę do nich na rynek, żeby ich przyholować. Wysiada jakiś skwaszony, chyba się poprzytkali. Ledwie wysiadł, zaczyna już narzekać, że ta Unia wygląda z każdego okna, gdzie się nie przyjedzie.

- Bo na rynku impreza unijna. Przyjechał mer francuskiego miasta siostrzanego. Gadał coś po francusku, ale tłumaczyli, że podziwia Polaków. Katyń, wojna, bohaterstwo itd. A na rynku po drugiej stronie jest dom, gdzie Napoleon nocował w drodze na Moskwę. To chociaż Francuzik sobie odrobił lekcję, że Polacy zawsze byli wiernymi przyjaciółmi. I nie zdradzali w walce. Syn mi opowiadał, że przeczytał u Łysiaka, jak jedynymi oddziałami Kaprała, które wycofywały się z Rosji w porządku i nawet partyzanci Kutuzowa bali się ich zaczepiać, były oddziały polskie. A nawet Francuziki przebierały się w nasze mundury, żeby odstraszać. A jak oni się tego dowiedzą? Czy Łysiaka tłumaczą na francuski? Nie wie Pan? Zresztą, co tam Francuzi, nasi mędrzy też takich rzeczy nie wiedzą, kręcą jakieś kretyńskie sceny z oficerem – nędzarzem, idącym przez śnieżycę z laską – szablą. Ja taką scenę całe życie pamiętałem. Jak cierń jakiś w sercu. Dopiero mój chłopak mi go wyjął.

- Może i za drogo nas ta lekcja dla Francuza kosztowała, ale kto to wie, może on jednak sam za nią zapłacił?

- Dlatego synowi powiedziałem, że dzisiaj mam dobry humor i jak mi go zepsuje, dostanie po łbie. Chciał coś margać, że on myślał, że mnie to on może takie rzeczy mówić, ale zobaczył mój wzrok i odpuścił.

- Powiedziałem mu jeszcze, że malkontenctwa to ostatnio miałem tyle, że uszami mi wychodzi, zwłaszcza „święte”, prawicowe i nasze rodzinne, oszołomskie też, więc chcę dzisiaj sobie oglądać jasną stronę księżycy. Widzę, że patrzy na mnie podejrzliwie, ale guzik mnie

to obeszło. Oni jedli, a ja z wnukiem, oglądaliśmy sobie paradę harleyów, którzy zjechali się z całej Polski. Hałas był niemożliwy, a dzieciak o mało nie wyskoczył ze skóry.

- A jeszcze potem ksiądz pobłogosławił tych harleyowców. Przy tym Francuzie! Każdy ma takie parady, na jakie sobie zasłużył. Niech popatrzy. To też w cenie, więc już i tak lepiej.

- Jedziemy nad Narew do szwagra. Teraz już w konwoju. Mój rzech i charakterna terenówka, trochę przechodzona i kapryśna, jak ciotka angielskiego lorda, ale mieszcząca czteroosobową rodzinę i majdan na biwak, w tym dwumiejscowy wózek dziecienny. Dojeżdżamy. Szwagier siedzi sobie z żonką, szwagierką, nad tą Narwią. Na wzgórzu, z widokiem na rzekę. Perła Mazowska. Późno już, po piątej, ale jeszcze sobie pospacerujemy łąką z widokiem na drugi brzeg. Nie spodziewana wizyta. A oni, jak by ich nawiedzili Trzej Królowie. Tak się ucieszyli.

- Szwagier akurat rybki oprawiał, to siostrze je od razu ofiarował, żeby dla wnuczków coś przyrządziła. Jadł pan kiedy rybki prosto z Narwi? Mnie teściowie zastawiali stół rybkami wiele lat temu, zięciowi z miasta. Przypomniałem sobie wtedy, jak smakuje ryba z czystej wody. W dzieciństwie, w Górach Sowich, gdzie się chowałem, szkolny kolega, łapał w strumieniu pstrągi ręką, pod kamieniami. Mieszkał nad samą Białką, z domu mógł bosko wylecieć na połów. Kiedyś zaprosił mnie po szkole. Nigdy potem czegoś tak rajskiego nie miałem w ustach.

- Żadne Hiltony, japońskie, chińskie restauracje, nie mówiąc o amerykańskich nie potrafią. Świeże ostrygi smakują przy tym, jak źle przyrządzona galaretka z nóżek. Trzeba cytryny! Cytryny, uważasz pan? To jest elegancja, Francja. A do pieczonego w kominku, na blasze, z maselkiem, pstrąga chyba nawet soli nie musi pan dodawać. I nawet pan nie zauważysz. W Narwi pstrągów nie ma, ale szwagrowskie płotki wolę nawet od pstrągów podawanych w tych przydrożnych chatkach staropolskich.

- No i posiedzieliśmy, szwagierka herbatki zaparzyła i ciasta nakroiła. Nieboga, na cały tydzień sobie i swojemu napiękla, ale powiedziała, że przecież ma czas, to sobie jeszcze napiecze. I na drogę pół prodiża, co jeszcze zostało, nam oddała. Toć mąkę ma, a w sadzie

jabłka jeszcze opadają. A ciasto – pycha!

- O, właśnie, jeszcze trochę zostało. Jak, smakuje? Może szanowny pan, zje jeszcze kawałek?

Nie znalazłem odpowiednich słów, żeby podziękować staremu za poczęstunek i opowiedzieć o ostatniej letniej sobocie. Zrobiło się późno. Słońce rozgoniło jesienne mgły i chłody. Pojawił się klient. Szewc skinął mi przepraszająco i wrócił do swojego szewskiego zajęcia. Ja zaś obudziłem się z jakiegoś cudownego snu i oprzytomniałem.

Trzeba wracać do rzeczywistości. Rzeczywistości? A tamto, co to było? Staremu w głowie się miesza, może tak tylko sobie marzy. Może w ogóle przesiedział z babą w domu, naburmuszony, przecież widziałem go piątek, jak chmurę gradową. I chciał się tylko tak pochwalić.

Konie? Francuz w Pułtusku, harleye? Schab z migdałami w barze na rogu? Ciasto? Nie, no już przesadził. Nie nabierze mnie! No tak, ale ciasto rzeczywiście pyszne. Ciasta nie wymyślił. No i skąd by wiedział o tych partyzantach?

Swoją drogą, pierwszy taki mój poniedziałek... A to dziwak!

Stowarzyszenie umarłych poetów

Motto

... słowa, które mają taką siłę, że włosy stają dęba.

I natychmiast rozumiesz subiektywną prawdę, która zawiera obiektywną rzeczywistość, bo ktoś to sobie uświadomił.

To właśnie nazywamy poezją.

Allen Ginsberg („Widziałem najlepsze umysły mojego pokolenia zniszczone szaleństwem...”)

Część pierwsza: Impuls

Wiersz - to intensywne przeżywanie czegoś przejmującego, do tego stopnia, że czujemy się tylko transmisją...

To świadectwo z okresu Żałoby Smoleńskiej Leszka Długosza, poety pochodzącego z klimatów, które kiedyś mnie niecierpliwiły swoim „smuteczkiem”.

... małe smuteczki.

...

Lecz wystarczy pieskowi dać mleczko

I już nie ma smuteczków nad rzeczką.

Moment wystąpienia poety w programie telewizyjnym Jana Pospieszalskiego był impulsem, by sprawdzić, jak to się dzieje, że ten smuteczkowy poligon jest najlepszą szkołą trafiania w sedno?

Kiedy stajemy przed nagłą próbą mądrości i ludzie ostrożni korzystają z okazji, żeby siedzieć cicho, twórczość mierząca „wyżej” objawia się czasem zakłamanym wierszem. Albo kabotyńską wypowiedzią, zdradzającą kompletne pomieszanie z poplątaniem.

Przykładów nie będzie. To jest tekst refleksyjny. Nie polemiczny.

Chyba wtedy zdałem sobie nagle z osłupieniem sprawę, że poezja jest niczym innym, jak ... „modlitwą w ukryciu”. A może już kiedyś wiedziałem, ale ... zapomniałem?

Wystarczyło przypomnieć sobie pierwszą pielgrzymkę do Częstochowy. Sierpień 1985. Z tym samym osłupieniem zobaczyłem, węc-

drowiec po górskich szlakach, grzbietach i szczytach, że NIE WIEDZIAŁEM, PO CO JA PO TYCH GÓRACH CHODZĘ.

Ale chyba Ktoś wiedział. Pewna pątniczka, dzisiaj skromna posłanka, kiedyś Joasia o misjonarskiej pasji, powiedziała do mnie, patrząc na moje górskie buty, noszone zamiast pątnicznych sandałów: „Oooo, góral! Witamy na pokładzie”.

Wtedy zrozumiałem, że byłem „pielgrzymem w ukryciu”. Trochę mnie Ktoś przygotowywał do nowych szlaków, a trochę traciłem czas. Bo zachwycałem się urodą Stworzenia, nie myśląc o Tym, któremu to zawdzięczam.

A teraz? Teraz zrozumiałem, że wiersz może być podglądana, wydana na publiczny łup w ekshibcjonistycznym impulsie, modlitwą nieszczęśników, którzy inaczej się modlić nie umieją. I jednocześnie zaproszeniem do niej.

.....

Korzystając z rodzinnych zbiorów polecałem szybko zweryfikować, czy może już bardziej dojrzałem do owych smuteczków. I wyłuskałem motyw wprawdzie zamyślony, ale zaskakująco bliski: rozmowę poetów podających sobie przez lata i epoki nastrojoną lirę ...

Bolesławie – tak z imienia Bóg ponowi

- Oto mi przybywasz

Witaj po żywota trudzie

- Z rodu żydowskiego, z narzecza polskiego

Czeladniku istności Chrobry

....

Przodem , Bolesławie

Proszę, proszę...

.....

No proszę, proszę. Mój ukochany od najmłodszych lat bazarz „Klehd Sezamowych” i twórca rozpoznawalnej na pierwszy rzut oka poetyki mrugającej oczkiem niezapominajkowym, malinowym chruśniakiem, straszący strzygami i topielicami, o miłości piszący epickim trzynastozgłoskowcem, żeby było trudniej się nauczyć na pamięć, to dobry znajomy pana Leszka!

Poeta Długosz trafił w sedno, ale wiersza do studia nie przyniósł. Może nie chciał iść śladem pewnej noblistki i ryzykować? Szkoda.

Pamiętam „kryzys warszawski” późną jesienią 1980, wywołany przez aresztowanie Janka Narożniaka, drukarza Regionu Mazowsze. Tego samego, który postrzelony w stanie wojennym podczas ucieczki, został uwolniony ze szpitala i ukryty. W akcji, jak z okupacyjnych opowiadań.

Zebranie przedstawicieli warszawskich kół Solidarności w Domu Kultury Zakładów Mechanicznych Ursus, listopad 1980.

I wiersz, który Jerzy Narbutt napisał pod wpływem nastroju chwili i przyniósł do Ursusa. Kartkę z wierszem odczytano zebranym, rozgłaszczanym związkowcom, debatującym nad sposobami reakcji na tę prowokację. Natychmiast, na zawsze stał się hymnem Solidarności:

....

*A jeśli ktoś nasz Polski dom zapali
To każdy z nas gotowy musi być
Bo lepiej byśmy stojąc umierali
Niż mamy klęcząc na kolanach żyć.*

...

No cóż, to jest hymn. Kto nie przeżył tego nastroju uniesienia, upojenia migocącą jutrzeńką wolności, zaprawionego odwagą wobec groźnego warczenia stojących na razie w bezpiecznej odległości wilczurów, niech się nie krzywi na patos i prosty rym. Ale może jednak poczuje ten nastrój? Czy ten wiersz niesie go w sobie? Nie mnie sądzić, nie jestem obiektywny.

Czy poezja powinna się zjawiać „na zamówienie”? Trzeba odwagi. Nie odwagi zwykłej - wobec represji. Pewnie, że tego też. Bo niektórzy twórcy i tego nie mają. Większej odwagi. Odwagi zmierzenia się z czymś większym od nas. I wystawieniem ostrza talentu przeciw Hydrze Niewiadomego. Liryka, Epika i ... Grzmot Losu. A talent jeszcze nie ostrzelany w takich skrajnych okolicznościach.

Różne są drogi do mądrości proroka nad-epokowego.

Czy dziennik liryczny i zamyślona strofa, niczym poetyckie *silva rerum*?

Czy znój starań o właściwe rzeczy słowo, żmudne rzeźbienie słów nowych i szukanie zdziwionych sobą ich zestawów?

Czy moralny impuls i poddanie się *przejmującemu*, aby stać się *transmisją*?

A może wszystko na raz, a właściwie wszystko w swoim czasie?

Czy Kamil Baczyński, gdyby dożył chociaż do września, napisał by coś lepszego, coś bardziej „poetyckiego” niż Józef Szczepański „Ziutek” o „czerwonej zarazie”?

Jedną, pewnie banalną, hipotezę można postawić na przepis na „najlepszą” poezję. Samotność i cierpienie.

Emigrant. Człowiek wyzuty ale nie wykorzeniony. Postawiony na zewnątrz, nie szukający zbyt gorliwie uznania, nie zapuszczający na siłę korzeni. Postawiony, aby patrzeć z oddali. Widzieć i opisywać, bo tęskni. Czy to przypadek, że nasi najwięksi – to emigranci?

Nawet ci, którzy zostali w kraju, to właściwie ludzie zepchnięci na margines, albo, właśnie jak Leśmian, Herbert i *toutes proportions gardées*, Długość, - ludzie, którzy z własnego wyboru pozostali „z boku”.

Skąd masz róże? Ziemia leży

Śniegiem pokryta.

Idziesz, gdzie Kopernik w szubie, w mróz w wieży

Z Gwiazd czyta.

O tym wierszu Jana Lechonia, jego bohater nie powie na pewno, że
*Nie czuję strun, drżących pod palcem twym –
Jesteś poezji drukarz!*

Obaj nieszczęśni emigranci, odlegli od siebie o wieki trzy ćwierci. Jeden umarł w przytułku, drugi skończył, roztrzaskany o nowojorski bruk. Czy Dobry, Miłosierny Bóg przyjmie go tak, jak jego kolegę Bolesława, który miał szczęście umrzeć przed wojną? I policzy mu tę ukrytą modlitwę? Ile miłosiernych uczynków jest warta?

Wiersz smutny ale nie zwiastuje jeszcze śmiertelnej rozpacz. Rozważny i romantyczny, jakby Norwid go dyktował z zaświatów. Po prostu, o Poecie.

Obaj podziwiali i kochali Mochnackiego. Tego, który powiedział, że stworzenie przez Polaków własnej literatury to warunek istnienia narodu.

Część druga: Wspomnienie

Mochnacki. Wytlumaczę się z tego skojarzenia wspomnianiem z poezją w tle, przy melancholijnej muzyce ze strony <http://www.je-rzywasowski.pl/>, a może ze strony <http://abcjazz.net.au/> .

Zamiłowanie do poezji i pierwsze umiejętności jej rozumienia za-wdzięczam swojej „pani od polskiego”, *Ciotce Raczyńskiej*.

W najdziwniejszy sposób egzaltowanej „czerwonej hrabiance”. Surowej i bezlitosnej dla mniej zdolnych i w jej pojęciu leniwych uczniów. Pobłażliwej dla tych, co lubili poezję - aż do budzenia za-zdrości i niechęci, zwłaszcza koleżanek.

Zadawała do czytania i bez pardonu sprawdzała wykonanie. Kon-struując przemyślnie testy z treści utworów.

Ale mnie zapadł w pamięć nie test ze znajomości, tylko całkiem inny. Kiedyś po rozpoczęciu lekcji o „Kordianie”, zapytała:

Komu się podobał?

Nie wiem dzisiaj, czy świadomie zaaranżowała tę klasyczną, gom-browiczowską scenę z „Ferdynandem”, z dialogiem między profesorem Bładaczką a uczniem Gałkiewiczem. „*A mnie nie zachwyca!*”

Ta genialna scena również dzisiaj *zachwyca* dowcipem, chirurgicz-ną precyzją i hiperboliczną głębią. Dlatego nie mam pretensji, że Autor nie przewidział, iż większość bohaterów tej sceny za chwilę zdała egza-min obywatelski z praktycznego romantyzmu, ginąc bohatersko w kil-ku wojnach lub w kazamatach, wydanych im i zorganizowanych przez wychowanków różnych nowoczesnych filozofii, tak idealistycznych, jak i materialistycznych.

Próbował zdać go nawet sam Genialny Obrazoburca, zgłaszając się do polskiego konsulatu w Argentynie, po przydział mobilizacyjny.

Na pewno nie miała nic wspólnego z Bładaczką. Zresztą była w wie-ku Pana G. Mogłaby być Syfonem, gdyby była mężczyzną. Gdybym miał maniery i mentalność niektórych współczesnych literatów, wy-myślił bym jakieś modne dowcipy na temat jej wyglądu i płci.

Nie spełniała żadnych prześmiewczych kryteriów Gombrowicza, wyznaczonych nauczycielom. Z wyjątkiem jednego. Ale o tym później.

Na razie wspomnę o tym, czego Mistrz - Pogromca WszechPo-wag, Rycerz Prawdziwej Egzystencji zdawał się odmawiać nauczycie-lom czasu przed Apokalipsą, Czasu Uniwersalnego.

To była przedwojenna nauczycielka ocalała z Pożogi (w czasie wojny musiała mieć pod czterdziestkę). W pewnym sensie, (ale tylko w pewnym!), jakby żywcem wyjęta z kart Pierwszej Polskiej, (gdzie tam polskiej, Światowej!) Powieści Egzystencjalnej, przy której wywody Sartre'a są jak senne koszmary młodego erotomana. A rozważania Camusa, jak mruczenie namolnego pijaka.

Była inteligentniejsza od większości uczniów i tęskniła do tego, żeby rozmawiać tylko z godnymi rozmowy. A musiała poświęcać czas wszystkim. Wobec tego, na złość tej nieznośnej sytuacji, od wszystkich wymagała tego samego. Czemu większość nie mogła sprostać.

Może chciała zmierzyć się z wyzwaniem, wobec którego i Pimko i Bładaczka zawiedli?

Bo przecież zastrachany konformista Bładaczka miał przeciw sobie milczącą klasę sprytnych konformistów i krętaczy, bez skrupułów manifestujących swoją wolność i obojętność dla oferowanej im strawy duchowej.

Zaś wyniosły i traktujący swych uczniów, jak istoty innego gatunku, gatunku „niewinne dzieci” Pimko nie miała żadnych szans na uczciwe porozumienie z nimi.

Ona zaś, przedwojenna nauczycielka i nosicielka śmiesznego, przebrzmiałego tytułu, ciało starannie dobrane i wyjątkowo przykre i drażniące, w wieku niewdzięcznym, *age ingrat*, miała dumę wyznawcy poezji i majestat kapłanki literatury.

Nie była konformistą, jak Bładaczka, o nie. Nie była wyniosła i traktująca protekcjonalnie, jak Pimko. Była wymagająca i bezkompromisowa. Traktowała swoich uczniów poważnie.

A naprzeciw sobie miała stadko głupiutkich, grzecznych dzieci.

Żadnych awantur. Żadnych odważnych wyznań: „Mnie nie zachwyca, słowo honoru, nikogo nie zachwyca.” Tylko ...brak wznieśionych rąk na to proste pytanie. Z wyjątkiem jednej.

A dlaczego ta jedna wzniesiona dłoń?

Toć to cudna opowieść o rówieśniku, któremu stary sługa, bajki opowiadał!

Mały Janek gdzie się chował

Przez rok cały, zgadnąć trudno.

Wsiadł na okręt i żeglował,

*I na jakąś wyspę ludną
Przypłynąwszy wylądował...
Owdzie król przechodził drogą.
Jaś pokłonił się królowi*

...

Ech, co za cuda! Króle chodzą drogami, z Mont Blanc prosto do książęcych komnat, skakanie konno przez bagnety, nie żeby ratować życie, ale aby zaimponować wrażemu dowódcy – księciu, którego się nie zabiło z powodu lęku przed Tradycją. Czy są piękniejsze baśnie i to jeszcze z prawdziwym, historycznym, romantycznym, niepodległościowym komponentem?

To był początek ich dziwnej, „szorstkiej” przyjaźni. Piętnastoletniego szczyła i starej, brzydkiej jak noc, z ptasim, piskliwym głosem, kobiety.

Pamiętam pierwszą lekcję. Byłem nowy, przedostatnia klasa liceum. Wtedy nazywało się: dziesiąta.

Jej wstępu do lekcji polskiego na początku września na końcu lat pięćdziesiątych, nie pamiętam. Lekcji w klasie grodzkiego liceum imienia Bolesława Prusa, odległego od mojego miasteczka o dwadzieścia minut drogi kolejką WKD.

Pamiętam tylko nieludzki wysiłek i paniczny strach, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Udało mi się poprzestać na stłumionym dłonią parsknięciu, symulującym kichnięcie, nie budzącym podejrzeń.

Tak była śmieszna przy pierwszym zetknięciu. Wyglądała jak pelikan i tańczyła po klasie jak żuraw kłaniający się wodzie u studni, piszcząc przeraźliwie dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów, nieświadoma swego pokracznego komizmu, niczym romantyczny maskaron.

Klasa oczywiście nie reagowała, już przyzwyczajona do tego widoku i wydawanych dźwięków, pełna respektu dla *Ciotki*, słuchała pilnie a przynajmniej grzecznie i karnie. Dziewczyny w postawie zasadniczej z rękami założonymi z tyłu. *Ciotka* nazywana była dużo gorzej, ale moja niezmienna miłość do Niej nie pozwalała mi nawet zacytować tego słowa, które dzisiaj znaczy już coś innego i nie wyraża tego niekłamane go respektu, podziwu i sztubackiej nienawiści pomieszanej z sympatią do surowego belfra.

Jej właśnie zawdzięczam znajomość ortografii lepszą od przeciętnej. Bo zacząłem edukację pod jej kierownictwem od uświadomienia sobie, że wcale nie jestem taki mocny, jak sobie myślałem. A *gżegżółka* pisze się właśnie tak, a nie inaczej. Winien jej jestem głębszą świadomość harmonijnego rozwoju języka, którego to rozwoju ortografia miała być niemyym świadkiem.

Ja mieszczech, nauczyłem się szacunku do ludzi ze wsi, którzy byli żywymi świadkami historii Narodu. Bo nigdy nie pomylili *ch* i *h* w słowie *chata* ani *rz* i *ż* w słowie *żaba*. Bo słyszeli i wymawiali to słowo inaczej, niż ja.

Jej surowość w egzekwowaniu materiału szkolnego wynagradzała nam tym, że na zdobytej razem wiedzy literackiej pokazywała piękno i uczyła stopniowo wrażliwości na nie. To logiczne. Jak mogła pokazać piękno poezji ignorantom? Najpierw przeczytaj. Potem przeanalizuj komentarze mądrzejszych od ciebie. Pomyśl. Sam spróbuj. Potem podyskutujemy. Potem wyjaśnię ci, jakie trudności musisz jeszcze pokonać, żeby zrozumieć i docenić. Rozumiejąc, oswajaj się z urodą i precyzją słowa. Odkryj, jak słowa stojąc pierwszy raz obok siebie, dziwiąją się sobie nawzajem. „Prawda, że piękne?” - mogłaby powiedzieć, czekając na końcu tej drogi, niczym dobra wróżka poezji.

Ambitny program, który nie wszyscy wytrzymywali. Ale ona była bezwzględna. Wymagała „minimum” i nie znała litości. Oblevała na maturze. Fama rozchodziła się po szkole. Kilku moich kolegów zmieniło szkołę przez nią. Do dzisiaj nie mogą jej darować. Mimo, że znaleźli w końcu swoją drogę. Może bez poezji.

Ja natomiast lubiłem jej lekcje zasłuchany w jej fascynacji Słowackim, pasjonujący się tajemnicami konfliktu gigantów romantyzmu. Z ciekawością notowałem jej tłumaczenia niemodnych dylematów Krasińskiego, którego nostalgii za odchodzącym, starym światem zupełnie nie podzielałem. Odkrywałem sekrety poetyckich metafor Przybosa, które *Ciotka* ukazywała rzetelnie acz zaprawiała swoje analizy ledwie maskowaną niechęcią.

Ja zaś byłem wychowany na poezji Tuwima, Brzechwy, Kerna i Gałczyńskiego, których propagował krakowski Przekrój, prestiżowy tygodnik zgniłej inteligencji pracującej. Tej trzeciej warstwy jedynej Polski, jaka nam została. Niepewnej, ale potrzebnej. Jak się obejść bez

dentystów, techników dentystycznych, a nawet pomocy dentystycznej?

No i czytałem już jako kilkuletni szkrab fajne bajeczki o Zielonej Gęsi, Osiołku Porfirionie i Dymiącym Piecyku. Śmiałem się tak samo, jak moi rodzice. Każdy z innego powodu. Taka twórczość wielowarstwowa. Dzisiaj nauczyli się Amerykanie kręcić filmy dla dzieci, z dodaną drugą warstwą dla dorosłych. Żeby się za bardzo nie nudzili, jak pójdą z dziećmi do kina.

Później, już na własną rękę zachwycałem się apoteozą radości przy pomocy cytatów z Rimbauda, jakie robił w wierszu *Dziecko się rodzi*.

Może dla równowagi, żeby nie było za melancholijnie, zacytuję z pamięci:

*Cytuję kolegę Rimbauda,
cytowanie to rzecz niezdrożna,
„J'ai tendu des guirlandes de fenetre
a fenetre;
des chaines d'or de l'etoil;
a l'etoile ;
et je danse”.*
Lepiej nie można !

No dobra, sprawdziłem dla pewności ortografię i łamanie wersów. Okazało się, że zapomniałem o złotych łańcuchach. :)

Jak ktoś ciekawy, to Rimbauda biały wiersz *Frazy* przetłumaczył Artur Międzyrzecki. Ale to już nie to. Wiadomo, chodzi o girlandy między oknami i złote łańcuchy między gwiazdami.

Sorry za epatowanie obcymi językami, ale to wiersz, którego piękno może być dostępne nie tylko dla „klas francuskich”. Trzeba tylko zasłuchać się w melodię.

.....

Ciotka wystawiła mnie w końcu do konkursu recytatorskiego. Bez sukcesów u komisji. Recytowałem trudny, chyba za trudny dla takiego smarkacza, wiersz Lechonia, *Mochnacki*.

Wydawało się, że rozumiem i młodego patriotę, który na wygnaniu rzucał wyzwanie Europie swoim talentem pianistycznym, jak wyrzutem sumienia. I jednocześnie oddaję hołd jego nieszczęsnemu

piewcy, znajdującemu się w nieporównanie gorszej sytuacji ponad sto lat później.

Później jeszcze dowiedziałem się od Norwida, że Mochnacki był uwikłany w polityczne spory podczas Powstania Listopadowego i doznał od rodaków upokorzeń, co stawiało ten wiersz w dodatkowym, dramatycznym świetle. No i umarł tak młodo.

Jan Lechoń, autor wiersza *Mochnacki*, był nie tylko utalentowany. Próbował być mądry. Przeżył Conrada. Ale swojej smugi cienia nie potrafił przeżyć szczęśliwie.

Moja egzaltowana interpretacja jakby tę wiedzę antycypowała, ale komisja pewnie dostrzegła tylko egzaltację i niedopracowanie.

Za to byłem wówczas świadkiem niezapomnianych wykonań Gałczyńskiego *Zaczarowanej Dorożki* i *Strasnej Zaby*. Wykonawcy przeszli do następnego etapu. Wraz z innymi, którzy nie byli tak ambitni, jak ja, ale za to rzetelniej przygotowani.

I poznałem tych szczęśliwszych ode mnie i bardziej utalentowanych- kolegę i koleżankę. Jakieś wspólne plany teatru poezji rozwiały się zaraz po konkursie, ale przynajmniej powąchałem, jak pachnie bohema.

Zostały mi tylko występy na szkolnych imprezach. I na studenckich wczasach.

Ciotka została w szkole, rozzarowana moim wyborem politechniki.

.....

Czy ta klasa zdała obywatelski egzamin, tak, jak klasa profesora Pimki?

A była to klasa kapitana żeglugi wielkiej, prowadzącego do dzisiaj wielkie tankowce, sportowców i działaczy, inicjatora patriotycznych uroczystości, kilku inżynierów, lekarza, kilku emigrantów, do dziś dających dowody miłości do Ojczyzny. Zdolnej matematyczki, pracownika uniwersyteckiego. Oficerów Wojska Polskiego, to co, że Ludowego. Przy najbliższej okazji zostali oficerami prawdziwie polskiego wojska.

I wielu Matek Polek. Dziewczyn z okolicznych wsi, kończących na tym liceum swoją edukację.

To było pokolenie, które już dojrzałe, po swoich przejściach, witało w Polsce w 1979 Pielgrzymia. Które tworzyło w 1980 największy na świecie ZWL - Związek Wolnych Ludzi.

Czy tacy, jak Ona mieli w tym swój udział? Dla mnie odpowiedź jest prosta. I nie ma nic wspólnego z genialnie wykreowaną śmiesznością profesora Pimko, który należy do innego świata. Absurdalnego świata Niezwycięzonej, wbrew nadziejom genialnego Szyderycy, Formy.

Nie ma również wiele wspólnego z pokracznym komizmem tej egzaltowanej, surowej, niezapomnianej Nauczycielki.

Poezja i życie, czyli coś osobistego od Lisa

Nie tylko poetą „się bywa”. Bywa się również czytelnikiem poezji. Nastroje egzaltacji ulatują, jak poranna mgła. Życie porywa i człowiek obrywa.

Od czasu do czasu jednak coś rzuca się na uszy. Zwłaszcza, jak się człowiek inaczej nie umie modlić.

Leśmian. Staff. Poeci francuscy (Baudelaire i Prevert), włoski: Quasimodo, rosyjscy: Majakowski, sonety Shakespeare'a. Baczyński, ten od metafory z brylantami, którymi strzelaliśmy d wrogów, ukutej przez Kazimierza Wykę.

Norwid. Mała książeczka Anieli Kowalskiej, która pokazała mi, jak go czytać.

Z powodu zbyt długiego pozostawania w kręgu romańskim, niedostatecznie przyswojeni literacko, może tylko przez klimat i rytm, anglojęzyczni bardzi: Cohen, Dylan.

Co dzisiaj zostało z tych lektur, z tych chwilowych uniesień?

Może właśnie to dzisiejsze odkrycie o „ukrytej modlitwie”?

Człowiek szuka sensu. Ale to człowiek dzisiejszy szuka sensu. Gdzieś tak od czasów Gombrowicza. Któremu się wszystko posypało.

Bo człowiek dziewiętnastowieczny nie szukał sensu. On szukał najlepszej drogi do celu. Jak najlepiej wypełnić obowiązek. Bo sensem była Miłość. Miłość Boga. Miłość bliźniego. Miłość Ojczyzny. I ta Miłość skłaniała do wypełniania obowiązku. Takie tam. I tak wam nie wytłumaczę. Chyba, że sami wiecie.

Potem nastąpiło coś niesłychanego. Jak w momencie zjedzenia owocu z Drzewa Wiadomości Złego i Dobrego. Wtedy człowiek posmakował Zła. Dobro i Zło stały się alternatywą.

No i gdzieś tak pod koniec XIX wieku sens i bezsens stały się alternatywą. Fenomenologia. Do głosu doszło znużenie, jako przeciwieństwo świeżości i zapału.

Potem już poszło. W XX wieku egzystencjalizm odkrył rozpacz. Żle mówię. Gdzie by tam odkrył. Przeczytał u Czechowa. Zignorował, co z tego wynikło.

XX wiek właśnie się niesławnie skończył. Filozofia miała nie rozumieć świata ale nauczyć się go zmieniać. Zmieniła. Pociągnęła go na samo dno. Doprowadziła go do rozpaczcy.

Brakujący, czwarty wieszcz, miriamowe, dwudziestowieczne odkrycie na archeologicznym stanowisku literatury dziewiętnastowiecznej, jak „odskrobane starożytne napisy”, ostrzegął o śmierci Poezji prawdziwej. *W s a m o t n o ś c i*, trudzie i męce przemysłiwiał, ociosywał słowa,:

*Nie ja jej depcę grób...lecz po tych dziele
Stąpam, co cmentarz wyrównali piaskiem
A ż s i ę z a m y ś l ą m y ś l i n i s z c z y c i e l e,
I grom zawołam, by uderzał z trzaskiem,*

.....

Czy ostrzeżenie jest aktualne? Dlaczego tak żywo reaguję na wiersze o umarłych poetach? Przecież nie z powodu głośnego filmu!

Od mniej więcej roku piszę dla grona czytelników większej od liczby jeden. Czyli mnie samego. Czasem dla kilku przyjaciół, czasem dla kilkudziesięciu przypadkowych surferów. Czasem nawet łaskawa Moderacja zauważy. Nisza Krisa, jama Lisa. Albo dziwactwo starego durnia, którego trzeba przypilnować, żeby nie przypalił suszących się grzybów.

Kiedy szukam dzisiaj, w chwili zadumy, motywu przewodniego mojej pisaniny, to znajduję tu niespodziewanie cień jak najbardziej „światowego” i „wzniosłego” dążenia do *ciągłości*.

Allen Ginsberg, kiedyś głośny amerykański poeta przełomu ery bitników i hippisów to człowiek mi odległy zarówno twórczością, jak i filozofią, o którego dziwactwach nigdy nic nie wiedziałem i do których dziwactw nie tęsknię i teraz. Wyraził jednak niedawno coś przejmującego i charakterystycznego.

Tęsknotę do ciągłości sztafety Bardów, zwanych po polsku Wieszczami, niosących Pochodnię pokoleń. Że miał na myśli ciągłość ideową pokręconego nurtu, wyganiającego diabła belzebubem?

A miał. Ale jego wzruszenie z powodu odnalezienia następcy bar-dów lat pięćdziesiątych w osobie Boba Dylana było intuicją zastanawiającą.

Moim zdaniem, ta idea ciągłości jest czymś ważnym, czego nie umiałem wyrazić, a czego Polacy potrzebują. A Amerykanie, ten młody naród, ukształtowany już chyba dostatecznie, aby przetrzymać szaleństwa „dziecięcej choroby lewicowości”, mają. Co do tej nieszczęsnej choroby, dadzą radę. No bo jeśli oni, od ponad dwustu lat niepodlegli i zwycięscy nie przetrzymają, to kto?

Idea Przewodnika poruszanego impulsem moralnym. Poszukujący człowiek może błądzić. Ale dopóki szuka i dopóki nie da się skorumpować do końca diabelskim podszeptom świata, nic nie jest stracone.

Czy tekst z jednej z najpopularniejszych piosenek barda hippisów nie jest poruszany tym samym impulsem moralnym?

*...how many times can a man turn his head
Pretending he just doesn't see?*

Porównajcie to z

Bądź wierny Idź

Czyż to nie to samo wezwanie do dania świadectwa? Poezja z imperatywem moralnym, niesiona przez pulsujący rytm przyswajana jest przez tysiące wielbicieli. Pochodnia jest wzniesiona wysoko i przekazywana następcy. Teraz kto?

U nich też jest okres smuty. Ale spokojna głowa. Tylko patrzeć, jak pojawi się następca. Outsajder szybko przewróci stół.

Emigranci. Wewnętrzni i zewnętrzni. Samotni. Bo samotność jest warunkiem koniecznym bycia poetą. Niezawisłość duchowa. No i brylant talentu.

Nie tylko „Lawina bieg od tego zmienia..” ani nawet „Masz mało czasu, trzeba dać świadectwo...”

To są grepsy półinteligentów, denerwujących się, że ich zdaniem, w Polsce jest za dużo ćwierćinteligentów. Grepsy, nie natchnione słowa, od których kiedykolwiek stanęły im włosy na głowie.

Szukamy przecież, od czasu do czasu, kiedy stajemy się na chwilę czytelnikami poezji, tego słowa, które stawia włosy na głowie. Albo po prostu:

Wiersza, który *jest* ukrytą modlitwą.

Czasem wystarczy posłuchać i zrozumieć ślepego, nieuczonego, może nawet niepiśmiennego bluesmena.

I włosy stoją. Oto odpowiedź na pytanie, czym jest dusza człowieka:

I read the Bible often

I try to read it right

As far as I could understand

It's nothing but a burning light

Blind Willi Johnson

...dalej po polsku: Ma ewangeliczną głębię, darujcie więc gubienie bluesowego rytmu na rzecz dziadowskiej pieśni. Niech będzie spolszczona również rytmicznie:

Gdy Pan wkracza do świątyni

Ludzie stają zadziwieni

Niech spróbują ci prawnicy

Wskrzesić człeka już z ciemnicy

Mochnacki twierdził, jako się rzekło, że aby przetrwać, jako naród, musimy stworzyć własną literaturę. Jan Paweł II mówił o decydującym znaczeniu narodowej kultury dla jego przetrwania.

Warunek spełniliśmy z nawiązką.

Zawdzięczamy przetrwanie wszystkim tym, którzy Narodu nie znieubili, nie zamierzają ...schrzaniać stąd w razie czego.

Którzy formułują postulaty i pracują nad ich wprowadzeniem w życie. Tworząc narodową kulturę.

Nic nie jest dane raz na zawsze. Umarli poeci – wieszczowie wołają o następców.

Po śmierci Lechonia na emigracji w kraju, na emigracji wewnętrznej, został niezłomny Herbert. Umarł opluwany, jako człowiek niespełna rozumu.

Po Herbercie, wieszczu Polski wyzwolonej z objęć dżumy XX wieku próbuje zająć jego miejsce Rymkiewicz. Rzykując epitety służalcy.

Nie pierwszy i nie ostatni. Jeśli cię chwala, to uważaj. To sygnał alarmowy.

Co tam poeta. Każdy uparty i wytrwały Poszukujący Prawdy niech się strzeże.

A ja, prostaczek, okazjonalny konsument co ładniejszych wierszyków?

Dzisiaj nie zagram w grę „10x - co ja lubię”. Dzisiaj sobie po prostu zrobię to co lubię. Lubię? Może to niedobre słowo.

Pomodłę się w ukryciu, czyli posłucham jeszcze jednego, nie więcej, bluesa Ślepego Willi'ego. Albo przeczytam jeden wiersz Lechonia. A może lepiej przypomnieć sobie piosenkę Kaczmarek o żalonym poecie Brunonie, który wprawdzie nie spalił Paryża, ani nie zamarzył w bezkresnym, ośnieżonym stepie, pod czujnym okiem kałamuckiego brata – konwojenta tylko zwyczajnie zginął po polsku – od kuli rosyjskiego brata - egzekutora.

.....

A co ja lubię naprawdę?

Lubię być szczęśliwa,

Pasjami

lubię być szczęśliwa,

nie wiem,

jak tam z wami bywa,

może macie inny gust ...

O kim?

Norwid, Słowacki, Rymkiewicz, Gombrowicz, Leśmian, Gałczyński, Leśmian, Długosz, Lechoń, Rimbaud, Blind Willi Johnson, Dylan, Baczyński, Szczepański

Ewa Danuta Stupkiewicz

Cztery żywioły.
W czterech porach roku ślad.
Ile w nas życia?

Zamykam oczy.
Pod powiekami tęcza –
łuk tryumfu dnia.

To tylko deszcz.
Dreszcz uniesienia ciepły
wiosny... Przyrody.

Trele. Woń kwiatów.
Park z dywanem krokusów.
Żółcie... Fiolety...

Sen z dzieciństwa...
Parasole z łopianu
mokrym cieniem drżą.

Błądzą myślami
nad przepaścią zła. Dobro
powraca snami.

Kroplami wody
uwolniłeś bieg myśli
na skrzydłach wiatru.

Pod powieką łza
dosięga horyzontu marzeń
i wciąż drży...

Wiosenne rytmy –
tęczowym parasolem
pochłaniają deszcz.

Także prezentowane już w *Najprościej*.

Własne, moje ja –
to znaleźć wyraz życia,
kęsy przetrwania.

Ślę pocałunki
na skrzydłach wiatru. Marzę...
Serce przystaną.

Pora na miłość.
Tulę myśli w ramionach...
marzeń wiosennych.

Splecione dłonie
łagodnością dotyku,
muśnięciem wiatru.

Spełniam marzenia.
Swoje sny... Znajdę siebie
w deszczu i słońcu.

Epea 11

Ciepłe dni wiosny
szczerą delikatnością
naszego Stwórcy.

Boję się letnich
pragnień... bo mogą zginąć
w twej prozie życia.

Drażnisz mój umysł?!
Słowa pajęczą siecią
zagubionych serc.

Błagam o czas na
szczęścia drobiny... Zbieram
kruche, rozdarte.

Grzechy rozpusty
tkwią w rachunku sumienia
nieubłaganie.

Serce dobywa
ciszy nocy tajemnej
po krawędzi dnia.

Wybacz, że ranię
cię, ale raną jestem...
Cicho konam... Drzę...

Konrad Śliwa

Libido bunkra

Galeria powstała jeszcze jedna. Ciekawe, co za diabeł wymyślił, żeby dom handlowy nazwać galerią? „Galeria” - wiadomo, dla ELYT. To coś więcej, coś ekstra, coś ponad - nie dla każdego, wokół arcydzieła, blichtr, szum jedwabnych sukien, postukiwanie laseczek dżentelmenów, radosna podniosłość wernisaży... Takie skojarzenia generują w umyśle odbiorcy tylko jeden sygnał: LEĆ CZYM PRĘDZEJ..., bo już możesz..., czynne do 22...

Patrzyłem jak toto budują: tysiące ton betonu wylewane od góry do dołu, żelbetowy koszmar, bez okien, bez powietrza, bez światła słonecznego. Ktoś mi ostatnio tłumaczył, że do sklepów trzeba dawać różne świetlówki - np. inne nad mięsem, inne nad serami itd. żeby żerca (pardon: „konsument”) cieszył się jak dziecko, że takie śliczne i apetyczne mięsko kupuje. Słońce, ta zdrowa lampa od Pana Boga, nie jest potrzebne w sklepach, bo pokazałoby więcej prawdy, kurzu, normalności - a prawda jest fe.

Lany żelbet, prawie bez otworów - słowem: bunkier.

Spotkałem niedawno rzadko-spotykanych-znajomych, oboje porządni, prawi, nie żadni tam nowomodni podskakiewiczze - czytają Rzepę, do kościoła chodzą - autentycznie fajni ludzie. Gawędziliśmy sobie o byle czym, kiedy Pani zwierzyła się, że to bardzo dobrze, że już otwarli tę galerię, bo wreszcie można chodzić na zakupy do porządných sklepów i ma nadzieję, że znikną w końcu te (w domyśle nędzne) sklepiki po mieście.

Nic nie odrzekłem, bo i co tu mówić, każdy zrobi, co zechce. Osobiście, porównałem ceny tego samego towaru w sklepie rtv/agd sieciowym w bunkrze oraz w takim samym sklepie parę ulic dalej - wyszło, że w bunkrze to samo w tym samym jest 30% drożej - i przeszła mi ochota na bunkrowe zakupy. Ale w tym oświadczeniu było coś więcej, była specyficzna ciągota, przedracjonalna, jakiś fetyszizm plemienny, jakies libido bunkra. Zrozumiałem, dlaczego wielu ludzi przechadzających się po bunkrze ma ten specyficzny wyraz twarzy,

jakby właśnie doznawali objawienia, mistycznej błogości, poczucia obdarowania, obcowania z Rajem.

Skąd to się bierze, że większy sklep lepszy od mniejszego? To chyba wyraz ludzkiej dzikości - bezrefleksyjnego „większe = lepsze” - większy dom, większe auto (lub „więcej szybkie”) budzą u dzikich ludów podziw i mlaskanie. Wobec tego, obcowanie z NAJWIĘKSZYM staje się swego rodzaju doznaniem szczytowym, mistyką obżarstwa, której niektórzy bronią z równym zapalem, co Bin Laden swojej wiary.

Babel współczesności. Powie ktoś, biedny katol z czerwonym karkiem, wszystko mu się nie podoba, co tylko wyrasta ponad jego własny prymitywizm. Może i tak, jakoś zdążyłem dorobić się uprzedzeń co do nowinkarstwa. Chodzi mi o to, że sklep jest dla mnie jedynie sklepem - nie „galerią”, nie świątynią.

Czasem nawet tam zachodzę, bo na przykład kino jest bardzo przyjazne dla maluchów, lody dobre - ale gdy widzę te „elity”, paniusie i paniusiów wymuskanych, z zadartymi czółkami - to zaczynam się czuć jak Marsjanin na obcej planecie.

Takie mamy elity, jakie galerie dla nich.

Kij z wiedzą i lęki

Szedłem po hipermarkecie, swobodnie, spokojnie. W koszu stały jakieś kije, jakby do mopa, ale napisane było „kije do hydroszczotki”. Zaszokowało mnie to odkrycie, nie mam pojęcia, co to jest hydroszczotka. Ni stąd ni zowąd w zupełnie pierwotny prawie zwierzęcy sposób PRZESTRASZYŁEM SIĘ. stanąłem wobec NIEZNANEGO, to było bardzo przykre.

Odszedłem jakby nigdy nic, niby coś tam dowcipkując w lekko wymuszony sposób, jak ateista mijający kościół, ale w duchu byłem przestraszony..., choć nie dawałem tego po sobie poznać: ha ha i takie tam, ale w środku ścisk. Nieznane przeraża.

Dawni prości ludzie traktowali cały świat, jak nieznane - przerażał ich, ale i wychowywał

prymitywna bojaźń wobec świata, przyrody przywodziła na myśl straszne siły, jakie stworzyły to wszystko i poruszały tym. To wcale nie było takie złe.

Ludzie nowoczesności zobaczyli w świecie mechanizm, co do którego wystarczy odkryć zasady działania, żeby zostać jego panem, a to znaczy więcej, niż stworzycielem - panem aktualnym, który może - no właśnie co? stworzyć od nowa? przecież nie mamy aż takich możliwości. Może dostosować do siebie, uczynić przyjaznym i przyjemnym? no tak, po części dało się tak. No i jeszcze jedno - całkiem sprawnie zniszczyć - wymyślić i wyprodukować w oparciu o ujarzmiane żywoły taką ilość bomb termojądrowych, że można zniszczyć życie na całej planecie

wyprodukować takie ilość trucizn, że zatruto wodę, powietrze, glebę, żywność, wszystko.

Ludzie nowocześni nie znają lęku, ba, nazywają go patologią, uczą jeden drugiego, jak się z niego leczyć, zrzucać ograniczenia, iść przebojem - mamy przecież WIEDZĘ, a kto ma wiedzę, ten ma władzę!!! może przewidzieć PRZYSZŁOŚĆ, zapanować na jutrem - gdyż zna mechanizmy, jakie to jutro kształtują!!!

...to ja już wolę się odruchowo bać hydroszczotki.

Ot taka hydrozagadka. Do dziś nie wiem, co to jest ta hydroszczotka.

Dlaczego Polakami będą rządzić Niemcy

Byłem dziś u pewnego ważnego urzędnika z dość poważną sprawą. Człowiek ten zasiadając pod Białym Orłem najpierw umiejętnie błądził wokół tematu, rozpraszał uwagę, próbował się pozbyć problemu. Potem, zamiast dążyć do załatwienia sprawy, aluzyjnie zaczął słać pogrożki. Zwróciłem mu dość gwałtownie uwagę, że w innym kraju takie rzeczy załatwia się, kiedy trzeba i nie rozumiem, dlaczego w tym kraju słyszę, że się nie da. Od razu dodam, że nie chodziło mu o łapówkę, sprawa ma wymiar raczej społeczny, niż gospodarczy. Z relacji choćby mediów słyszymy, jak skuteczne potrafią być zagraiczne służby tego samego rodzaju w podobnych sprawach.

Odprysk tej sprawy leży sobie w sądzie. Leży. Któryś miesiąc leży. I nic. Pani sędzia bardzo grzecznie i z pełną pokorą zapytana o drobne szczegóły natury proceduralnej, raczyła jedynie dopilnować powagi sądu (ośmieszając tę instytucję na całej linii) - poprzez okazanie zirytowania i cierpkie uwagi.

Z sędziami i urzędami mam do czynienia nie od wczoraj, spotykam różnych, ale tendencję widzę tragiczną. Tumiwisizm i zasada RWD cały czas narasta (RWD - ratuj własną ...dumę). Znam trochę porządnych ludzi w urzędach - i widzę straszną tendencję - im wyżej, tym gorzej. Najwięcej dobrego można jeszcze znaleźć wśród szeregowych urzędników.

„Polska gospodarka” jak mawiają Niemcy w pełnej krasie trwa i narasta.

W sumie nic nowego. Pierwszy król elekcyjny to był jakiś naprędce wystrugany Francuzik, który szybko stąd uciekł. Potem już samo poszło - Węgier, Szwedzi, Niemcy.

Trudno się dziwić, skoro Polacy nie chcą sami u siebie zarządzać, sąsiedzi nam chętnie pomogą. Wsadzą Sasa siłą, potem rozparcelują kraj. Skoro Polacy nie potrafią i nie chcą u siebie dopilnować prawa i porządku - znajdą się chętni. A potem będziemy bohatercko umierać.

W perspektywie federalizacji Unii Europejskiej i wypowiedzi naszych polityków ślących hołdy naszym zachodnim sąsiadom, ten kierunek wydaje się wręcz nieuchronny.

Żeby dobrze rządzić trzeba mieć mocne i konsekwentne władze - skuteczne, sprawiedliwe, pewne. Żeby być poważnie traktowanym jako naród, najpierw sami musimy traktować siebie poważnie.

Bo jak na razie, to widzę bardzo duży polish joke. Straszne to, ale jak sobie pościelemy, tak się wyśpimy.

I Komunia ceremonią przejścia

Mamy I Komunię u starszego z moich młodych panów, więc taką sobie ucieliśmy pogadankę umoralniającą:

I Komunia to jest znak dla dziecka (*będziemy mówić o chłopcach, bo ja mam synków*), że dorósł już do tego, aby wejść w świat ludzi dorosłych. To nie chodzi o to, że dziecko dostanie do buzi opłatek, ale o to właśnie, że już jest do tego zdolny.

W dawnych pierwotnych kulturach także praktykowano święto dla młodego chłopca, który dorósł do tego, żeby przestać go traktować jak małego dzidziusia trzymającego się matki i będącego pod matką opieką. Chłopiec, choćby u Słowian, w takim mniej więcej wieku, kiedy miał już rozeznanie w tym, co robi - przechodził pod opiekę ojca. Odbywało się specjalne święto - postrzyżyny, wraz z ceremonią obcięcia włosów, żeby tę chwilę podkreślić i właściwie przeżyć. Chłopiec otrzymywał nowe obowiązki, był przygotowywany od tego momentu do dorosłego życia. Uczył się przy ojcu polować, wojaczki, czy fachu. Zaczynał wiek młodzieńczy. To jest ważne wydarzenie w życiu - z dzieciaka zacząć stawać się być mężczyzną.

Związane jest to z odpowiedzialnością. Taki młodzieniec zaczyna odpowiadać sam za siebie, za swoje obowiązki. Sam się musi pilnować. Dlatego zaczyna się w tym wieku także sam spowiadać.

W naszym życiu religijnym, taki młodzieniec zaczyna uczestniczyć w życiu Kościoła w dużej mierze na równi z dorosłymi - bierze pełny udział w Mszy Św. razem z przyjęciem Ciała Bożego. To ważna chwila, podkreślona szczególnym rytuałem. I ważna ceremonia - początek wieku młodzieńczego i pożegnanie z byciem maluchem. To także trudny moment dla dziecka, traci dotychczasową bez troskę, wspólnota rodziny stara mu się to osłodzić, celebrując te chwile, będąc z nim w tym przełomowym momencie. W takim świetle, to nawet te nieszczęsne prezenty i rozpieszczania nabierają duchowego sensu i stają się elementem wielkiego dramatu ludzkiej egzystencji.

My dzicy, czy my ludowi

Bum, bum, bum,bum - jednostajny transowy rytm bębnow.

Tańczą do niego porozbierani ludzie z poprzekłuwanymi nosami, wargami, tatuowanymi ciałami.

Mają nieobecne dzikie oczy, zażywają grzybki, ziela - żeby niczego nie czuć, żeby zapaść się w niebyt.

Mają swoje domostwa, a w nich swoje sprzęty. Im większe, bardziej kolorowe i błyszczące - tym lepsze. Budzą wtedy podziw i młaskanie. Lubią być podziwiani.

Ruja i poróbstwo wyziera zewsząd. Gołe kobiety kuszą chucią z każdego kąta. Nie chcą do nikogo należeć, mogą parzyć się z kim chcą. Tak samo mężczyźni.

Słów używa się mało, lepsze obrazki - obrazki są wszędzie. Tak jest szybciej i prościej. Słowa męczą głowę, łamią język.

Przeraża ich życie, czują na sobie fatum. Gorączkowo szukają tego fatum w gwiazdozbiorach, u wróżów i czarowników. Szukają metod, żeby kontrolować fatum - magicznych zaklęć, talizmanów, tajemnych formuł i przesądów.

Wychodzą ze swoich siedzib i rozmawiają. Jeden tłumaczy drugiemu, że coś/ ktoś na nich czyha - mają zwiady potworów i strasznych zagrożeń. Boją, krzyczą. W modzie jest wzajemne straszenie się, a kto lepiej nastraszy, ten lepszy.

Wiodą życie łowiecko - zbierackie. Najchętniej braliby wszystko za darmo, całkiem chętnie coś podkradają. Lubią jednak też polować na różne okazje - instynkt łowcy i łowieckie ambicje odzywają się w nich, gdy szukają czegoś ciekawego dla siebie lub do swoich siedzib.

Taki pomału staje się coraz bardziej nasz współczesny świat Zachodu? Dlaczego wracamy do dziczy? Jaki mamy wybór, alternatywę dla dziczy? Odpowiedź daj nam blogger „Chcący”, w swoich tekstach,

w których namawia do przywrócenia do naszego codziennego życia tych elementów kultury ludowej, zachowań, symboli, rytuałów, ceremonii, które pomagały prostym ale szczerym ludziom obcować w swoim życiu z kosmicznym porządkiem i harmonią.

To, co sympatyczny „Chcący” nazywa kulturą ludową, dla mnie jest przykładem czegoś szerszego, co tak prywatnie nazywam kulturą pierwotną, którą bardzo cenię.

Gdzieś czytałem takie złośliwe powiedzenie: wiara była szczerą w Europie, dopóki nie istniała teologia. To oczywiście przesada, ale jest w tym jakiś promyk prawdy, jak śpiewają Golce: „po co żeś mnie Mamuś do szkół posyłała, ino mi nauka w głowie pomieszała, ani jo jest głupi, anie wyuczony, zabrali mi duszę, dali mi dyplomy“.

Kultury pierwotne nie znały filozofii, teologii, abstrakcji. Nie znał jej też zdaje się Stary Testament. W kulturze pierwotnej wszystko zdaje się konkretne, bliskie. Oczywiście mówię o kulturze pierwotnej oczyszczonej z zabobonnych lęków, pogańskich fantazji. Taki człowiek opierał swoje postępowanie na PRAWIE MORALNYM, które przeczuwał w sercu. Jeśli był dobry, to na tej pierwotnej dobroci i empatii oraz przeczuciu, że istnieje ktoś ponad tym światem, kto nad ludźmi czuwa i kiedyś nas z życia rozliczy. Trzeba do tego pierwotnego człowieka w nas wracać.

Zewsząd widzimy, jakie spustoszenie sprowadziło na nas nowoczesne myślicielstwo, jak wynaturzyło ludzi. Jak wielu jest przeuczonych pyszałków, którzy dawno zatracili kontakt ze swoją pierwotną naturą i zamiast ją oczyszczać ze splamienia grzechem, jeszcze bardziej zarzucają ją bagnetem nibyuzasadnień nibyintelektualnych.

Czy to znaczy, że należy pogardzać wiedzą, wykształceniem, erudycją? Nigdy w życiu, chrześcijanie dość szybko spostrzegli, że nie uciekną od wszechstronnego wykształcenia także w filozofii pogańskiej. Przejęli ją i zaadaptowali. To dało nam cywilizację chrześcijańską, która została eksportowana na cały świat. Szkoda, że bez chrześcijańskiej wiary, choć tak by wypadało.

Niemniej jednak, wszystko, co stworzone jest skończone - a to, co skończone znajduje swoje doskonałe wypełnienie dopiero wtedy, gdy odnajduje właściwą sobie miarę i umiar. To znaczy dochodzi do punktu, w którym powinno samo sobie zaprzeczyć. W tym temacie oznacza to dla mnie, że człowiek musi zrzucić balast cywilizacji, przynajmniej na chwilę. Musi poczuć się z powrotem prostym, związanym z naturą materialną, jak i odnajdywać swoje odniesienie to tego wielkiego Bytu ponad nim. Bo nosi to w sobie, tę zdolność i tę potrzebę.

Św. Tomasz z Akwinu pod koniec życia ponoć zamilkł, przestał pisać. Bóg dał mu doświadczenie mistyczne, które skierowało jego wzrok poza sprawy uczoności, poza język, teologię - wprost do Boga.

Trzeba takie powroty do swojej pierwotnej natury wykonywać świadomie i w sposób wolitywnie kontrolowany i refleksyjny, inaczej mogą one wymknąć się spod kontroli. Tak właśnie dzieje się we współczesnej kulturze i życiu społecznym. Bez zrozumienia, jaka jest ta pierwotność, naturalność człowieka, ludzie jednak jej desperacko poszukują, ale nie potrafią jej rozpoznać, ulegają modom i zbiorowym ułudom popkultury, które prowadzą ich do dziczy, jaką opisuję na wstępie.

Postulat powrotu do tej ludzkiej pierwotności, który u nas wyrażał się w pozytywnych aspektach kultury ludowej jest więc zbawieniem wobec perspektywy dziczy. Tak to widzę.

A co do jego realizacji, to z pewnością naszym przewodnikiem jest Norwid:

*I stąd największym prosty lud poetą,
Co nuci z dłońmi ziemią brązowemi,
A wieszcz periodem pieśni i profetą,
Odlatującym z pieśniami od ziemi.
I stąd największym prosty lud muzykiem,
Lecz muzyk jego płomiennym językiem.*

Ptak

Byliśmy poza domem. Pewna Osoba przestrasznie mnie zdenerwowała. No tak mnie wkurzyła, jak tylko można być wkurzonym. Dostałem napadowego doła głębokości Rowu Mariańskiego.

Niewiele myśląc ruszyłem energicznym krokiem przez sad, byle tylko być dalej. Szedłem tak dość chwilę, sad kończył się. Nagle pod drzewem zobaczyłem ptaka. Pojęcia nie mam, co to był za gatunek - szary, większy od wróbla ze dwa razy, smukły. Był przede mną trochę z boku. Stał, nie ruszał się. Ale jak stał! Z dziobem zadartym do góry! Widział kto takiego ptaka?

Podszedłem blisko, tak na półtora metra. Ptak nic. Ani drgnął. Dziób w górze.

No fajnie - pomyślałem sobie - wyglądasz teraz ptaku tak jak ja w tej chwili z tym zadartym dziobem. Walę butami z tą swoją wielką krzywdą, pewnie z boku wyglądam całkiem podobnie. Usiadłem koło niego. Ptak nic - dziób w górze.

Myślałem dalej, z nieco już mniejszym ciśnieniem: tak samo dokładnie wyglądała ta Osoba. Zadarła dzioba i nie oglądając się na mnie zaczęła się tak głupio zachowywać. Napięcie powoli opadało. Ptak nic.

Jakąś chwilę tak ze sobą byliśmy. Ptak ani drgnął.

Usłyszałem kroki. Szła Osoba, szukała mnie: Hej, gdzie jesteś? - zapytała z kilkunastu metrów. Zaczęła dochodzić, ptak ruszył głową i popatrzył w jej stronę. Jeszcze parę kroków. Ptak poderwał się do lotu i uciekł.

Osoba doszła - „No, co tu robisz?”

„Gadałem z ptakiem - odpowiedziałem - uciekł, jak Cię zobaczył. Wcale mu się nie dziwię.”

Osoba „nie dosłyszała“. Wróciliśmy do reszty.

Wolność - przereklamowany towar

Przeczytałem gdzieś, że chrześcijaństwo ma być współcześnie religią wolności.

Nie wdaję się analizę, o co właściwie chodziło autorowi - zadziwił mnie sam nacisk na wolność jako taką i definiowanie przez nie chrześcijaństwa. Dziwne.

Chrystus wielokrotnie mówi o wolności - wolności od zniewoleń. Człowiek upodlony przywiązaniem do grzechu staje się jego **niewolnikiem** - nie decyduje o sobie, staje się zdeterminowany. Człowiek pozbawiony takich zniewoleń jest z kolei jakby **obywatelem wolnym, zdolnym do pracy na własny rachunek, spełniania swoich obowiązków i powinności**.

Przecież w wolności nie chodzi o zdziczenie, anarchię, jak to się dzisiaj dziwnie powiązało niektórym. Ludzie dostali kręcka na punkcie wolności, chociaż mało kto dziś rozumie właściwie to pojęcie. Ci, którzy najwięcej krzyczą o wolności, zwykle okazują się najbardziej zniewolonymi faktycznie w swoich upodleniach, uzależnieniach - co to za podwójny paradoks - mówić prawdę o sobie wołając o wolność, nie rozumiejąc siebie samego. Tylko szatan potrafi wymyślić coś tak perfidnego i przyuczyć do tego ludzi, tego żaden człowiek nie wymyśli.

Na koniec można zapytać, czy człowiek rozumiejący wolność w taki nowoczesny sposób, jako nieograniczoną sferę możliwości - może w ogóle kochać i być nadal w ten sposób wolnym?

Z pewnością nie - bo miłość to dobra niewola, z własnego wyboru. To zobowiązanie i szczęście zarazem.

Nie chcę takiej wolności, wolę niewolę.

Zapomniane słowa, o potrzebie banału

„Chcesz zmienić świat - zmień język“ - każda kultura, subkultura, religia i sekta zaczyna się od języka. Dzisiejszy świat („świat“ w rozumieniu ewangelicznym) wytworzył swój żargon, przekazujący system wartości. W tym języku pojęciami centralnymi są: „ja“ „wolność“ (rozumiana jako anarchia), „uroda“, „pragnienia“, „rozkosz“ itd. Żeby nie dać się zwariować współczesnemu wydaniu światowego upadku, konieczne jest przywrócenie prawidłowego języka, poczynając od pojęć, jakimi posługujemy się we własnych wewnętrznych rozważaniach.

Rozpadają się rodziny, dezintegrują się wspólnoty, wszyscy są skłóceni, nienawiść, wściekłość, każdy przeciw każdemu, bo „ja“ stało się Alfą i Omegą i absolutną wartością ostateczną. Agresja w obronie „ja“ rodzi wyobcowanie, a dalej samotność. Cierpienie w ten sposób jedynie pogłębia się. Ciężko to wytrzymać, więc zalewa się to i inne cierpienia moralne potokiem rozkoszy zmysłowych, takich, do jakich dana natura ma akurat najbliżej. Zalewanie gryzących wyrzutów sumienia rozkoszami jest niemożliwe bez uznania anarchii (tzw. wolności) - tzn. popierania bezkarności dla łamania odwiecznych zasad. Anarchia rodzi jeszcze większy egoizm i spirala duchowej śmierci dalej się kręci.

A przecież można inaczej.

Żyjąc w bojażni przed Panem, można poszukiwać cnoty, jako podstawy bytu. Drogą do niej jest mądrość, w rozumieniu Księgi Mądrości, która początek bierze z pokory. Pokora uznaje własną marność i płacze nad nią poszukując pomocy w Bogu i drugim człowieku. Poświęcając na ołtarzu pokory własne „ego», kiedy to potrzebne, odzyskujemy duszę. Przywracamy porządek i ład we własnym wnętrzu, co promieniuje na rodzinę i otoczenie. Sumienie odzyskuje pogodę i ewangeliczną radość. Coraz łatwiej wybacza się zadawane przez innych ludzi cierpienie (co jest nieuniknione w tym życiu). Nabiera się sił duchowych, psychicznych i fizycznych. Ukrzyżowawszy wła-

sne „ego“ odzyskujemy władzę nad własnym życiem, tzn. zdolność czynienia rzeczy dobrych, która zatraca się w grzechu. Ta zdolność to prawdziwa wolność, ofiarowana człowiekowi przez Boga - największy dar na to nasze krótkie życie. Czyniąc dobrze, mamy czym się dzielić z innymi, powstaje coraz lepsze MY. „My“ to chyba najbardziej zapomniane słowo, a wraz z nim „cnota“, „mądrość“, „pokora“, „poświęcenie“, „ofiara“, „sumienie“.

Oglądałem kiedyś dla rozrywki, jak jacyś sympatyczni ludzie odtwarżają tańce Indian. Przy okazji opowiadano, że jeden taniec to prośba bóstw o uzdrowienie, a inny bardzo dostojny wyraża przyjaźń między członkami plemienia, między tańczącymi.

Przyjaźń - pomyślałem wiedziony światową nauką - toż to banał, zacofanie, banałów potrzeba się wstydzić...

W naszym czasie - wiedzione światową nauką - poupadały międzyludzkie wspólnoty i żeby uzyskać choć ich namiastkę ludzie tłuką esemesy, ślęczą na czatach i forach...

Banał, komunał, frazes - to zwykle dobro widziane oczami diabła, niby nudne, oklepane, niepotrzebne. Hańba nam wszystkim, jeśli tak pomyślimy.

Dużo mnie to nauczyło, dobro należy przeżywać świadomie, nazywać po imieniu i celebrować je, rozkoszować się nim, czynić wokół niego obrządki, śpiewy i tańce.

Regina Świtoń

Spacerkiem po Mielniku
w palecie wzgórz ruiny kwitną
zapachem dziejów
z załomu murów porywa wzrok
nieuchwytny refren dali

dumką wiatru gnane
żagle obłoków jak alabastry
z kredowych głębin
pilotują dziki nurt Bugu

pod bezmiernością błękitów
jesień gród mielnicki maluje tęczę

.....
w uliczce zasłoniętej ciszą
przystaję
garść piękna z marzeniem unoszę

tu powrócić...

* * *

puszczańska symfonia
jak ręce uzdrowiciela
bezdroże duszy
lekkością zakwita

trzeba tu być
dotknąć muzyki wiatru
puszczańskiemu królowi
wyjść na spotkanie

a wieczorem
pod plafonem ciszy
posłuchać
jak na różańcu gwiazd
modli się
białowieckie niebo

* * *

szpacze oratorium
przecina horyzont ciszy

słoneczniki jak złote tarcze
rzucone na zagony
dojrzałą pierś rozpalają
pyłem słońca

w gasnąca tęczę zanurzona
łowię szelest

lato odchodzi

pajęczce harfy
dźwięczą pożegnaniem

tak mi żal...

Podlasie

tutaj inaczej pachną lipy
błękitnieją lnu grzędy
wieś powodzią ogrodów
zakwita

pośród złotych pól
hejnał gromadny świerszczy
dzwon i dosytem

Epea 11

mak uśmiecha się miłością
w kłosach żyta

nad strumykiem
w zawiei niezapominajek
wierzba błogosławieństwem
ziemi pochylona

nocą z gniazd wyfruwają
gwiazdy by na drogach
rozstajnych okryć
chłodne krzyży ramiona

Pamięci Wiktora Wołkowa

* * *

bociany wracają
na bagiennym szlaku
łoś wita wiosnę
a Ty obiektywem duszy
ogarniasz rajskie rozlewiska?

o świecie o zmierzchu
w biebrzańskie zwierciadła
wtopiony
nikt jak Ty nie zapisał
piękna tej ziemi

w symfonii wiatru
odcieniu dźwięków barw
kapryśnej Biebrzy
mgielnym zapachu stogów
odnajdą
Twoje imię

Kalina Izabela Ziola

MAGIA

to nie magia
to tylko
zapatrzanie przez chwilę
tylko nagłe olśnienie
od którego czasem giną
motyle

to nie magia
to tylko
gest może nazbyt śmiały
słów rozdarta koronka

i dwa cienie w mroku
splątane

POKUTA

za wszystkie grzechy
te najcięższe
i te nie popełnione
w myśli mowie i uczynku
karzesz mnie milczeniem

żyjąca we mnie
odwieczna Ewa
śmieje się gryząc jabłko

a ja muszę się pogodzić
z twoim nieistnieniem

JAK TAM JEST

jak tam jest
za zbyt długim milczeniem
za głuchym telefonem
za nie wysłanym listem
za różą której nie ma
na stole

jak tam jest
za odległym spotkaniem
rąk zetknięciem
uśmiechem

i za wstrzymanym nagle
oddechem

SZALIK

zostały mi w dłoniach
resztki dawnego oczarowania

na zziębniętych palcach
przysiadł
twój szyderczy śmiech

nie pamiętam słów
które mówiłeś
nie przeczytam listów
których nie wysłałeś

jak przechodnia
spotkałam ciebie kiedyś
w tamtym roku
w tamtej wiosnie
a może jesieni

utkałam ciepły szalik
ze swej czułości
i pocałunków
lecz ty nie nosisz
szalików
i nie lubisz czułości

może trochę szkoda

WALIZKA

przychodzisz z walizką
pełną kłamstw
i uśmiechów

zmęczony otwierasz
drzwi niepokoju
albo pokoju
z widokiem

zostaw walizkę
na schodach
może ktoś przyjdzie
i ją zabierze

już nie będziesz musiał
fałszywie się uśmiechać

a drobne kłamstwa
zawsze znajdziesz
w kieszeni

Sabina Alicja Kowalewska

Zatrzymać ...

Za szybą śnieg, otulone drzemią drzewa,
srebrem, złotem mienią się śnieżynki...
Cisza pod błękitnym niebem,
cisza... aż za cicha...

Okazałe domy w uliczce
nie rozmawiają z sobą,
wewnątrz dawno nie ścierane kurze -
nie ma komu.

Piętrowe domy milczą,
ucieka z nich życie.
Starsi niedołączają,
młodzi zagląдают od święta.

*Syn w Holandii,
zięć Francję „reperuje”
córka w Kanadzie
wnukowie w Niemczech, na Wyspach
zjadają tam obcy chleb uśmiechając się do każdego banknotu...*

A tu...
Domy puste stoją,
drzewa w sadzie kołysze wiatr
jakby chciał zawrócić życie
które z Podlasia goni gdzieś w świat.

Czym jesteś?

Idąc przez życie, szukamy szczęścia
każdy z nas go pragnie,
a ono takie przekorne
ulotne, niestałe...
W sumie nie wiemy,
czy można mieć je na własność?
Dziś jest, jutro go nie ma;
czasem – ot, tak, od niechcenia
muśnie nasze serce, myśli,
czasem się ziści
czasem uleci
by nie powrócić.
Właśnie – szczęście – czym ty jesteś?
Jak cię określić?
Jak zatrzymać w garści?
Każdego dnia, każdej chwili
możesz być inne -
wielkie, malutkie
oczekiwane, niespodziewane.
Możesz być chwilą
spełnionym marzeniem
dziecięcym pocałunkiem
pachnącym chlebem
promieniem słońca w mrocznym mieszkaniu
dźwiękiem dzwonka u drzwi po długim czekaniu
obecnością drogiej osoby w osamotnieniu, rozłące, chorobie...
Wtedy zdaje ci się, że szczęście jest przy tobie.
Możesz być także uczuciem dobrego spełnienia
wyciągnięciem ręki, pomocy bliźniemu, pocieszenia.
Możesz być wszystkim, jeżeli cię znajdziemy -
i jeśli w trudzie, codzienności
innym cię niesiemy.

Osse, 9.03.2010

Ida Matysek

Duma. Głupota. Przeszłość.
Nie mają znaczenia, gdy wybucha supernowa.
Uśmiechnij się.
Powiedz „Kocham Cię” do samego siebie.
Uśmiechnij się.
I kopnij przeznaczenie w czoło.
Weź głęboki wydech i roztrzaskaj swój umysł
na wszystkich częściach twojego wszechświata.
Zostaniesz w zmarszce przy ustach ukochanej.

ZAPOMNIENIE

Był jasny wieczór.
Ciemne gwiazdy zamykały się w sobie na wszechświat.
Tęczowym wspomnieniem
uśmiechały się do opuszczonych planet
Żaden Jowisz. Żaden Mars
nie zwrócił uwagi na taniec satelitów

KONIEC ANALITYCZNEGO UMYŚŁU

Transcendencja dostrojenia
transformacja metafory w cud
misja siedmiu zbliżeń (przemian?)
na metafizycznym poziomie świadomości

Roztrzaskany obraz rzeczywistości umysłu (zmysłów?)
roztapiany obiektywną perspektywą
płynący poza empiryczne horyzonty życia
ograniczony wszechogarniającym cudem

Eksplozja nicości dająca strach
ekstrahująca miłość z nienawiści
odbicie ewolucji w zwierciadle
rytm ciała okrywający ducha

W agonii myśli umysł wrzeszczy.
Ostatnie hologramy przestają istnieć.
Jest tylko teraz. Tu.

Wojciech Załęski

URWAŁKI

Bądźmy dla siebie łaskawi... bo o nasz sen
dba miłosierna, libertyńska gilotyna.
Szczęściem cierpimy...na bezsenność.

W końcu udało się zliberbaryzować świat
To jakby portki włożyć na lewą stronę.
I co? Kanty trzeba prasować od środka.

A gdy się znajdują w ciasnej klatce,
każdy tyle pojmuję ile widzi.
I jak tu lelujać świat odbity w choinkowej bombce?

Cień kroczy pod wiatr, nie pod słońce
Podążam za nim ku zachodowi.
Może pójść przed nim... ale co to da?

Tykałeś, nie pytałeś,
tworzyłeś nie proszone dni.
Za karę ułożyłem cię na torach.
Ale w sprasowanych trybach
wciąż bije wredne serce... czasu

Chrupnęła muszelka pod wiosennym butem.
Jeżem bólu objawiła istnienie nieskończoność.
Wytarłem starannie but o zmartwychwstałą trawę.

Tu już nie wsiąknie kropla krwi
w płomień zbiorowej samotności.
Wysuszą ją nim dotknie ziemi.
Cóż, że pękł dzwon... gdy był i tak był bez serca

Epea 11

Latem ścięli jabłoń pełną zielonych jabłek.
Zbudowali dom pachnący niespełnionym.
Jesienią też nikt w nim nie zamieszkał.

Dopełnia się los. Niknące słońce przenika rzeczy i zdarzenia.
Taka mała polana, parę chałup zawianych śniegiem od świata,
a ile tu radości i zmartwienia

Los przywraca jak wiosną, by jesienią
beztroskim lekkoduchom przypominać:
-Ja jestem! Pamiętaj!

Jeśli nie dane ci szczęśliwą być, bądź mądrą
moja ukochana i w koleinie codzienności spraw
tocz serce swoje do zarania.
Wiosny nadzieją rodząc się z mych pleców
strząśnij zesłe liście i bądź cierpliwą miła ma
i wybac mi wspaniałomyślnie.

*

Gdzieś leżą piękniejsze kamienie
i wspanialsze śpiewają ptaki.
Gdzieś są też inne szczęścia.
Ale prawdziwe jest tylko tu
Jest w aromacie skoszonych
po ulewie traw... i tylko tu.

*

Zło jest łatwe, dogadza,
ofiaruje wieczną młodość.
Słyszysz jak ci schlebia?
Ma zawsze dobry gust...
twój gust.

Kamienie obarczają pamięcią...
by swoją wypełnić byle czym?
Tak uczłowiecza się przemijanie.

Dziś czas przeszły obdarza się,
co najwyżej, ciekawością.
Dobrze zachować trochę uczucia...
dla przeżytego.

Nazwany słowem przenika do krwi...
do rytmu spokojnego serca.
Aż staje się częścią duszy.
Obejrzałem się na przebytą drogę...
i cóż niosę w rękach?...
mglisty, jesienny pejzaż.

Popatrz jaka wielka jest Rosja
Popatrz jaka bogata i kolorowa...
i smutna – przerywa Dybuk – kiedy car kurdupel.

W kałuży, u mych stóp,
motyl walczył o życie.
Odszedłem myśląc:
- masz swoje przeznaczenie.
Jego dusza, ulatując ku niebu
szepnęła mi do ucha:
- Dupek! Ty byłeś moją opatrznością.

Prawda... psia miłość można kupić,
ale to całkiem inna miłość.

Nie myl wierności z biernością,
choć brzmia podobnie...
tak jak dogadzanie i podlizywanie się...
dla świętego spokoju.

To mało mieć dobre serce...
trzeba mu pozwolić bić.

Nadzieja spływa schnącą kroplą.
Żłobi ślad mojego czasu

Epea 11

na popisaną obcym diamentem szybie...
mojej duszy.

Jak pojąć, że już koniec
początkiem bywa końca,
że więcej niż wśród stu,
dobrych być może wśród tysiąca.

Drogi są dwie... od i do Boga.
Zło jest tylko skutkiem wyboru.

Fakt się stał nawet jeśli o tym nie wiesz,
ani też nie pamiętasz.

Ateizm nie jest wiedzą,
jest wiarą... jest wiarą w brak wiary.

Gombrowicz uwalniał świat
od zakłamania i konwenansów...
a Bóg uwolnił świat od Gąbrowicza.

-Panie Boże, co jest godne podziwu
we współczesnym twórcy?
- Wiara... głęboka wiara w siebie.

Im mówisz szybciej,
tym mniej masz do powiedzenia...
i wcale nie mówisz krócej.

Obdarzając mnie wolną wolą
na swój obraz i podobieństwo...
pewnie zamknąłeś na chwilkę oczy... Panie.

Nie domagaj się miłości...
Niech ci wystarczy szacunek.
I nie bądź nachalny.

Wieczność jest chłodem diamentu
Po co ci w piersiach ptasi puch...
nietrwały.

Dzisiaj ugryzł mnie czas.
Wystawił z lustra zęby i ukąsił.
Nie boleśnie, ale złośliwie.
- Paszoł won!

- Dlaczego ja Panie?
- Boś głupi.

Życie zeszło mi na pytaniu o drogę,
aż rozpoznałem czas stracony...
To czas bez Ciebie.
Wtedy Ty powiedziałaś - Nieś ile udźwigniesz.

Urodziłeś się człowiekiem wolnym,
co ci dostarcza wiedzy bez granic,
która odbierając wolność doświadczają
prawdy, a prawdy w tobie tyle
ile wiary w nią i potrzeby wolności.

1-go Maja każdy miał okazję
zobaczyć świat z pozycji konia...
maszerując środkiem jezdni.

Nauczani do zmiany poglądów
na pustyni oceanu usiłujemy dojść Europę
jak bezgrzeszny złodziej z cierniem uśmiechu,
zadziorem miłosierdzia, przez szczyt dolin
w logice absurdu wychodząc... z Polski.

Obaj patrzą na wiatraki
Don Kiszot widzi leniwe olbrzymy,
A Sanczo Pansa pieczone przepiórki.

Epea 11

Cóż z tego, że pękł dzwon
gdy był i tak bez serca?

Rozpierała go duma na widok
własnych rąk uprawiających ziemię,
dotykających tajemnicy bytu,
z roku na rok stających się naturą.
Aż przeszli barbarzyńcy pędzący
gdzieś w świecie ekologiczny żywot...
i postawili but na jego dłoni.

Choć było fałszywe i nierealne, było wielkie.
I nie miało czasu się śpieszyć...bo było wielkie,
Musiało spać szybko. Nawet kochało ze strachu...
przed samotnością.

Z wyrzeczeń do roszczeń krok
do narodowej stugęby.
Oczami wyobraźni wskrzesił Polskę
i tak się wzruszył, że nie widział
gdy wyłupiono mu oczy.
Teraz szorstkim językiem
rozciera na chropowatym podniebieniu...
człowieczeństwo.

Wciąż inne żurawie lecą na wschód,
choć nam się zdaje, że my, to wciąż my...
Żurawie wiedzą... wiedzą i wołają do nas.
Wysłuchaj się w ich klangor.

Patriotyzm rodzi się z mądrej miłości.
Nacjonalizm z głupoty i nienawiści.

Od pracy żmudnej lepsza jest praca efektywna

Jeśli twoim krajem rządzi dureń,
to to i tak wciąż twój kraj.

Podlasie pograniczem religii, kultur, chudych,
mądrych, głupich, wysokich, niskich,
grubych, domorosłych i... i co z tego? Nic.

Drzewo poznasz po owocach,
drewno po płomieniu.

Jeśli zbędziesz się ziemi
gdzie twój wnuk odkopie karabin.

Ścinając dąb pomyśl – na czym siądzie twój orzeł?

Powtórnie zasiani wejdą
gdy my się staniemy ziarnem.

Wypinając pierś stoisz z wypiętą dupą.
Wygodniej stać z podniesioną głową.

Czyżby koniec drugiego tysiąclecia był końcem
intelektualnej wydolności człowieka?

Wydmuszka – człowiek wyrzucony z partii
Osobiście mam w d...e
czy świat się kurczy, czy rozszerza.

Bohater zaczyna się tam
gdzie kończy się rozsądek...
a zaczyna serce.
Nazywają to czasem brawurą.

Demokracja kończy się dyktatem,
dyktatura zbrodnią, a zbrodnia
marzeniem o demokracji.

Jan Leńczuk

opisując umieranie poety
dostrzegasz porzuconą kartkę
niezapisaną i głuchą
na ostatnie słowa

jej faktura
pokrywa się szarością
niepotrzebnym gestem
udającym milczenie

bo czymże jest poetycka mowa?

rozmową serca
czy duszy

dusza odeszła bez pożegnania

zabrakło patosu sceny
dla zastygłego ciała
w którym nie ma już ciepła
a ramię życzliwie nie przygarnie samotności

to wszystko jest obce poezji

szarość kartki kładzie się cieniem
dotykając zastygłego ciała i duszy
oczekującej na powtórne narodziny

niezrozumienie i krótkotrwałe milczenie
wywoływało popłoch
popiół rozsypywał proroctwa
nie plamiąc kartek papieru

jakby nic nie znaczyły
a to tylko słońce
opadające ku ziemi
odwiecznym zmierzchaniem
wprowadzało popłoch
zapisując ostatnie wersy
niepokonane

Epea 11

zapisłaś zadziwienie w gęstwinie lasu
oczekującego słów dobytých z jego matecznika
milczenie przysiało na gałęziach mijanych drzew
nie znając miejsca skąd odpłynęły sny dziewczęce
a trawy przygarnęły łąpczywie brzegi sadzawek
zapisanych na makatkach ostrymi barwami
i niewprawną ręką

zapisłaś to wszystko
znając tajemnicę śmiertelnego przebaczenia
drzewom i lasom
i nade wszystko
własnym pragnieniom

nie umiem zapomnieć
czułego dotyku
zapachu traw
i w banał strąconego księżycy
który trwał uparcie na swoim posterunku

a przecież pachniało omdlenie traw
i wzruszenie wieczornej rosy
i ziewanie stawu
było tak bliskie
że tylko zacisnąć w pożądlivej dłoni
ten obraz
jak ostatni kęs życia
czułość dotknęła też kota
łasi się jakby chciał dopowiedzieć
językiem swojej wrażliwości
ostatnie doznania
które uszły mojej uwadze

czułość
przysiadła na ganku
w jaśminowym zapachu
w wiosennym zauroczeniu
które powraca jedynie w snach

aby potem
wędrować miedzami nieplewionymi
ku łąkom
z ziołami westchnień
i niespełnień

ważne są dni które jeszcze prowadzą
stygnącą pamięć
na wyraje czułości
i dni niepozbiernych

Epea 11

które iść będą za nami
jak wierne psy

takie pożegnanie zapisałem czułości
wiedząc tylko że jest kuzynką miłości
a ta jest najpierwsza
jak zaświadcza Święta Księga

nie wędruję za horyzonty
młodość zwinęła się w kłębek
szukając ciepłego kąta
i snów łagodnych

nie ponaglam długich nocy
prosząc o świtanie
źrenice zbolące od czuwania

nie żebrzę
o nic

a koleiny wyżłobione
nadzieją
jeszcze raz poprowadzą
ku horyzontom

Epea 11

zaiste
wędrując poprzez życie
nieznana jest jego meta
ani przystanek
na chwilowy odpoczynek

idąc poprzez jawę i sen
poprzez kamienie i słowa
dotykając zaledwie ciepła
innego wędrowca
nie stawiając pytań
nie znając odpowiedzi
stając w każdym momencie przed ścianą
która jest wielką niewiadomą
nie ma w niej wejścia
ani wyjścia
bez dachu
i słów pocieszenia
zaiste
nie znam miejsca
z którego można już zawrócić
w drogę powrotną

- to tylko życie
powtarzasz -
ale nie ustawaj w wędrowaniu
bo tylko zmierzając ku moich horyzontom
rozpoznasz cząstkę swojego losu

nie szukaj w swoim życiu błyskotek
ani fajerwerków co wybuchają aplauzem
dla swojego krótkiego oddechu
ich śmierć jest bolesnym doznaniem
rzeczy kruchych i banalnych
nie szukaj słów lepkich i pozbawionych życzliwości

nie zmyjesz ich wchodząc do rzeki
która oczyszcza i zapomina

- to tylko życie –
powtarzasz
i uparcie budujesz sarkofag
który twoją nagość zamknie w milczeniu
zimnych ścian i ziemi jak zawsze życzliwej
wypełniając zagasłe tętno piaskiem z klepsydry

i tylko błogosławiona niepamięć
łasić się będzie po kamiennej posadzce
zbierając okruchy życzliwości
którą podarowałaś innym
aby przywrócić pamięć życia

niech nie zawstydzą nikogo twoja nagość
ani u przypadkowych gapiów
którzy nazywają golizną twoje wyznanie
zlizując co dzień sensacje z gazetowych łamów
zagubili smak życia
zanurzeni w pożądliwości
wypełniania trzewi zbędnym balastem
pozostaną w swoim świecie zadziwieni
że on się nieustannie kruszy
na maleńkie chwile a te z kolei
w popłochu uciekają w nicność
bezpowrotnie

szukając swojego miejsca
wśród stłoczonych drogowskazów
w zgiełku świata
pozostaniemy w poszukiwaniu
tej jedynej
Drogi

NOTY O AUTORACH

Halina Alfreda Auron - mieszkanka Białymstoku. Jej wiersze znalazły gościnę w czasopismach i antologiach. Autorka tomików poezji: „Jest w Tobie moja twoja trwoga” (2005), „Bywa taki dzień” (2012).

Grzegorz Bartko - ksiądz, laureat konkursu „Szukamy polskiego Szekspira”(2005). Autor tomiku poezji „Na usługach naiwności” (2012).

Danuta Bartosz - poetka, prawnik, dziennikarz SPP, autorka tomików wierszy m.in.: „Szukając Jego śladów”, „Usłyszeć Jej szept”, „Rozbłyski świtu”, „Brzegiem wiary”, „Łzy kamieni”, „Księżniczka czardasza”, „Tylko smutek jest wierny”. Członek ZLP Oddział w Poznaniu.

Juliusz Batura - instruktor plastyki w Młodzieżowym Domu Kultury w Augustowie, nauczyciel Społecznej Szkoły Podstawowej STO w Augustowie i Młodzieżowego Domu Kultury w Suwałkach. Zilustrował kilkanaście książek. Wykonał ponad 900 ekslibrisów.

Mirosław Brozio - nauczyciel fizyki i informatyki w Liceum Ogólnokształcącym ZSOiZ w Mońkach. Jego wiersze publikowane były w antologiach.

Józef Zenon Budziński - poeta eseista, autor tomików poetyckich . Jego utwory poetyckie i eseje publikowane były w kilkudziesięciu antologiach o różnej tematyce, laureat wielu nagród ogólnopolskich. Z zamiłowania bibliotekarz i bibliofil.

Kazimierz Burnat - poeta, tłumacz, publicysta, dziennikarz, animator ruchu literackiego, redaktor pism społeczno-kulturalnych m.in. „Bez kurtyny”, „Obok”, prezes Grupy Literackiej „Dysonans”. Autor tomików wierszy, m.in.: „W kolejce po” (1995), „Przenikanie” (2006), „Am Rande des Erwachens / Na skraju przebudzenia” (2007) , „Za obzor” („Za widnokręgiem”) (2008), „Вивернути час на ліву сторону” („Odwrócić czas na lewą stronę”), „Morgondagens viskning” („Szept jutra”) (2011).

Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz - poeta, satyryk. Autor tomu poetyckiego „Respons” (1979), „Koń by się uśmieł” (2011) i kilku książek z dziedziny szaradziarstwa.

Grażyna Cylwik - białostoczanka, pisarka. Autorka arkusza poetyckiego „Słowa i wiatr”.

Mieczysław Czajkowski - poeta, prozaik, felietonista, recenzent literacki. Wydał blisko dwadzieścia tomów wierszy i prozy m.in.: „W słonecznym chichocie” (1988), „Legendsy supraskie” (1989), „Pejzaż liryczny” (1990), „Białostockie ścieżki” (1992), „Smak makucha” (1992), „Jerozolimskie ślady” (1993), „To wszystko pamięć” (1994), „Katyński popielec” (1996), „Odfrunęły ptasie uliczki z białostockich Bojar” (1996), „Hamlet z Davis Street” (1998), „Czas coraz bliższy” (2001), „Powrót Smętka” (2001), „Wybór wierszy” (2002), „Legendsy supraskie” (2003), „Tworzenie siebie” (2006), „Odejścia i powroty” (2008).

Małgorzata Dobkowska - bibliotekarz, laureatka nagród i wyróżnień licznych konkursów literackich. Wydała dwie książki poetyckie „Zatopione w słowach” (1999) i „Azymut” (2006).

Marek Dobrowolski - białostoczanin, ekonomista i poeta, który w wolnych chwilach zajmuje się również rzeźbą i fotografią. Autor tomików poezji „Między ziemią niebem a mną” (2010) oraz „To nie my wymyśliliśmy raj” (2012)..

Józefa Drozdowska - autorka wierszy, bibliografii, małych form prozatorskich i dziennikarskich. Debiutowała w 1978 r. w „Prometeju” i „Gazecie Współczesnej”. Laureatka Nagrody Stowarzyszenia Literackiego w Suwałkach za książkę dla dzieci „Rozmowy z Izabellką” oraz Nagrody Literackiej Białostockiego Gryfa 2005. Jej wiersze tłumaczono na język białoruski. Wydała m.in.: „Dolina mojej rzeki” (1988), „Miejsce zamieszkania” (1992), „Rozmowy z Izabellką” (1996), „Rzeka Siloe” (1998), „Wyjaśniając siebie” (2010).

Jan Filewicz - ksiądz z parafii św. Jadwigi Królowej w Białymstoku. Autor książek m.in. „Błogosławiony promień światła” (2011), „Błogosławiona krew tej ziemi” (2010), „Po szorstkich kamieniach” (2009).

Barbara Gałczyńska - nauczyciel geografii, przewodnik turystyczny, pilot wycieczek krajowych i zagranicznych. Autorka miniatury lirycznej „Tylko tyle” (1994), felietonów oraz obszernej prozy w postaci noweli obyczajowej „Słońce pod Parasolem”, publikowanej na łamach augustowskiego tygodnika „Przegląd Powiatowy”. Laureatka nagród w dziedzinie poezji i prozy w konkursach literackich „O Liść Dębu”. Dopelnieniem jej twórczości literackiej jest malarstwo o zróżnicowanej tematyce.

Radosław Garlicki - doktorant na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Białymstoku, miłośnik nurtu poetyckiego Młodej Polski oraz grupy poetyckiej „Skamander”.

Krystyna Gudel - emerytowana nauczycielka kształcenia zintegrowanego i języka polskiego. W 2003 r. debiutowała tomem „Sady pozostawione”. W 2008 r. wydany został jej kolejny wolumin „Stopy na ścieżkach”.

Jerzy Iwaniuk - chorąży w stanie spoczynku, laureat konkursu twórczości więziennej „Dom pod 40 kominami”. Jego wiersze ukazywały się na łamach prasy lokalnej oraz w antologii „Przemienieni przez zwiąśćstwo Jezusa Chrystusa” (2012).

Adam Kiermut - Adam Kiermut, alumn w Archidiecezjalnym Wyższym Seminarium Duchownym w Białymstoku.

Franciszek Kobryńczuk - prof. zwyczajny, dr hab. S.G.G.W. w Warszawie. Jako poeta zadebiutował w 1958 r. Autor książek m.in.: „Białowieski skrzat królewski” (1999), „Nad kołyską skrzatów” (2004), „Monieckie baśnie” (2005; 2006; 2008), „Zabłudowskie baśnie” (2006), „Nadbiebrzańskie robaczki” (2007), „Dębowe opowieści” (2007), „Pieśń o Matce Bożej Kodeńskiej” (2007), „O pięknej Oksanie i jej rycerzu” (2008), „Powroty do gniazda” (2008), „Wesołe Nadbuże” (2008).

Roman Kowalewicz - z zawodu technik włókiennik. Jego debiut poetycki przypadł na 2007 r. Autor poezji, prozy i aforyzmów.

Sabina Alicja Kowalewska - ponad 20 lat życia spędziła na emigracji w Kanadzie. Autorka książek: „Rzeczywistość” (2005), „Z bezsennych nocy” (2005), „Zawsze będziesz Źródłem” (2008), „Mały kalejdoskop” (2010).

Kuszczyński Paweł - poeta i krytyk literacki. Autor tomików m.in.: „Powroty” (1991), „Róża spadająca kwiatem” (1993), „Nagłość chwili” (1994), „Być w słowie”, „Niedosyt istnienia” (2007) oraz wyboru wierszy „Spotkanie pragnień” (2009). Wiersze publikował w kilkunastu antologiach współczesnej poezji polskiej oraz czasopismach kulturalnych i w rozgłośniach radiowych. Odznaczony Medalem Zasłużony Kulturze - *Gloria Artis*. Prezes Zarządu Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu.

Marek Lechowicz - literat, scenarzysta, dramaturg, sportowiec, podróżnik. Autor książki „Absurdut” (2010), zgłoszonej przez wydawnictwo w 2011 roku do literackiej nagrody Nike oraz Nagrody Literackiej Gdynia.

Jan Leonczuk - prozaik, tłumacz. Debiutował w „Kontrastach” w 1970 r. Jego utwory drukowała m.in. „Poezja” „Literatura” „Tygodnik Kulturalny”. Autor licznych tomów poetyckich „Żalnik” (1979), „Duszna noc” (1980), „Za horyzontem” (1986), „Żertwa” (1987), „Pieśni z karnawału” (1991), „Zawołaj raz jeszcze ciemnym wierszem” (1991), „Wiersze wybrane” (1996), „W drodze do domu” (1996), „Dotykanie ziemi” (1997), „Coraz bliżej snu” (1998), „Jeszcze jedno śnienie” (1999), „Wiersze” (2000), „Zapomniałem was drzewa moje” - wybór wierszy (2000), „Uczę się niepamięci ...” (2005); arkuszy poetyckich „Rachunek”, „W drodze do Damaszku”, „Sen odarty”, „Biała sukienka”; utworów prozą m.in. „Dwa opowiadania” (1987), „Zapiśnik” (1996), „Zapiski soltysa” (1997), „Zapiśnik drugi” (2003), „Zapiśnik trzeci” (2005), „Zapiśnik czwarty” (2007), „Zapiśnik piąty” (2008). W jego tłumaczeniu ukazały się m.in. wiersze N. Artymowicz, J. Geniusza, Hatifa al.-Dżanabiego.

Ida Matysek - ur. 26.04.1995; wychowała się w leśniczówce w Puszczy Białowieskiej, obecnie mieszka i uczy się w Białymstoku. Publikowała wiersze m. in. w wielu wydawnictwach zbiorowych (w tym: „Epea” 8 i 9, „Podlaha Antologio”) i czasopiśmie „Okolice poetów”. Jej debiutancki tomik poezji „Przenikając chmury” został wydany przez Książnicę Podlaską w 2010 roku.

Nazaruk Grzegorz - z zawodu bankowiec, z wykształcenia rolnik i ekonomista. Od wielu lat działacz społeczny i entuzjasta fotografii, współorganizator wystaw fotograficznych, związany z portalem orth-photo.net. Amatorsko zajmuje się poezją i malarstwem.

Niewińska Mirosława - ur. w Białymstoku. Poeta, psycholog. Mieszka w Paryżu.

Hubert Piętka - z wykształcenia polonista, historyk, bibliotekarz i informatyk. Interesuje się literaturą, historią, sportem i muzyką. W twórczości własnej i innych poruszają go zagadnienia: człowiek w sytuacjach granicznych oraz odpowiedź człowieka na wołanie Boga. Fascynuje się katolicyzmem.

Zofia Piłasiewicz - z zawodu psycholog, zainteresowana historią regionu. Mieszka w Augustowie.

Janina Puchalska-Ryniejska - nauczycielka, folklorystka, członek Klubu Poetów i Pisarzy Ludowych, mieszczonego się przy Wojewódzkim Ośrodku Animacji Kultury w Białymstoku. Laureatka licznych konkursów literackich. Autorka tomików poezji: „Dogonić czas” (2002), „Po ziemi idę” (2006).

Krzysztof Rumiński - inżynier, informatyk, konsultant, trener i wykładowca. Działacz Solidarności, konsultant Regionu Mazowsze, w stanie wojennym członek struktury Grup „Wola”, kolporter, łącznik ze strukturą Regionu Rzeszowskiego.

Ewa Danuta Stupkiewicz - autorka małych form literackich i opracowań dla dzieci. Uprawia poezję, prozę i haiku.

Konrad Śliwa - prawnik, przywiązany jest do chrześcijańskiej tradycyjnej wizji świata i człowieka oraz katolickiej duchowości. Debiut poetycki w listopadowym numerze „Dróg Miłosierdzia” (2012).

Regina Świtoń - emerytowana nauczycielka języka polskiego. Wydała m.in.: „Strofy o mojej ziemi” (2005), „W tęczowych szufladach” (2008), „Uśmiechnięty świat” (2010).

Wojciech Załęski - rzeźbiarz, pisarz, publicysta. Ur. 25 października 1943 r. w Grodnie. Ukończył rzeźbę i pedagogikę w PWSSP w Gdań-

sku. Po studiach rozpoczął pracę w Liceum Plastycznym w Supraślu. Z zamiłowaniem oddaje się pasjom historycznym. Od 1990 r. prowadzi pismo Nazukos – redagowane społecznie – przede wszystkim poświęcone historii i kulturze ziemi supraskiej. Autor m.in.: Igraszek z gwiazdą (1991), 1863. Opowieści z Puszczy Knyszyńskiej (1993), Witaj w Supraślu (1997), Supraskiej Madonny (1999), Tykanie słonecznego zegara (książka prozatorska, nominowana do nagrody prezydenta Białegostoku im. W. Kazaneckiego za rok 1999), Z supraskiego na nasze (2005), Fotoczasy' (2005), Straty wojenne Supraśla (2006), Hecz precz stała się rzecz. Wydobyte z kufra pamięci (2010), Supraśla czas miniony (2012) oraz licznych esejów, rozpraw i artykułów popularnonaukowych i publicystycznych.

Zioła Kalina Izabela - poetka, animatorka kultury, członek Klubu Literackiego „Dąbrówka”. Autorka tomików „Srebrny Motyl” (2010), „Przez chwilę” i „Kwaśne winogrona”. Jej wiersze publikowane były w czasopismach: „Gazeta Kulturalna”, „Akant”, „Cernuus”, „Własnym Głosem”, „Poezja Dzisiaj”, „Pro Libris” i „Protokół Kulturalny”.



Anna Worowska

Urodziła się i mieszka w Białymstoku. Biolog, fotografik przyrody, krajobrazu i starej architektury, głównie północno-wschodniej Polski.

Jest członkiem rzeczywistym

Związku Polskich Artystów Fotografików i Fotoklubu RP.

Wielokrotnie nagradzana i wyróżniana.

Wystawy indywidualne, m.in.: Bliskie krajobrazy,

Krajobraz i przyroda Podlasia, Brzoza, Rytm drzew.

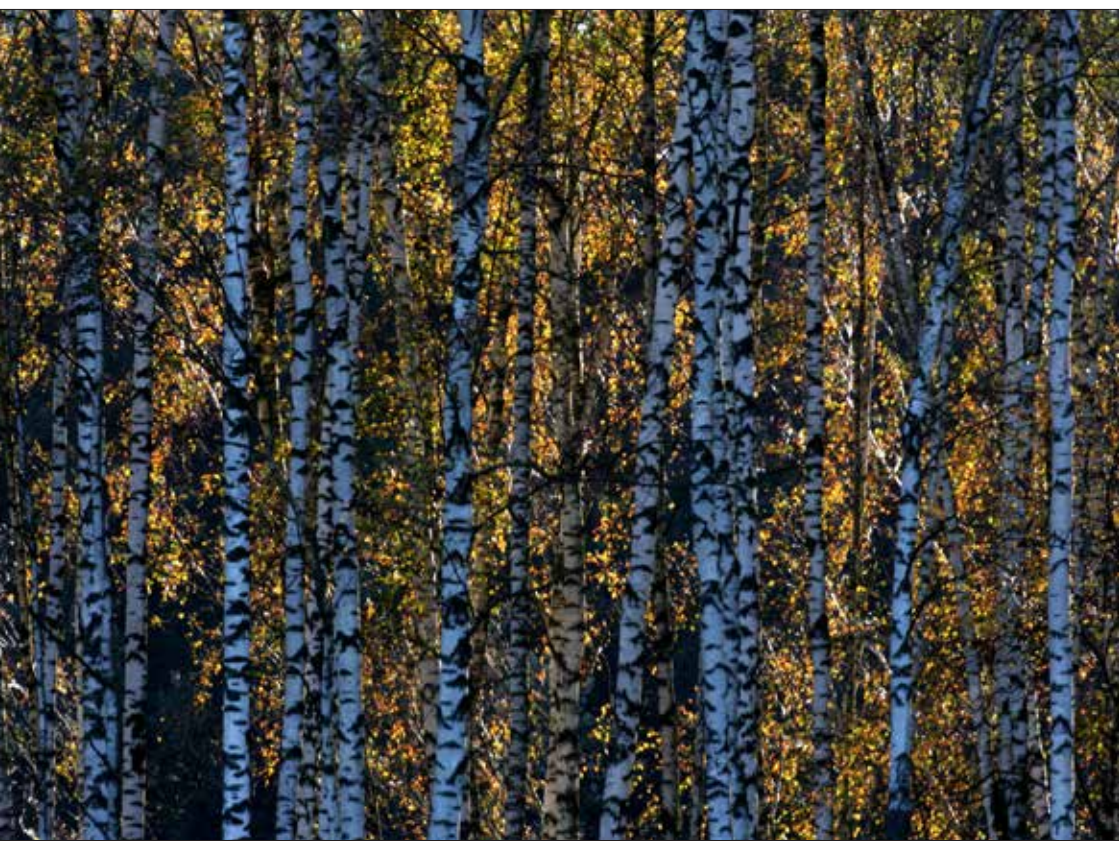
Albumy: Brzoza /2008/, Sen drewna i jawa życia /2010/.













SPIS TREŚCI

Mieczysław Czajkowski

Różaniec	5
Biały Pielgrzym	6
Na Beatyfikację Sługi Bożego Ks. Michała Sopoćki	7
Modlitwa serca	8
Uciekałem przed Tobą.....	9
Jesienna ballada.....	10
*** Chodziłeś uliczkami modlitwy w celi śmierci	11

Danuta Bartosz

Światło morskiej latarni	12
Tęsknota	13
Tam nie sięga ziemia.....	14
*** Jak naprawić skrzydło	15
Wyrwane lotki ptaka.....	16
Tylko smutek jest wierny	17
Zawołanie.....	18

Grzegorz Bartko

Jeden żółty kwiatek św. Kevina.....	19
Wyjście dla pokonanych	23
Boże igrzysko.....	24
To tylko część tajemnicy	25

Franciszek Kobryńczuk

Miłość to nasza krew	26
(brzoza, wierzby, mała ojczyzna maleńka, modlitwa, gdybym mógł, mamó..., Święta Panno Majowa!, W maju, Boże Ciało, Modlitwy zwierząt, Krowy, Niech się kręcą zegary, Modlitwa)	

Mirosław Brozio

Obojętność.....	38
Nadrzeczne pejzaże.....	39
Źródło.....	40

Juliusz Batura	
Baśń o trzech chłopcach i tajemniczym Mandarynie	41
Halina Alfreda Auron	
*** Całe niebo opada	73
Nadbiebrzańskie dary	74
Jesienne wieczory	75
Nasze gesty	76
*** Nasza mapa emocji	77
Józef Zenon Budziński	
Henadziemu za wszystko	78
*** Odejść	79
*** Czy słyszysz	79
*** Wystarczy jedna	79
*** W ciągu	80
*** Ciągłe wracam	80
*** Słowa opłotły	80
*** Zakochałem się	81
*** Czasami pięść jest	81
Kazimierz Burnat	
Ziemio	82
W kleszczach narodzin i śmierci	82
Otwartość	83
Bezdenna niebieskość	84
Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz	
Kolekcjonerka	85
Pechowy łowca	85
Z historii małżeńskich	85
Wytrwałość w miłości	85
Rozrywkowy	86
Pani Aneta i jej skarpeta	86
Usłużna żona	86
Czyścioch	86
Przestroga przed rehotaniem	86

Zawiść zawodowa	87
O krytyce w polityce	87
Miłośnik nauk	87
Jak w starożytnym Rzymie.....	87
Oszczędny	87
O autorze.....	88
O nieprzebiegającej w słowach	88
W poszukiwaniu prawości.....	88
Problemy ze snem	88
Zapas gotówki.....	88
Myśliwy	89
 Grażyna Cylwik	
Droga	90
Książka	90
Powiedz	91
Wrażliwość.....	91
 Małgorzata Dobkowska	
Dance macabre.....	92
Widokówka uniwersalna.....	93
Wiersz gnomoniczny.....	93
Haiku	
(Powązki, Powódź stulecia, Próbné „Haiku” a’ la O.W.).....	94
 Marek Dobrowolski	
*** stoki strome	95
*** Suche łodygi	95
*** Szukałem zielonej weny	96
Tryptyk żałobny	97
 Józefa Drozdowska	
Dotykam.....	99
Dzisiejsze niebo ma tyle w sobie jaskrawości.....	100
Fragment widoku za oknem	100

Jan Filewicz	
*** Duch Święty.....	106
*** Wiatr wieje w żagle.....	106
*** Zamyślane jutro	107
*** Cicha noc	108
*** Żółte liście.....	109
*** Zbyt szybko zmieniają się.....	109
Barbara Gałczyńska	
Niebieska wstążka	113
Rejs.....	115
Radosław Galicki	
Archimedes	117
Niebo przygasło, przyciemniało.....	117
Judasz Iskariota	118
W morzu ludzkich łez płynących nieskończoności	118
Melancholia	119
Majdanek.....	120
Krystyna Gudel	
Zachód nad Biebrzą.....	121
Babcia Rozalia ma ręce pełne szpaków.....	122
Tej kobiecie pocą się oczy	122
Rozmawiała z wiatrem	123
Wchłonełam czarę niezwykłej woni	123
Na schodach Pańskiego Domu.....	124
Jerzy Iwaniuk	
Chryzantemy	125
Fotografia	126
Nie płacz mamó	127
Smoleński las	128
Adam Kiermut	
Rodzinny dom.....	129
Wiara	130

Wyznanie.....	130
Miłość.....	131
Judasz.....	131
Roman Kowalewicz	
Najemnik.....	132
Sikorka.....	136
Sens.....	136
Lęk.....	137
Przyszłość.....	137
Kuglarze.....	138
To ona.....	139
Paweł Kuszczynski	
Do Beethovena.....	140
Do matki.....	141
Co pierwsze?.....	142
Miłość.....	143
Spotkanie.....	144
Marek Lechowicz	
Panu Cogito.....	145
Waniliowy sen.....	146
Grzegorz Nazaruk	
Dyptyk.....	148
Żaden poeta.....	149
Mirosława Niewińska	
Miłość Haryjców.....	150
Pieśń kupalna orła, wilka i sokoła.....	150
Hubert Piętka	
Sprawiedliwość dziejowa.....	152
Zofia Piłasiewicz (poezja; proza)	
Rysując portret nieistniejącego miasta.....	154

Janina Puchalska-Ryniejska	
Miniaturki.....	159
Grudniowy wieczór	160
Krzysztof Rumiński	
Szewca ostatni dzień lata.....	161
Stowarzyszenie umarłych poetów.....	167
Ewa Danuta Stupkiewicz	
Haiku	182
(Cztery żywioty, Zamykam oczy, To tylko deszcz, Trele, Sen z dzieciństwa..., Błądzą myślami, Kroplami wody, Pod powieką łza, Wiosenne rytmy, Własne moje ja, Ślę pocałunki, Pora na miłość, Splecione dłonie, Spełniam marzenia, Boję się letnich, Drażnisz mój umysł?!, Błagam o czas, Grzechy i rozpusty, Serce dobywa, Wybacz, że ranie)	
Konrad Śliwa	
Libido bunkra.....	185
Kij z wiedzą i lęki	187
Dlaczego Polakami będą rządzić Niemcy.....	188
I Komunia ceremonią przejścia	190
My dzicy, czy my ludowi.....	191
Ptak.....	194
Wolność – przereklamowany towar	195
Zapomniane słowa, o potrzebie banału.....	196
Regina Świtoń	
Spacerkiem po Mielniku.....	198
*** Puszcząńska symfonia.....	198
*** Szpacze oratorium	199
*** Bociany wracają	200
Kalina Izabela Ziola	
Magia	201
Pokuta.....	201
Jak tam jest.....	202
Szalik.....	203
Walizka	204

Kowalewska Sabina Alicja	
Zatrzymać.....	205
Czym jesteś.....	206
Ida Matysek	
*** Duma. Głupota. Przeszłość.....	207
Zapomnienie.....	207
Koniec analitycznego umysłu.....	208
Wojciech Załęski	
Urwałki.....	209
Jan Leończuk	
*** opisując umieranie poety.....	216
*** zapisałaś zadziwienie w gęstwinie lasu.....	218
*** nie umiem zapomnieć.....	219
*** nie wędruję za horyzonty.....	221
*** zaiste.....	222
Noty o autorach.....	224

